

# AUGUSTA.

POWIEŚĆ

przez

Waleryę Marrené (Morzkowską).



WARSZAWA

Wydawnictwo Dziel Tanich A. Wiślickiego.

—  
1882

Rodzice odumarli mnie dzieckiem, tak, że nawet w pamięci nie pozostał mi ich obraz. W dwudziestym pierwszym roku życia byłem sam na świecie, bo opieka sądziła, że mi już w niczem dłużną nie jest, skoro przechowała mi majątek i nie szczędziła mi na wykwintne wychowanie. Byłem więc sam na świecie bez żadnego moralnego kierunku, bez serdecznego związku, nie miałem bowiem sióstr ni braci, bez istoty żadnej, coby miała wpływ jaki na umysł mój burzliwy.

Majątek miałem znaczny, swobodę najzupełniejszą, powierzchowność piękną. Kobiety oglądały się za mną z uśmiechem, wzbudzałem zazdrość towarzyszków, ale sam nie byłem szczęśliwy. Samotność serca od lat najmłodszych, odwyknienie od miększych uczuć, przekonanie, że nikogo nie obchodzę na świecie, wyrobiły mi charakter dziwny. Od dzieciństwa zamknięty byłem w sobie, chłodny i dumny na pozór, nosiłem w głowie chaos nierozwikłanych myśli, w piersi żar nienasyconych pragnień, nie umiałem odszukać w koło siebie bratniego serca, przyjaźnej dłoni, nie umiałem posiąść ni zdobyć niczego, bo zawsze jakiś rodzaj dumy, wstydu, czy niewiary w siebie, zapierał mi słowa na ustach,



Z umysłem bystrym, z wyobraźnią bujną, z żądzą wiedzy kapryśną a niepochoamowaną, miałem wszystko co może stać się szczęściem lub nieszczęściem życia, mogłem być człowiekiem, a zostałem niczem! Brakło mi jakiegś ożywczej sily, jakiegoś harmonizującego pierwiastku, którego sam wyrobić nie umiałem w sobie. Bogaty uczuciem i myślą, czułem rozstrój ciągły, duchem burzyłem wszystko a nie zbudować nie mogłem i cierpiałem tem więcej, że osamotnienie lat pierwszych zostawiło mi w duszy, jakąś żądzę szczęścia nieznanego nawet w najpierwszych wspomnieniach, jakąś niecierpliwość do życia która odejmowała mi zupełnie panowanie nad sobą i rzucała skrępowanego wszystkim falam losu.

Wzrosły i wychowany w wewnętrznej rozterce, nieodgadywanej przez żadnego z płatnych nauczycieli, nie miałem punktu oparcia dla serca i myśli, przerzucałem się na wszystkie strony, uniesiony każdą nową doktryną, nową myślą i nowem uczuciem.

Dziś czuję, iż należałem do rzędu ludzi będących nieszczęściem dla siebie i dla drugih, których należy omijać zdaleka i omijano mnie też instynktowie może. Wówczas, nie znałem jeszcze samego siebie, nie miałem żadnego moralnego *kriterium*; nie wiedziałem sam czegom pragnął, do czegom dążył. Nie wiedziałem, że mogłem popełniać zbrodnie, choć instynkta moje były szlachetne, bo instynktami rządzi przypadek tylko, a we mnie wszystko było instynktem, przecuciem, namiętnością. Zaden obowiązkiem, żadne moralne prawo nie ujęło ich w karby, nie zamieniło w stałe i dobroczynne przymioty. Szedłem zawsze za wrażeniem chwili, nieraz popeł-

niałem to, co świat zowie czynem szlachetnym, bez żadnej zasługi, bo w położeniu mojem nie potrzebowalem na to żadnej rzeczywistej uczynić ofiary. Nieraz niewinny zasłużyłem na potępienie świata, bo nie rządziłem się ani prawem obyczaju, ani moralnem prawem wyrobionem w głębi własnego sumienia. A jednak pomimo to, że przywykłem dogadzać każdej fantazyi mojej, nie czułem się nigdy szczęśliwym, zadowolnionym nawet; cierpienie było mi nieodstępny towarzyszem życia, im więcej zżywałem się na nie, tem silniej wpijało mi się ono w mózg i serce, napróżno uspić je chciałem, szukając ogłuszenia, zapomnienia siebie w szatach młodości. Zapomnienie było przeciwne naturze mojej poważnej i głębokiej. Zmysłowe rozkosze, czcze uciechy, wzbudzały we mnie tylko wstręt i nudę. Jakaś wyższa żądza czegoes nieujętego, trawiła mnie skrycie, jakieś mary, ideały niewcielone zaludniały mi serce przecuciami innego szczęścia, po które daremnie sięgałem na około.

Przesycony próżną żądzą, znudzony beczynnością, obojętny na wszystko co zwykle młodość nęci, zacząłem uchodzić za dziwaka i byłem nim w istocie. Czułem się nieszczęśliwym, mając wszystko co może dać szczęście, szukając go namiętnie, szalejąc prawie że go nie znajdując. Tak upłynęło mi kilka lat życia smutnych i bezowocnych, cierpienia moje nie były z rodzaju tych co dziecko pasują na męża, co hartują ducha i wyrabiają przekonania, cierpiałem jak rozbitek kołysany falą, która miotając nim do żadnego nie doniesie brzegu.



Rozmarzony, wrażliwy, tęskny i dumny, nie broniony żadną wiarą, żadnem przekonaniem, musiałem stać się pastwą pierwszej namiętności, jaką przypadek postawić mógł na drodze mojej, opatrzone byłem na drogę życia we wszystko co może sprowadzić nieszczęście: przymioty i wady moje przyciągały je, jak wysokie szczyty przyciągają gromy. Dziś pojmuję to dobrze, wówczas patrzyłem przed siebie z szaloną odwagą niewiadomości.

I nie dziw, że na pierwszą spotkaną kobietę, którą wyobraźnia ustroiła w najczystsze barwy ideału, przełałem wszystkie uczucia, marzenia i pragnienia moje. Było to coś więcej niż miłość sama: wielili się w nią wszystkie rozpacz nienasyconego ducha, wszystko co lepszego i szlachetniejszego dochowało się we mnie. Kochałem ją bezmyślnie i szalenie jak ideały młodości, jak serdeczne marzenia, złożyłem w nią całą istotność moją. Czy ona odpowiadała temu com w niej widział? czy była zwyczajną kobietą ujrzaną w danej chwili, opromienioną fantazją chorobliwego umysłu? nie umiem dzisiaj nawet odpowiedzieć na te pytania. Znałem ją tylko przez pryzmat szalonych uczuć, w chwilach boskich i w chwilach piekielnych, a serce moje stęsknione oddało jej się zupełnie bez wahania i rozmysłu.

Dzisiaj ta cała epoka życia mgli mi się w pamięci jak majaczenia maligny, kilka lat owych stanowi dziwną przerwę w mojem życiu; myśli, wyobrażenia, fakta zewnętrzne, wszystko przestawało istnieć dla mnie, pochłonięte huraganem namiętności. Straszna to była miłość! podniosła mnie na szczyt rozmarzo-

nych nadziei by stracić potem w przepaść bezdenną, dała mi poznać chwile pełne czaru, bym tem srożej uczuł próżnię życia. Bądź jak bądź, był to odpoczynek w cierpieniach ducha, jedyna chwila, w której nie stawiałem pytań sobie, losom i światu, w której odetchnąłem pełną piersią, uwierzyłem we wszystko i spojrziałem ku niebu wdzięcznem okiem.

Tak żyłem czas jakiś, który teraz jeszcze wydaje mi się w pamięci snem czarodziejskim, aż przyszło przebudzenie straszne, spotkałem się z zawodem.

Czyja to była wina? nie wiem. Możem za wiele wymagał od ludzkiej istoty, możem ją postawił na piedestale, na którym żadna kobieta utrzymałaby się nie mogła, może trwożyła ją samą gorączkowa, bóstwiąca prawie miłość moja; może tylko mnie łuszczyki opadły z powiek i poznałem, że przyciskał do łona to, co jedynie fantazyja moja przybierała w cudne barwy ideału. Czyja w tem była wina — nie wiem, dość że przyszedł dla mnie straszny dzień przebudzenia.

Nie umiałem nigdy łudzić samego siebie, prawda magnetycznie ciągnęła mnie ku sobie, choć była dla mnie zabójczą, miałem instynktowe pragnienie światła, i szukałem go stale, nieodmiennie wśród mąk życia; może w tem leży jedyna zasługa moja.

Poznałem, że ta miłość na złudzeniu opartą była, poznałem, że nie miał co kochać i znowu w sercu mojem stała się pustka straszna, a życie, które przez chwilę jaśniało dla mnie tęczowemi blaski, ukazało mi się znowu bezwarwne i nieme. Ale natura moja silna i namiętna znieść go już nie umiała



dzisiaj, ani powrócić mogła do pierwotnego stanu; wstrząśnienie to moralne wyrzuciło mnie z kolei, i razem z tą miłością utraciłem wszystkie duchowe skarby, niepowrotnie zgubiłem wiarę i nadzieję, cierpienie moje dochodziło do paroksyzmów szaleń.

Pamiętam dotąd, kiedy stargawszy konwulsyjną ręką wszystkie więzy, które mnie z nią łączyły, siadłem naprzeciw boleści mojej tak samotny w sercu, myśli i życiu, że gdybym się był wówczas zabił, śmierci mojej nie spostrzegłby nikt, prócz spadkobierców. Czoło moje było blade i zmęczone myślami. Jak ten, któremu spłonęło mienie, grzebałem w zgłuszonych pamiętkach, szukając, czy nie znajdę jakiego klejnotu uszanowanego przez płomienie? I nie znalazłem nic, nic wcale; gmach życia mego był niepowrotnie zburzony, ale na tych gruzach pozostała jeszcze żądza szczęścia a żądza ta dzisiaj nie miała już nawet nazwy ni celu; pogardziłem tem co czciłem dawniej, uragałem biciom własnej piersi, a serce moje nie mogło już wymarzyć żadnego pragnienia, z któregoby razem nie szczydziła myśl moja.

Były to chwile goryczy, ironii i męki, od których włos siwieje na młodej skroni, które doprowadzić muszą do szaleństwa lub samobójstwa. Przyszłość była dla mnie jakimś piekłem, zawrotem, chaosem.

Wrodzona energia natury mojej, wyprężającej się pod tłocznią cierpienia, wybawiła mnie od śmierci, począłem buntować się przeciw boleści, która w końcu przechodziła miarę sił moich. Szukając ulgi zmuszałem się niejako do wyosobienia, spoglądałem bacznie w koło siebie i zacząłem stawiać sobie pytanie:

dla czego cierpienia i zawody moje były właściwością wyłącznie tylko mego ducha, dlaczego nie znajdowały one echa bratańego w innych ludziach?

Długo tak zostawałem, szukając próżno dźwigni nie w sobie samym ale w drugich, nie pytając o pragnienia i potrzeby mojej moralnej istoty i chcąc ją gwałtem porównać z kamertonem ogólnym; dni i miesiące całe pasowałem się z samym sobą, ważąc myśli, aż w końcu wybuchnąłem bluźnierstwem.

Wyrzekłem, iż w kłótni wrzącego serca ze światem, świat ma słuszość, że powszedność pojęć i myśli jest jedyną prawdą, że szczęście znaleźć można wyłącznie tylko w negacyi wysokich polotów ducha, że siła namiętności jest fałszem, a siła myśli pokusą.

Mimo wszystkiego jednak nie mogłem zmienić natury mojej, pozostałem namiętnym i rzutnym, tylko siły te skierowane gdzieindziej, popchnęły mnie wstecznym prądem równie gwałtownie jak niosły mnie wprzód. Należałem do ludzi, którzy ideę każdą muszą w życie wprowadzić, bo nie umieją rozłamać ducha pomiędzy myślą i czynem. Więc bluźnierstwa te w czyn zamieniłem. Byłem bez litości dla samego siebie, pracowałem niezmordowanie nad nieszczęściem życia, strzegłem serca i myśli, gasiłem każdą iskrę uczucia, aż zmordowany walką i bólem doszedłem do chwilowej nicości, do ubezwładnienia wszystkich szlachetnych sił ducha; chwilę upadku wziąłem za zwycięstwo, sen za śmierć zupełną i z gorączkowym pospiechem począłem budować nową przyszłość, którą za ideał postawiłem sobie.



Po cierpieniach, jakie przeszedłem, zbrakło mi odwagi do życia, z rodzajem tchórzostwa kryłem się przed walką, negacya, brak bólu był już u mnie szczęściem. Ideałem moim było codzienne życie, nie ozłocone żadnym promieniem wyższym, nie dążące do niczego; bierne uczucie dobrobytu, zadowolenia materialnego; a nadewszystko spoczynek serca i myśli. Słowem wszystko czego nie potrzeba dokupywać się walką, co nie można narazić na cierpienie.

Osiadłem na wsi, miałem doskonałe konie, sławne psy, dom wykwintny, postanowiłem się ożenić, żeby na zawsze zamknąć przystęp złudnym marom młodości, lękając się, ażeby przypadkiem nie ocknęło się we mnie serce, postanowiłem skrępować je zawczasu.

Jednak nie chciałem łudzić ani siebie, ani drugich; ze wspólki małżeńskiej wycofywałem zawczasu kapitał serca, pragnąłem więc, by druga strona poprzestała na tem i nie była bogatszą odemnie. Z natury szczerzy i uczciwy, nie chciałem zawodzić ani być zawiedzionym. Szukałem żony tylko, lękając się nadewszystko, żeby nie zapragnęła odgrywać roli kochanki. Szukałem kobiety pięknej i łagodnej, z myślą poziomą, z uśpionym duchem, a jedną troską moją było, ażeby nie znalazł przypadkiem bijącego serca w jej młodej piersi.

Dziwnym trafem nie zawiodłem się w wyborze moim, Melania była uosobieniem karłowatego ideału, którego szukałem. Piękna i młoda nie miała nawet tej odrobiny zdawkowej poezyi, jaką daje zwykle młodość i piękność; białe jej i gładkie czoło ce-

chowała ciasnota pojęć, a jednak jaśniało ono pogodą pod koroną bogatych splotów czarnych. Czarne oczy ślicznego kształtu, osłonięne długimi rzęsami połyskiwały bezdusznem światłem; usta małe i wąskie uśmiechały się bez wdzięku, głos pozbawiony był sympatycznych dźwięków, rysy jej regularne i zimne miały spokój greckich posągów, kibić wysmukła i pełna razem była doskonale piękna. Melania mogła przemówić jedynie tylko do zmysłów; poznałem ją, obrachowałem i zapragnąłem; po kilku tygodniach byliśmy zaręczeni; a jednak serce moje buntowało się przeciw woli, ostrzegając tajemnem przeczuciem, iż wiąże sobie świat na zawsze, w chwili złej bólu i zrozpaczenia. Pozostałem głuchym na głos jego.

Były to ostatnie walki, ostatnie jęki uciśnionego ducha. Czasem odzywał się on we mnie niespodzianie i wówczas nie mogłem patrzeć na narzeczoną; gotów byłem zerwać to nieszczęsne małżeństwo, ale po chwilowej sprzeczce z samym sobą, pokonywałem te tajemne przestrogi jak ostatnie drgania przeszłości i nagiłem ślub z gorączkowym pospiechem, chcąc zamknąć sobie drogę powrotu.

Jednak spotykałem pokusę tam, gdzie się jej najmniej spodziewałem, pokusa była widać we mnie samym; lękając się w żonie znaleźć kochankę, sam prowadziłem ją na tę drogę; szczęściem lub nieszczęściem, Melania zrozumieć mnie nie mogła.

Pamiętam wilią ślubu, byłem w domu rodziców żony; było to wśród lata, siedziałem obok niej w ogrodzie, byliśmy sami, słońce zachodziło za fioletowe



chmury, korony drzew złościły się purpurowym blaskiem, woń jaśminów wisiała w powietrzu, gdzieś zdaleka dźwięczała pastuszków fujarka. Cisza i blask panowały światu, wymowna cisza piękna, szczęścia, harmonii. Wpływ na mnie zewnętrznego świata jest niewypowiedziany, umiem radować się promieniem słońca, smutnieć chmurą zalegającą horyzont. Wówczas pierś moja uderzyła gwałtowniej, wezbrała falą uczucia, spojrzałem na Melanię zwilżonem okiem; ona była tak piękną a ja tak stęskniony, iż nie wiedząc o tem, szukałem w jej wejrzeniu tej odrobiny miłości, coby i moje zapaliła serce.

Zdaje mi się, że ją kochał w tej przelotnej chwili, że byłbym jak dziecko klęknął przy niej, oparł głowę na jej kolanach i zamarzył o życiu całym szczęścia, ciszy, miłości i rozkoszy.

Próżno przełamywałem naturę moją, skazywałem na milczenie szlachetne instynkta, próżno do urojonej miary chciałem przyprowadzić uderzenia serca, budziło się ono w chwili, kiedy najmniej myślał o tem; a jedna chwila, jeden promień zachodu burzył ten gmach zapomnienia tak pracowicie budowany. To uczucie była to może ostatnia przestroga losu, powinieniem był zrozumieć dokładnie samego siebie i zatrzymać się, nie dokonawszy moralnego samobójstwa, jakim było dla mnie to małżeństwo.

Spojrzałem na Melanię biorąc jej rękę, ona wysunęła ją lekko, dłoń jej nie zadrżała w mojej, wzrok był bezmyślnie utkwniony w daleki horyzont zachodu.

— Melanio, rzekłem mimowolnie prawie, patrz jak ten świat otaczający jest piękny i dźwięczny; w chwili

lach podobnych otwiera się serce, życie nęci czarem nieujętym, wszystko co wysokie zdaje się łatwem, prawdziwem: do zbolącej myśli powraca wiara, czy nie czujesz tego?

Melania wlepiła we mnie swe wielkie oczy spłoszonej gazelli, wyraźnie z mowy mojej nie zrozumiała ani słowa jednego. Jednakże poczuwała się do obowiązku odpowiedzi.

— Jutro będzie pogoda, odparła z uśmiechem; obiecuje nam ją ten zachód słońca.

Umilkłem i opuściłem głowę, w myśli mojej nastała chwila wahania. Gotów byłem odjechać i nie wrócić nigdy do tego domu, do tej kobiety, co tak fałszywym tonem płoszyła marzenia moje. Spojrzałem na nią znowu: była tak piękna w bezmyślności swojej, tak ponętna, że nie miał odwagi jej się wyrzec.

Zresztą na cóż uskarżać się mogłem, znalazłem to, czegom szukał, szczęśliwszy w tem od wielu, nie zawiodłem się na Melanii, serce jej i umysł były nieulecznej mierności. Żadne żywsze uczucie, żaden poryw myśli nie wzruszył nigdy spokoju jej łagodnej duszy, była to doskonale bierna istota, nieświadoma nawet potęgi piękności swojej.

Nazajutrz ze ściśniętem sercem stanąłem przy ołtarzu i gdy wymawiał słowa przysięgi, czułem jak mi coś jęknęło w piersiach, ale zimny i dumny zapomniałem nad sobą. Na bladej twarzy mojej pod zdawkowym uśmiechem nowożeńca, nikt nie odgadł ukrytego bólu. A zresztą któż go mógł odgadywać? Melania nie była wyjątkową istotą, ale logicznym pro-



duktem pospolitych pojęć pewnego gatunku ludzi, do których napróżno wliczyć się usiłowałem, byłaby z jednakim rumieńcem, z jedeaką łąką martwą oddała rękę każdemu innemu, byle tylko równie świetnie przedstawiał materyalne warunki szczęścia. Dziś do rumieńca i łąki przyłączyła uśmiech, bo wartość moja przechodziła o wiele to, co przy skromnym posagu i liczmem rodzeństwie zamaryć mogła, bo wreszcie siostry i towarzyszki zazdrościły jej świetnego małżeństwa, a powóz, który nas wiozł z kościoła był tak wykwintny, a konie tak piękne!

Objąłem to jednym rzutem oka, na przekór miłości własnej, nie uspięnej nigdy w męskiej piersi, która chwilami wmawiała we mnie, że byłem dla Melanii czemś więcej niż prostą cyfrą dodatnią lub ujemną w jej rachunku życia.

Odtąd nie troszczyłem się nigdy o jej uczucia, pewnym będąc, że obojętność jej dla mnie, równą była mojej. Melania nie próbowała nawet ludzi mnie komedią miłości, komedia zresztą byłaby daremną: ta kobieta zbyt o wiele niżej stała odemnie, by czemśkolwiek złudzić mnie mogła.

Połączeni nierozzerwalnym węzłem, młodzi oboje jechaliśmy obok siebie z kościoła milczący, a chwilę pierwszego pocałunku zmroził mi na ustach uśmiech szyderstwa.

Jednak to trwało krótko, upadek i dźwignia leży w nas samych, nikt bezkarnie nie zapragnął skarlówacenia, nikt bez moralnej korzyści nie odetchnął wyższą myślą, i ja po owym ostatnim stłumionym porywie serca, zacząłem żyć pół zwierzęcem życiem,

jakie daje zadowolenie materyalne, horyzont pojęć moich ścieśniał się widocznie. Ale ten stan biernego spokoju nie trwał długo; napotkałem w sobie samym wroga, który uciskając coraz bardziej istotę moją, kazał mi niejako żałować dawnych cierpień. Zadowolenie materyalne zrodzić musi koniecznie przesyt w każdej wyższej naturze. Przesyt i nuda oparowały życie moje i powlekły czarnym kolorytem wszystko co mnie otaczało. Wkrótce Melania z wiecznym uśmiechem na ustach, z wieczną pogodą bezmyślności stała mi się tak nieznośną, że sama jej obecność drażniła mnie i niecierpliwiła. Szczęściem Bóg opatrzył ją zbyt ciasnem pojęciem, by ocenić i zrozumieć mogła ten nowy zwrot uczuć moich; Melania nie zaznała nigdy burz serca i myślą nie odczuła chwili, w której ukochać ją mogłem, ani też tej, w której stała mi się nienawistną prawie.

Uciekałem z domu w dalekie kraje, ale nie mogłem nigdy uciec przed samym sobą; podróże, nowe obrazy i nowi ludzie, przynosili mi zaledwie krótkie chwile roztargnienia, cierpienie innem tylko ochrzczone nazwiskiem trop w trop gonilo mnie wszędzie. W końcu, zmordowany próżną walką, próżną włóczęgą po szerokim świecie, powróciłem do siebie.

W parę lat po ślubie urodziła mi się córka, jednak dziecię to nie zespoliło mnie z żoną. Naturalnem następstwem zwichniętego stosunku to, co powinno było być błogosławieństwem, stało się dla mnie nowem źródłem bólu. Z naiwnem uczuciem patrzyłem na to dziecię, w którego niekształtnych jeszcze rysach, szukałem podobieństwa mego z niezna-



nem dotąd rozrzewnieniem. Ono winić mnie mogło kiedyś o dar życia, jeżeli cierpienia moje bez nazwy zbudzić się miały w jego piersi i także z życia tego uczynić męczarnie. Bo ja nie zdobyłem żadnej myśli, żadnej wiary, którą zbrojny odzegnałbym cierpienia i wlał w jego serce męstwo i wytrwałość. Sam, rozbitek życia spoglądałem na ten drobny kształt ludzki, odzywający się łzami z rzeźbionej kolebki, wyciągający rączkę instynktownym ruchem pragnienia; wreszcie odsuwany z ducha problemat bytu stanął w całej nagości przędemną w obec istoty, której powinienem być być przewodnikiem. Bez siły wiedzy, bez wiary, załamane tylko ręce nad głową córki i to było błogosławieństwem mojem.

Dziecko to było mi żywym wyrzutem, wiecznym znakiem zapytania, groźbą przyszłości nieledwie, czulem, żem był względem niego dłużnikiem niewypłacalnym i ta myśl zatrula mi wszystkie rozkosze ojcostwa i gorzką uczyniła każdą pieszczotę.

Jednakże to nowe uczucie wiązało mnie do ogniska domowego; kochałem dziecię moje jakimś fałszywym może ale namiętnem uczuciem. Wówczas to z gorączkową energią rzuciłem się do nauki szukając w niej zapomnienia, pociechy, i winienem jej wiele chwil dobrych, a przynajmniej chwil, w których myśl moja odrywała się od dręczącej obecności. Nauka, jak matka utulić może na surowem łonie tych, co mają siłę oddać jej się zupełnie, odsłania im ona świat czarodziejskich rozkoszy, alem ja nie dotarł do tych tajników, brakło mi tu jak i w życiu myśli kierowniczej, ślepotą leżała mi na oczach

i sercu, wielka synteza świata była dla mnie niezrozumiałą, z harmonii natury chwyciłem tylko oderwane dźwięki i nie umiałem powiązać je razem. Byłem podobny do człowieka co patrzy przez jakąś ciasną ramkę na obraz i po kolei widzi rękę, twarz, fałd draperyi, ale nie może objąć całości i powiedzieć co ona wyobraża?

Tak dnie za dniami składały się na lata, tak marnie przeszła młodość moja, wchodziłem w wiek dojrzały bez żadnego owocu z życia, nie zbudowałem nic na przyszłość, nie zdobywszy nic, nie mogąc oprzeć się na żadnym sercu, nie widząc nawet jasnej drogi przed sobą. Zabłąkany wędrowiec życia oglądałem się smatny w około po pustym świecie i pustem sercu własnem.

Położenie moje stawało się gorszem z dniem każdym; a żal do życia opanowywał mnie coraz gorętszy. Katastrofa jakaś, moralna burza zbierała się w duszy mojej, jak gradowa chmura w skwarne dni lata. Człowiek jest sam sprawcą swego losu, za cierpienia moje nie mogłem winić nikogo prócz siebie, za to co stać się miało, byłem winny zawczasu.

Oddawna stosunek mój z żoną stał się nieznośnym, dałem za wygraną wszystkiemu, co było dla mnie przyjemnością lub osłodą życia, ale nie mogłem w jej nieudolnych rękach zostawić wychowania dziecka. Córka z winy mego szalonego małżeństwa była rodzajem moralnej sieroty, chciałem być dla niej ojcem i matką zarazem, ale tutaj spotkałem niedobry własnej natury i poczułem gorzko bezużyteczność moją. Ja sam, rozbity na tysiące wątpliwości, ja, Augusta.



który na żadne pytanie sfinksa życia nie znalazłem odpowiedzi, sam będąc pastwą zwątpienia i nudy, jakąż odpowiedź dać mogłem na pierwsze pytania dziecka, które potrzebuje przedewszystkiem wiary i zasad? A przez jakiś rodzaj wstydu nie chciałem posługiwać się utartymi formułami; tą zdawkową monetą prawd i zasad ogółu. Dla mnie nie miały one żadnego znaczenia i w uchu brzmiały mi fałszywo, nie odpowiadając żadnej myśli. Znadto brzydziłem się kłamstwem, bym na tej podstawie mógł cokolwiek budować, każda odpowiedź moja na ciągłe pytania córki była dla mnie samego kłamstwem i fałszem, a nie mogłem pokazywać jej świata i ludzi takimi, jakimi wydawali się zbrudzonemu oczom moim.

A potem wychowanie dziecka, to ustawne czuwanie, wymagające wyosobnienia, zapomnienia siebie i ciągłej miłości. Ja zatopiony w egoistycznym cierpieniu, rozkochany sam w sobie, rozmarzony, rozpieszcilem ducha atmosferą materialnego zbytku i moralnego wykwintu, pozując przed samym sobą, przestałem rozumieć jędrne prawdy, niezbyte a twarde konieczności życia i nie byłem już w stanie nie ukochać pożytecznie i prawdziwie. Uczucia moje powlekły się księżycowymi barwami, niezgodnemi z trzeźwą realnością bytu, poezja była dla mnie jakimś poglądem oderwanym od rzeczywistego świata, a zatem fałszywym i konwencyonalnym; nie wchodziły w nią warunki życia i ona też kryła dla mnie swe ożywcze siły. W stanie agonii, zdrętwienia serca i myśli, zajęcie każde, praca na serwo stawały mi

się nieznosnemi, niepodobnemi prawie, bo nauki karpisnie uprawiane i porzucane, były zabawką tylko, zabiciem czasu dla niespokojnego ducha.

Stawiając się w myśli własnej na piedestale męczeńskim, sądząc się o całe niebo wyższym od otaczającego świata, pyszniłem się niejako z ran ukrytych, jakby one były piętnem niepospolitości; duma zasłaniała mi oczy, a byłem rzeczywiście nieudolną i nędzną istotą, nieumiejącą nawet pokierować pierwszymi krokami mego dziecka.

Tymczasem córka moja zaczynała rok siódmy, potrzeba jej było koniecznie innej opieki, niż nierozsądnej i ubóstwiającej matki, ale zadanie wyszukania nauczycielki łatwem nie było. Ja, przyznając, miałem rodzaj obawy i nieufności do tych biednych istot, tantalowych męczennic społeczeństwa, poświęconych nie z chęci i wyboru, ale z konieczności na twarde zawód nauczycielek. Świat otacza je i przyzwyczają do zbytku, by lepiej mogły czuć niedostatek; umysł wykształcony, myśl wyrobiona, pozwalają im tylko głębiej czuć upokorzenia, któremi zawód ich jest zasiany. Zdobne nieraz wdziękiem i talentami na to tylko, by niemi błyszczały inne, trudno im znaleźć pośrednią drogę pomiędzy upadkiem a heroizmem.

Jednakże konieczność i zwyczaj ogólny, ten wielki zwycięzca miękkich i leniwych, zwyciężył niechęć moją, postanowiłem tylko bacznie zwrócić uwagę na nauczycielkę mojej córki, a wybór jej zdałem na drugich a raczej na traf ślepy. Czy tylko traf ślepy dał mi poznać Augustę? Dlaczego właśnie ta



kobieta powiększyła nasze domowe, szczupłe grono? Dlaczego jej wprzód nie napotkał w życiu? Czy istnieje jakaś tajemnicza potęga naigrawająca się z marzeń naszych i stawiająca je faktami za późno?

Pamiętam dzień jej przyjazdu: był to piękny wieczór lipcowy, po dniu skwarnym słońce schyliło się ku zachodowi, roztaczając złoty blask po niebie i ziemi. Atmosfera była bezwietrzna i niebo bez chmury. Stałem na balkonie, który wspierając się na filarach wchodowego ganku, panował nad dziedzińcem pełnym krzewów i kwiatów. Widok z ganku był piękny i harmonijny, pola oddzielone zieloną przestrzenią dziedzińca złościły się z daleka, jakby tło krajobrazu, gwar żniwiarzy ginał w oddaleniu; żaden dźwięk powszedniego życia nie dochodził tutaj, nie mieszał burzliwej ciszy myśli mojej. Ale ja sam nierad z siebie i drugih, rozcierpiał i rozpieszczony, nie umiałem czuć słodczy tej godziny. Pierś moja podnosiła się wieczną skargą, wiecznem szemraniem, chmurny jak zwykle z zamglonym wzrokiem, patrzyłem na pogodę nieba, na uśmiechniony wdźwięk ziemi, nie umiając odczuć go ani zrozumieć.

Z daleka wzniósł się tuman w lipowej alei, doleciał mnie turkot, powóz wjechał na dziedzińiec i zatrzymał się przed gankiem. Wysiadła z niego Augusta.

Z razu powierzchowność jej uderzyła mnie tylko niewypowiedzianym a spokojnym wdziękiem rozlanym w rysach, ruchach, ubraniu nawet, uderzyła mnie dziwna młodość jej wejrzenia, plastyczność uśmiechu a nadewszystko jakaś atmosfera wykuintnej prostoty, która otaczała ją niejako. Na pierwsze wejrzenie

nie mogłem dać jej więcej nad lat ośmnaście i to nawet zdawało się za wiele. Płeć jej przejrzysta jak płeć dziecka lilijnej białości, mimo braku rumieńca, była jednak czerstwą; pod bledością jej licca czuć było krew bijącą, usta jej malinowe okrężał jakiś pół uśmiech promienny. Szczupła i drobna, miała gibkość ruchów nie tracąc wrodzonej powagi. Rysów jej twarzy nie rozpoznałem w tej chwili, ginęły one w ogólnym wyrazie i dotąd nie wiem, czy można je było nazwać pięknymi. Ale oczy jej siwe, wielkie i jasne, zdawały się odbijać wszystkie myśli i uczucia, nie tracąc właściwej sobie, nienętej pogody. Czoło jej było wysokie, a nad niem zwoje ciemno-złocistych włosów piętrzyły się niekarnie, miękkie i kręcone, wymykając się puklami z siatki, która ich bogactwa objąć nie mogła.

Taką na pierwsze wejrzenie ukazała mi się ta dziwna, zagadkowa istota, która, nie starając się o to, wywierała wpływ niepojęty na wszystkich i wszystko, która spokojną dobrocią kruszyła najtwardsze serca, pogodnym umysłem rozpraszała zwątpienia, budziła w koło szalone namiętności, nie domyślając się tego i mogła nigdy nie usłyszeć ich wyznania, taką czcigłwie przejmowała zarazem. Samo jej imię Augusta, to imię żon rzymskich Cezarów przystawało dziwnie do potęgi tej duchowej władcy, czyni o dziecięcej twarzy.

Gdy weszłam na dół, by ją powitać, zastałem ją obok Melanii w salonie. Zosia moja, zwyczajem rozpieszczonych dzieci, czepiała się sukien matki i z po za jej kolan ukradkiem mierzyla nowo przybyłą



ciekawem okiem; Melania łajała ją zcicha. Augusta przypatrywała się dziecku z jakimś dziwnem rozrzwiniem. Obejście jej było swobodne lecz poważne, ta kobieta miała rodzaj pewności siebie i razem zapomnienia o sobie, którego nigdy w życiu nie spotkałem w nikim, a które od razu stawiało granice odkreślające ją od ogółu. Znać było, że patrzyła nie na drugich ale w siebie samą, że każdy jej czyn, każde słowo, było owocem przekonania, rozlewało w koło tę niezmaconą harmonię, będącą jej własnym udziałem.

Patrzyłem na nią z daleka zdziwiony i zajęty, nie zdając sobie sam sprawy z zajęcia mego. Powoli Zosia zbliżyła się do niej, zawiązała się cicha rozmowa, głowa jej pochyliła się na czoło Zosi, i te dwie rozkwitłe twarze, uśmiechnione jedna bezmyślnym uśmiechem dziecka, druga pogodnym i cierpliwym uśmiechem niewieści, przedstawiły się oczom moim jako cichy ideał szczęścia i wdzięku. Zamyśliłem się patrząc na nie, i zamyśliłem tak długo, że w końcu Melania zbliżyła się i dotknęła lekko ramienia mego. Obejrzałem się do koła, byliśmy sami.

— O czemże tak? zapytała moja żona.

Nie odpowiedziałem jej nic, bo i sam nie wiedziałem co odpowiedzieć, budziłem się jakby ze snu i marzeń moich, których nie mogłem sformułować od razu; ale nigdy bardziej jej widok nie wydał mi się fałszywym dźwiękiem w mojem życiu.

— Jak ci się podoba, pytała dalej, nauczycielka Zosi?

— Nie wiem jeszcze, odparłem niecierpliwie, chcąc jej się pozbyć jak najprędzej, tak krótko ją widziałem.

— A mnie ona podoba się bardzo, rzekła Melania ze stanowczością istot jednostronnych i odeszła jak zwykle, zostawiając mnie myślom moim.

Po chwili z ogrodu doleciały mnie głosy wesołe. Stałem we drzwiach szklanych wiodących do ogrodu i w pośród klombów kwiatowych ujrzałem Zosię z Augustą; dziewczynka przylgnęła do niej od razu, przyciągnięta może magnetycznie wdziękiem co ją obwiewał, lub przeczuwając instynktem nie rozwiniętych istot, gorące szlachetne serce, z którego wdzięk ten pochodził.

Przypatrywałem im się z daleka, aż w końcu zmęczone siadły na schodach wiodących do ogrodu, prawie pod stopami memi, nie zważając na mnie lub nie widząc mnie wcale. Dziewczynka wieszała się na kolanach Augusty.

— Czy będziesz mnie kochać Zosiu? pytała swym dzwicznym głosem rozpieszczonego dziecka.

— Będę, odparła maleńka bez wahania.

— A czy wiesz, mówiła dalej Augusta, jak to kochać potrzeba?

Dziewczynka wlepiła w nią oczy ciekawe, nie rozumiejąc pytania.

— Trzeba mi ufać i wierzyć, a zatem słuchać mnie we wszystkim, jak mnie poznasz lepiej to się przekonasz, że ja nie zwiodę cię nigdy.

— To ja wtenczas pani wierzyć będę, odparła Zosia z namysłem.

— Masz słuszną, rzekła Augusta z uśmiechem na wiarę i ufność koniecznie zasłużyć trzeba.



W tych krótkich słowach zawartą była myśl głęboka i cały program przyszłości niejako; odpowiadał on dziwnie myślom moim i dlatego spoglądałem na Augustę z czcią i wdzięcznością. Zosia siedziała na jej kolanach.

— Zosiu, rzekłem chcąc dać poznać obecność moją, pani jest strudzona podróżą, a ty ją tak męczysz.

— O nie, zawołała Augusta, podnosząc się bez zdziwienia i pośpiechu i zwracając się ku mnie z lekkim odcieniem smutku w głosie, pozwól jej pan być swobodną ze mną, przypomina mi to moje własne dziecię, które straciłam przed laty.

I wsparłszy głowę na rękę, zamyśliła się chwilę.

— Jakto, zapytałem, więc pani miałaś męża i dziecię?

— Miałam męża, odparła z wolna, ale oddawna już jestem samą na świecie.

— Oddawna? powtórzyłem z uśmiechem, pani jesteś tak młodą.

— Mam lat dwadzieścia sześć, odparła, żyję już dawno.

I mówiąc to spoglądała na mnie jasnymi oczyma z taką słodczą, powagą i spokojem, że umilkłem ośniony.

Chciałem coś więcej wybadać od niej, kobiety zwykle tak chętnie mówią o sobie, ale Augusta umiała inny zwrot nadać rozmowie i z dziwnym taktem, nie tracąc swobody obejścia, dała mi poznać niestosowność dalszych pytań, iż cofnąłem się zawstydzony niedłwie.

Od dnia tego życie moje się zmieniło, jakby oświecone niewidzialnym promieniem; spokój zstąpił na mnie, świat wydał mi się pięknym, stracił tę osmucającą barwę, jaką mu nadawało osamotnienie moje. Augusta jasną istotą swoją roztaczała blask tajemnicy, pogoda jej twarzy rozlała się do koła nieujętej harmonią i wdziękiem. Ja odżywałem z wolna wśród tej atmosfery nowej, nie wiedząc sam z kąd mi ulga przychodzi, dlaczego przestawałem cierpieć, odwykałem od tęsknoty. Myśl pokochania jej daleką była odemnie, serce moje i sumienie odrzuciłoby ją ze wstydem; sądziłem, że burze uczucia były dla mnie niepowrotnie minione, i bez trwogi i oględności poddawałem się jej niewidzialnemu jarzmu.

Augusta od pierwszej chwili nie zmieniła się wcale, pozostała zawsze taką, jaką ją ujrzałem w dniu pierwszym, tylko bliższe poznanie odkrywało mi coraz nowe skarby wiedzy, głębokiego uczucia; wysokie prawdy życia wychodziły z jej ust dziecięcych z jasnością prostoty.

Zosia pokochała ją namiętnie, w każdej chwili można było spotkać te dwie istoty, tak różne wiekiem, życiem i myślą, zespolone jednaką zabawą, jednakim uśmiechem, pochylone razem nad kielichem kwiatu, nad wodą strumienia, nad rojem mrowiskiem; dziecię z zachwytem ciekawości, kobieta z zachwytem wiedzy. Augusta umiała macierzyńskim nieledwie instynktem zastosować wszystko do pojęcia dziecka, a ja nieraz z daleka słuchając jej nauk, połykałem ich mądrość spragnionym duchem, ona mogła być mistrzem moim.



Powoli świat, dawniej dla mnie tak czczy i po-  
sępny, nabrał życia i barwy; jak człowiek powsta-  
jący z długiej niemocy spoglądałem do koła świe-  
żem okiem, czując rozkosz życia i nie pytając z kąd  
ona pochodzi. Byłem w tym błogim stanie ciszy,  
ukojenia i wesela, jakie daje miłość niewiadoma  
siebie, ale cisza ta była zwodniczą; pierwsze wstrzą-  
śnienie ducha, łada spojrzenie, łada powiew trącając  
o serce moje, musiały odkryć mi stan jego i zbu-  
dzić z nową siłą hydrę boleści, którą Augusta jedna  
zakłąć i odzegnać mogła.

Chwila ta nadeszła niespodzianie jak zwykle w ży-  
ciu to wszystko, cośmy właśnie przewidzieć i uprze-  
dzić mogli. Namietność długo jeszcze drzemać mo-  
gła bezwiednie, traf zbndził ją nagle.

Oddawna już, wiedziony ślepym instynktem, sze-  
dłem za jej krokami nie zdając sobie o tem sprawy,  
jak cma przyciągana światłem. Dnia jednego, nad  
wieczorem, wśród ostatnich ciepłych uśmiechów je-  
sieni, skierowałem się ku najgęstszemu krzewom par-  
ku, gdzie z pagórka stare dęby panowały nad łąką,  
którą przerzynał bystry strumień. Augusta lubiła to  
miejsce: nieraz widziałem ją tam z Zosią siedzące  
na brzoazowej ławce pod dębami godziny całe, z ro-  
botą, lub książką w ręku, nieraz tutaj zasiadałem  
z niemi, na pozór zajęty czytaniem, łowiąc spr-  
gnionem uchem jej słowa lub srebrny dźwięk głosu.

Dnia tego szedłem machinalnie prawie znajomą,  
wąską ścieżką zamyślony, rojąc te zaczarowane kra-  
je bez nazwy, które odkrywa nam tylko namietne  
serca bicie. Nagle przypominałem sobie, że Zosia

z matką pojechały na jakąś wizytę w sąsiedztwo  
nie wiedziałem wcale gdzie jest Augusta, nie szuka-  
łem jej w ogrodzie, może nawet w tej chwili nie  
pragnąłem jej obecności, marząc spokojnie, gdy nie-  
spodzianie wśród rzadziejcej drzew zieleni mignęła  
mi w oczach jej jasna suknia. Zbliżyłem się cicho  
i powolnie; Augusta nie mogła mnie widzieć, sie-  
działa pochylona na ławce z czołem opartem o om-  
szony pień dębu tak, że nie mógł dojrzeć jej twa-  
rzy, ale postać jej cała wyrażała taki smutek, że  
stanął jak wryty przejęty nieopisanem uczuciem, bo-  
jąc się zdradzić, przyspieszonym oddechem lub tęt-  
nem krwi, która uderzyła mi do skroni i na chwilę  
wzrok zaćmiła.

Stałem tak długo na miejscu zapatrzonej w nią,  
to com widział odejmowało mi zmysły. Augusta sie-  
działa nieruchoma, ręce jej załamane, zaciśnięte, za-  
rzucone były nad głowę rozpaczynym ruchem, a całą  
jej wątłą postać wstrząsało konwulsyjne łkanie bez  
głosu ani jęku, które rozrywało jej piersi. Ramiona  
jej pod lekką suknią poruszały się gwałtownie, cała  
postać zdawała się drzeć, przynięcioną siłą boleści  
wybuchającą pomimo wysiłku woli.

Stanąłem jak skamieniały na ten widok, więc ta  
pogodna, ta plastyczna istota cierpiała tak gwałto-  
wnie, więc kryła tylko z nadludzką siłą rany serca  
pod uśmiechem twarzy, więc życie jej była to ciąg-  
ła komedia odegrana tylko po mistrzowsku? Zrazu  
zdawało mi się, że mnie wzrok myli, że ta kobieta  
płacząca tak rozpacznie, tak namietnie, to nie może  
być Augusta. Potem przyszło mi na myśl, że jakieś



niespodziane nieszczęście spadło na nią dnia tego, ale z nikąd wieść żadna nie doszła do nas. Chciałem zbliżyć się do niej, rozszalały jej bólem, którego widoku znieść nie mogłem dłużej; chciałem podać jej bratnią dłoń zbolałą, klęknąć przy niej i wyciągnąć ramiona po ten ciężar smutku, który wydałby mi się lekkim i rozkosznym; ale było coś hardego w jej bólu, co szanować się kazało nawet w chwili gdy ból ten zwyciężał jej wolę. Były w niej jakaś walka i niepoddanie się ducha, widne nawet w owej chwili upadku, które odrzucały spótcucie i nie dozwalały zbliżyć się zdawkowej ludzkiej pociesze.

Jakiem prawem, ja wątły i słaby, wspomódz mogłem tę wytrwałą istotę, która zwiodła nawet moje oko przez tyle miesięcy udaną pogodą.

I teraz chwila ta bezsilności długą nie była; wkrótce łkania jej stały się słabsze, powstała, wyprostowała drobną kibić jakimś hardym ruchem, odrzuciła z czoła pukle włosów przesuwając po nim ręką, jakby myśl natrętną odsunąć chciała, założyła białe ramiona na piersi wzdętej, falującej jeszcze łzami, jakby siłą uspokoić ją chciała, i tak stała chwilę, pasując się sama z sobą, blada pod różową zorzą zachodzącego słońca. Powoli wzrok jej łzawy zatonał w błękitnej, kryształowej przestrzeni nieba, po którym płynęły chmury purpurowe, i oko jej rozjaśniło się znów pogodą zwykłą, pół uśmiech roztworzył jej usta zaciśnięte. Szybkim krokiem zbiegła do strumienia, uklękła nad jego brzegiem i pochyłona obmyła twarz i nabrząkle od łez powieki; potem po-

wstała, raz jeszcze obejrzała się po niebie i ziemi, odetchnęła pełną piersią wonią wieczora, i wszedłszy na górę, skierowała się ku dworowi nie widząc mnie, nie domyślając się, że prócz Boga, jedno oko ludzkie jej łzy widziało.

Jam pozostał na miejscu odurzony, nie pojmując jeszcze wrażeń namiętnych, jakie ta chwila obudziła w mojej piersi, nie rozumiejąc, ani jej ani siebie, z okiem martwo utkwionem w miejsce gdzie ją widział. Wewnętrzna błyskawica odrętwiła mnie na świat otaczający. Chwiejącym krokiem zbliżyłem się do ławki, usiadłem w miejscu, na którym siedziała, oparłem czoło pałające o ten sam pień dębowy; mech, którym porastał, był zwilżony łzami, oderwałem go drżącą dłonią i poniosłem do ust namiętnie.

W tej chwili dopiero pojąłem, żem kochał i jaką miłością. Jak pożar długo tłumiony, który wybucha, gdy już cały gmach rozgorzał, uczucie to wybuchało szalone, gdy już całą istotność moją ogarnęło od dawna. Zrozumiałem to wszystko w jednej chwili, zrozumiałem czemu świat mi się mienił w oczach, czemu bezsilne skargi zamarły w myśli mojej; duchem, myślą, sercem i wolą należałem już do Augusty.

Czem ja byłem dla niej? Oto jedyne pytanie, jakim stawiał sobie, zresztą nie pomyślałem nawet o tem co nas rozdzielało, o żonie, o obowiązkach; w tej chwili dla mnie na całym świecie były tylko dwie istoty, ona i ja!

Późnym zmrokiem powracałem do domu, nie spodziewając się już dnia tego zobaczyć Augusty; sądziłem że uda chorą, zatrudnioną i zamknie się



w swoim pokoju. Nie znałem jej jeszcze. Pierwszą osobą, którą zobaczyłem wchodząc do pokoju, była ona. Melania powróciła wcześniej, a Zosia z Augustą układały kosz owoców do herbaty, przeplatając je winnemi liśćmi.

Stałem w progu i słuchałem jak szczebiotały. Co mówiły? nie wiem. W oczach migały mi tylko białe, w pół obnażone ramiona Augusty, zajęte spokojną pracą, byłyż to te same ramiona tak rozpacznie zaciśnięte przed chwilą? Zosia opowiadała jej coś, a kobieta rozśmiała się głośno swym czystym, swobodnym śmiechem. Byłaż to ta sama istota, którą widziałem niedawno tak złamaną? Czy łyż te, czy śmiech były kłamstwem? Dlaczego i przed kim grała tę podwójną komedję? Chwilę nawet zwątpiłem o sobie, zwątpiłem bym to ją rzeczywiście widział godzinę temu, samotną, łkającą.

— Czy dawnoście panie wróciły? zapytałem zbliżając się do stołu.

— Ja nie wyjeżdżałam wcale, odparła mi Augusta, podnosząc na mnie pełne prostoty śliczne wejście.

Nie, wejście to kłamać nie mogło. I razem uśmiechnęła się do Zosi, a usta podobnym ożywionym uśmiechem równie szczere być musiały w mowie i pocałunku.

Jednak różowe przy oczach obwódki świadczyły o łzach przedchwilowych, sprzeczały się z wzrokiem i uśmiechem, a na ciemno złocistych puklach pozostało jakby na świadectwo, niewidzialne dla in-

nego oka zdźbło mchu, którego wiatr nie zwał, a na nim jako brylant migotała łza.

— Musiałaś pani być w ogrodzie i wiatr zapewne rzucił ci mech na włosy, wyrzekłem głosem, nad którego drżeniem zapanować nie mogłem.

Przesunęła ręką po włosach spokojnie, zgarnęła je i przybliżając się do lustra rzuciła w nie nie-dbałe, przelotne spojrzenie. Ja patrzyłem na nią jak oczarowany, zapominając o ludziach i świecie, o ich prawach i sądach.

Całe życie moje było tylko jednym pasmem fantazyi, nie nauczyłem się obliczać wrażeń moich, nie panować nad sercem. Upojony dawno zapomnianą słodyczą, rozmarzony, z błędnym wzrokiem, drżący, namiętny, patrzyłem na nią zajętą domowem zatrudnieniem.

Nikt z obecnych nie zwrócił na mnie uwagi; Melania przyzwyczaiła się oddawna do dziwactw moich, Augusta nie wiem nawet czy spojrzała na mnie.

Dręczyła mnie obecność żony, dręczyło i ciążyło mi wszystko co nas otaczało. W końcu rozeszli się wszyscy, a ja wyszedłem na świat Boży, gdzieś daleko za ogród na pola, i tu po raz pierwszy spojrzełem w siebie.

Miałem rozagę szaleństwa.

Kochałem ją z namiętnością nagromadzoną w piersi mojej latami tęsknoty i cześci serca. Kochałem ją, nie przyszło mi nawet na myśl sprzeczać się z tem uczuciem. Owszem z jakąś wdzięcznością nieokreśloną spoglądałem w niebo, dziękując mu za to nowe życie, którem rozkwitła mi dusza, dziękując za bicia



serca, za łzy, nawet za cierpienia, słowem za wszystko co mi ta miłość przynieść mogła. Zapomniałem lat ubiegłych, siwiejących włosów na skroni, czułem się znów ubłogosławionym i młodym — kochałem. W tej chwili miłość ta starczyła jeszcze samej sobie, możliwość wzajemności, leżała po za granicami troski mojej; przewidywanie, trwoga, niepokój, nie psuły mi tej harmonijnej chwili, w której duch mój odzyskiwał swe prawa i mścił się w jednej chwili za lata zadawanego gwałtu. Dzień ten otworzył mi przepaść pod nogami, a jednak byłem szczęśliwy! Szczęście to dla mnie najwyraźniejsze, wspomnienie tych długich godzin przemarzonych samotnie.

Czułem, że ona jest niedaleko, wiedziałem, że spocznę pod jednym z nią dachem, że się znów spotkamy jutro rano, że cały szereg dni spędzonych razem leży przedemną. W tej chwili to mi wystarczało.

Jednak przyciągany magnetyczną siłą skierowałem się ku domowi. W jej oknie migało światło po za białą firanką. Może znowu w samotności boleść odzyskiwała swe prawa, może ona tam znowu pasowała się z cierpieniem. Nie mogłem znieść tej myśli, i z cicha, ostrożnie, przybliżyłem się do okna bez wahania, nie czując nawet, że rola, jaką przybierałem śledząc ją, gdy się sądziła samą, ubliżała mnie i jej zarazem. Za muszlinową firanką, jak za mgłą lekką, ujrzałem ją siedzącą przy stoliku z piórem w ręku, kreśliła coś z szybkością pewnej siebie myśli. Nie zmieniła nic w ubraniu, tylko włosy uwolnione z siatki spadały na jej szyję i ramiona, głowę

trochę wzniesioną wspierała na rękę, a czysta linia jej profilu rysowała się światła na ciemnym tle wewnętrznej ściany. Zresztą twarz jej była spokojna i nic w jej wyrazie nie zdradzało burzy, jaką przechodziła dnia tego. Czyż i w tej chwili grała komedye?

Gdybym był mógł pochylić się na jej ramię i zarzeć w te karty zapisane. Ta myśl opanowała mnie samowładnie jak każda pokusa, której dajemy władzę nad sobą chwilą poddaństwa.

Długo tak stałem pod jej oknem, zapominając o czasie. W końcu powstała, przebiegła oknem zapisane karty i zgasila lampę, jednak w pokoju tym oświeconym księżycem postać jej widną była memu oku. Zbliżyła się do okna, ja odsunąłem się szybko, Augusta otworzyła je i stanęła w niem w zwykłej postawie z głową trochę podniesioną. Niepodobiestwo było, żeby mnie nie spostrzegła, krzak ani drzewo żadne nie znajdowało się w bliskości, bym się mógł za nie ukryć. Przed domem z tej strony ogrodu rozścielała się szeroka murawa, w tej chwili srebrna od rosy i księżycy. Zbliżyłem się więc znowu pod okno.

— Czy pani nie śłaba — spytałem — przechodząc się po ogrodzie widziałem tak późno światło w pani oknie.

To samo pytanie ona mogła zwrócić do mnie; w tej chwili nie zastanowiłem się nad tem i stałem pozerając wzrokiem jej łagodne rysy.

— Miałam list do napisania — odrzekła — i zapomniałam spojrzeć na zegarek.

Augusta.



— A Zosia?—spytałem chcąc przedłużyć rozmowę.

— Zosia śpi doskonale — odparła, wskazując mi jej łóżeczko ocienione spuszczoną kotarą i zabierając się do zamknięcia okna.

Zatrzymałem jej rękę machinalnym ruchem.

— Pani—spytałem z cicha—czy nie odebrałaś dzisiaj jakiej złej wieści, jakiego smutnego listu? zdajesz się błada, zmieniona.

— Nie—odpowiedziała ze zdziwieniem, cofając rękę—wszakże dziś nawet nie jest dzień pocztowy.

— Prawda, jednak sądziłem! myślałem.

Nie wiedziałem co dalej powiedzieć, ale Augusta nie dosłuchała nawet słów moich.

— Dobranoc panu, już późno — wyrzekła tłumiąc lekkie ziewnięcie.

I zamknęła okno, zapuściła storę, a ja odalić się musiałem.

Któż odgadnie, z kąd pochodzą smutki nasze i weseła tajemne? Po tych kilku słowach, po ujrzeniu jej odszedłem se zmienioną myślą, wśród zachwyków ducha mego, wcisnęło się cierpienie nieujęte. Czemu? Co zmieniło się między nami? Obejście jej było jak zwykle przyjacielskie z odcieniem chłodu, może za niewczesne pytania, które jej uczyniłem, może za niewczesną godzinę, w której uczynione były. Czy te jej łzy, to cierpienie, było mi bodźcem nadziei? i traciłem ją widząc tę spokojność? Kobieta, która cierpi, jest bezbronną na pokusy, boleść zmniejsza jej siłę oporu i każe jej szukać wsparcia lub zguby w drugiej istocie.

Dzień ten tak ważny dla mnie, stanowiący epokę w wewnętrznych fazach mego ducha, nie zmienił nic na pozór w stosunkach naszych i wiele dni podobnych ubiegło napiętnowanych dla mnie męczarnią lub rozkoszą, zanim wezbrane uczucie wybuchnęło wyznaniem. Nie wiem jak obecni: żona, dziecię nawet, mogli nie widzieć tego wewnętrznego pożaru, którego odbłyśki płonęły mi na twarzy i w oczach. Nie wiem czy Augusta mogła nie domyślać się tego co wrzało w piersi mojej. Samotny błakając się po ulicach parku, po pokojach domu, wynurzałem jej ukryte myśli, namiętne cierpienia, ale widok jej zatrzymywał mi słowa na ustach, nieledwie spojrzenia w oczach. Drżałem jak dziecko przed mistrzem, pod spokojnym blaskiem jej żrenicy, pod majestatem jej pogodnego czoła. Samotny, bóstwiłem ją i przeklinałem na przemian, widziałem w niej zimną kokietkę, wabiącą a niechącą widzieć roznieconej żądzę, wyrachowaną egoistkę, mierzącą na szali rozważęci uderzenia serca, lub jakąś istotę ze mgły i śniegu, niedostępną ludzkim uczuciom i cierpieniom. Ale ciepły, serdeczny dźwięk jej głosu, ale jej twarz ruchliwa, promienna, ale słodycz uśmiechu, zadawały fałsz bluznierstwu rozszalałej myśli.

Nadewszystko dręczyła mnie zagadkowość jej prześlności, śledziłem ją krok za krokiem, niewiedzialny kryłem się w gąszczach zarośli lub po za szybami jej okna. Życie jej całe było dla mnie przezroczyste jak kryształ, sam miotany bez steru falami życia, nie mogłem pojąć źródła jej pogody, ani źródła tych



łez, które raz tylko, raz jeden, widziałem płynące po jej hardej twarzy.

Po roku, przeżytym pod jednym z nią dachem, wiedziałem tyle co i dnia pierwszego, od razu dała się poznać o ile dać chciała, reszta pozostać miała na zawsze tajemnicą.

Musiałem oddać sobie tę sprawiedliwość, iż przez ten rok cały nie postąpiłem ani trochę w jej zafaniu, nie zdobyłem jej przyjaźni nawet, ani tej głębszej uwagi, jaką sądziłem, że potrafię wzbudzić w każdej wyższej istocie. Czem żyła ta kobieta? wspomnieniem czy nadzieją? bo nie rozumiałem, by to życie codziennej pracy i obowiązku, nie ożłocone żadnym promieniem uczucia, starczyć jej mogło.

Sledziłem rzadkie listy jakie odbierała, wszystkie pisane były z drugiej półkuli, te zaś, które pisywała, adresowane były do domu handlowego w Melbourne. Widocznie tutaj był węzeł jej losu. Nieraz próbowałem zapytać ją o to, ale odpowiedzi jej były złe i suche, zamknęły mi usta. Ież razy ważyłem te listy w rękę z piekielną pokusą, by rozerwać pieczętkę i dowiedzieć się raz tajemnicy tego zamkniętego ducha. Resztki uczucia wstydu, wstręt obudzony wyrazem szpiegostwa, zaledwie zdołały utrzymać mnie na tej drodze czas jakiś, ale pokusa była coraz silniejszą, a siły moje coraz bardziej znurzone ciągnęły walką.

Rok blisko dobiegał jak Augusta weszła do mojego domu, a jednak żadnem słowem jeszcze nie zdradziłem przed nią miłości mojej. Nie przypisuję w tem zasługi sobie, woli mojej, ani uczuciom obo-

wiązku. Milezenie moje, było tylko wynikiem tego wewnętrznego przekonania, że słowa moje daremnie będą i zniweczyć mogą to bierne szczęście, jakie zlewała na mnie sama jej obecność. Ale ja byłem jednym z tych ludzi, których zła chwila zawsze zwyciężyć musi, bo nie miałem w samym sobie żadnego punktu oparcia. Na drodze, na której stanąłem, nie mnie powstrzymać nie mogło i stało się w końcu to, czegom najbardziej pragnął i lękał się razem.

Melania wraz Zosią wyjechała do rodziny swojej na dni kilka, ja sam z Augustą pozostałem w domu. Wypadek ten zdarzał się często; Augusta nie lubiła towarzystw czecznych, błyskotnych i nudnych, które uszczęśliwiała żonę moją i unikała ich o ile mogła.

Po długiej zimie, po chłodnej wiośnie, pierwsze spóźnione dni ciepła ożywiły obumarłą naturę, świat cały uśmiechnięty, wonny, rozkwitły, wlewał w pierś nieskończone pragnienie zachwyty. Byłem sam z Augustą, a jednak nie dość samotne zdawały mi się ściany domu, nie dość samotny ogród na to co wypowiedzieć chciałem.

— Chodź się pani przejść ze mną, wyrzekłem po obiedzie, widząc że według zwyczaju skierowała się ku drzwiom swego pokoju, tam za nią iść nie śmiałem.

— Chętnie—odparła, biorąc lekkie okrycie.

Przechadzki podobne nieraz odbywaliśmy dawniej, słowa więc moje zadziwić ją nie mogły. Augusta postępowała jak kobiety pewne siebie, wiedziała, że



zawsze i wszędzie obronić się potrafił od śmiałego słowa i spojrzenia; samotna w życiu liczyła na siebie samą tylko i zbrojna chłodem, dumą czy czyśtością myśli, miała to obejście harde i śmiałe kobiet usamowolnionych niejako cierpieniem, walką i świadomością siebie. Położyła więc rękę na mojem ramieniu i wyszliśmy przez ogród na pola i łąki. Pierwszy to raz od dnia, gdy sam siebie zrozumiał, byliśmy tak sami i razem. Wszystko złożyło się by mnie upoić, ziemia rozkipiała wiosenną siłą, wydawała jakieś wonie odurzające, słowiki odzywały się w krzakach namiętną nutą, miryady owadów wzbijały się brzęcząc ku słońcu, świat cały zdawał się żyć i kochać.

Ramię moje drżało pod dotknięciem jej drobnej dłoni, blade bez tchu prawie szedłem przy niej, nie śmiejąc spojrzeć w jej oczy. Szliśmy tak długo w milczeniu, nie mogłem przerwać jej pierwszy, jakieś uczucie trwogi, nadziei, przepełniało mi piersi, ścisnęło serce i głos odbierało. W końcu Augusta zwrócić musiała uwagę na mnie, bo nie zdolny dalej panować nad sobą, odurzony, upojony, zachwiałem się i wsparłem o drzewo.

— Co panu jest? — zapytała, podnosząc na mnie oczy, przerażona bladeścią i wyrazem twarzy mojej.

— To nic, nic, — odparłem, przesuwając ręką po czole, oprzytomniony nagle tem pytaniem; — czyż pierwszy raz jestem takim dzisiaj? czyś zwróciła pani kiedy na to uwagę?

W głosie moim był wyrzut i skarga.

— Ale pan cierpisz — pochwyciła nie zważając na ten odcień głosu, powodowana kobiecem uczuciem litości. — Słabo panu, oprzeź się na mnie, wróćmy.

— I cóż ztąd, — rzekłem, odpychając prawie jej rękę, — a pani czyś nie cierpiała nigdy?

Zamilkła zdziwiona temi słowy, odsunęła się o kroków kilka i milczała, topiąc we mnie badawcze, kryształowe spojrzenie.

Augusta nie była niewiniątkiem szesnastoletniem, ale kobietą, musiała mnie w końcu zrozumieć. Czulem to i nabierając odwagi, w samejże niepowrotnej stanowczości tej chwili, zbliżyłem się do niej i pochwyciłem jej rękę. Bądź co bądź, wysłuchać mnie musiała.

Milczała, nie cofając ręki i ciągle patrząc mi w oczy, jakby chciała zapanować siłą wyższego ducha nad szaleństwem mojem. Ale napróżno, zbyt długo chwila owa wyznania wrzała w piersi mojej. Jednak nie mogłem wytrzymać jej spojrzenia i spuściłem oczy bezwiednie prawie.

— Chodźmy ztąd, — wyrzekła w końcu Augusta głosem, który drżał mimo jej woli, ale który siłk się na spokojność.

— To napróżno, — odparłem, czując że mnie pojąć nie chciała — wszędzie chwila ta towarzyszyć nam będzie, nie unikniesz jej, skoroś ją zrozumiała.

— Ja nie nie rozumiem, nie rozumiem nie chcę, — odparła dumnie, podnosząc głowę i siłąc się wydobyć rękę z mego uścisku, — a pan nie będziesz śmiały powiedzieć mi w oczy to, czego usłyszeć nie powinienam, nie chcę.



Głos jej dźwięczał jakimś metalicznym brzmieniem, twarz ożywił rumieniec oburzenia, brwi lekko ściągnięte, oko płomienne, nadawały jej cechę dziwnej powagi, a jednak nigdy w życiu nie wydała mi się piękniejszą i gotów byłem uczynić dla niej wszystko, wszystko w świecie, prócz tego jednego czego żądała. Nie wypuściłem z ręki jej dłoni, ale pokonany tym wzrokiem i głosem, ukląknęłam zwolna przy jej stopach.

— Augusto!—wyrzekłam cicho lecz stanowczo, — stało się, wysłuchać mnie musisz, kocham cię od dnia, w którym ujrzałam cię po raz pierwszy, kocham cię, szaloną miłością nieszczęśliwych. Zrób ze mną co zechcesz, potępiaj mnie, nienawidź, ale wierzyć musisz w prawdę uczucia, które rzuca mnie dziś zwyciężonego pod stopy twoje.

Drżąc ramieniem obejmowałam jej kolana i wzrok podniosłam na jej oczy, jakby szukając w nich wyroku.

Stała nieruchoma, przykuta do miejsca moim uściskiem, usta jej drgały niewyraźnymi słowami, które próżno siła się wymówić, łyzy zalewały jej głos, łyzy oburzenia i dumy—nie mogłam omylić się na ich znaczeniu, spływały po jej licach.

— Mów pan, mów dalej,—wyrzekła w końcu urywającym głosem, czyż nie jestem zmuszoną cię słuchać? czyż ramie twoje nie trzyma mnie tu gwałtem. Mów pan, jesteś silniejszym i nikczemnym.

To słowo ostatnie dotknęło mnie jak żelazem gorącym.

— Augusto, jesteś bez litości, — szepnąłem, nie mogąc znieść jej pogardy, nie mogąc ręki mojej oderwać od niej, ja cię kocham.

— Czy wiesz pan — odrzekła gwałtownie, pochylając się ku mnie i topiąc wzrok w moich oczach, czy wiesz co znaczy to słowo zwrócone do mnie? Czy dałam ci kiedykolwiek prawo je wymówić? Czy odpowiedzieć na nie mogę inaczej jak wyrazem pogardy?

Tego było za dużo, dwakroć powtórzona obelga oprzytomniła mnie nagle. Powstałam i nie puszczaając jej ręki, wyrzekłam z goryczą:

— Masz pani słuszność, zapomniałem do kogo mówię, sądziłem, że głos serca, w sercu znajdzie jeżeli nie współczucie, to zrozumienie i litość, omyliłam się, przebac mi, obrazić cię nie mogłam, bo miłość taka jak moja obrażać nie jest, to tylko cierpienie nad siły.

Zamknęłam zwyciężony wzruszaniem, łzami narzynałam mi powieki, nie chciałam im dozwolić spłynąć, czułam, że te łzy nawet będą dla niej dowodem słabości tylko, że ona ich zrozumieć nie zechce.

Augusta targnęła tylko niecierpliwie rękę, którą ciągle więziłam w moich. Nie mówiła nic, bo i cóż po tych ostatnich słowach powiedzieć mogła, ale ja jak spadający w przepaść, co chwytą się nici pajęczej, wyrzekłam znowu po chwili łagodniej.

— Dorzucasz pani ostatnią kroplę goryczy cierpiącemu, depcesz upadłego, a przecie ty, którą wi-



działem płaczącą, powinnaś przynajmniej ocenić wartość łzy.

— Rozumiem, — pochwyciła Augusta — wyszedłeś pan jakąś chwilę słabości i zbroisz się nią przeciwko mnie, ale wiedz pan, że cierpienie jeszcze upadkiem nie jest. Nie dałam prawa nad sobą litości ani pociechy.

— Wiem, — odparłem — że pani pociechy nie potrzebujesz, ja sam zboleżały wiem to jedno tylko, że cierpię także, że kocham.

I bezsilny, zwyciężony, opuściłem głowę ku ziemi, ręka jej wysliznęła się z mojej. Kobieta korzystając z tego oddaliła się szybko, patrzyłem za nią bezmyślnie. Nie miałem już siły ją zatrzymać, wszystko nagle zczerniało mi w oczach, a ten świat wiośniany, tak kwitnący przed chwilą, przemawiał tylko do mnie dźwiękiem szyderstwa i rozpacz.

Nie miałem wówczas siły rozważyć następstw minionej chwili, zmierzyć przepaść, jaką ona wykołała między nami, Nie czułem nic, prócz tej palącej rany serca, która nie dozwoliła mi nawet czuć goryczy obrażonej dumy; kochałem zbyt prawdziwie, zbyt głęboko, by jakiegokolwiek innego uczucie pomieściło się w mojej piersi rozdartej i dało wytechnienie sercu chociażby zmianą cierpienia.

Chwila ta była niepowrotną może, czemuż pozwoliłem jej się przemknąć tak szybko? Czemu nie wyspowiadałem przed nią wezbranego ducha? Czemu głębi zbolejałej myśli nie odkryłem? Wówczas byłaby przynajmniej odeszła z żalem i bez pogardy. Ale

te zimne słowa na jej ustach padły na mnie lodem, byłem nadto szczerym, by działać rozważnie.

Teraz nie miałem nawet żalu do niej, Wyrzekłem prawdę przed chwilą, nie czułem już nic prócz boleści.

Nie wiem jak długo tak zostawałem, przygnieciony ciężarem bytu, ciężarem zmarnowanych nadziei, czując, że mi zniknął ostatni promyk światła. Pograżony w ciemnościach rozpacz, nie byłem nawet w stanie zważać na to, co działo się w koło mnie.

A tymczasem wiosenna burza zbierała się na niebie, huk grzmotów rozlegał się zdala. Słyszałem nierozumiejąc, nie widząc, nie czując prawie ulewnych strumieni deszczu; aż w końcu fizyczne uczucie zimna, dreszcze i ból zgorączkowanej głowy powróciły mnie do przytomności. Powstałem machinalnie i zaledwie zdołałem dowlec się do domu. Czoło ciążyło mi ołowiem, skronie pulsowały gwałtownie, jakiś zamęt i zawrót w mózgu odbierał mi pamięć chwilami.

Augusta w jadalnym pokoju robiła herbatę, szedłem ku niej, nie wiedząc prawie, że suknie moje były przemoczone i zwalane błotem. Wszedłem i spojrzawszy na nią, jakby gromem uderzony, zachwiałem się i padłem na krzesło. Wróciła mi pamięć, ale nie miałem siły ruszyć się z miejsca.

Augusta nie raczyła nawet zmienić względem mnie zwykłego obojętności, nie unikała obecności mojej, byłoby to ustępstwem, uznaniem miłości mojej. Co zamyślała dalej? nie wiem; ale twarz jej była bladą bardzo, a brwi ściągnięte odbierały pogodę jej czo-



ła, zdradzały niecierpliwie myśli. Nie powitała mnie nawet skinieniem głowy, zajęta dalej czynnością swoją, tylko nalała filiżankę herbaty i postawiła przed pustym miejscem, które zajmowałem zazwyczaj. Ja chciałem powstać, zbliżyć się do stołu i stanąć na równi jej zimnego spokoju, ale ciało odmówiło mi posłuszeństwa; cały pokój, sprzęty jego, zakręciły się, zawirowały w koło mnie, zęby moje zadzwoniły, głowa opadła mi na piersi i nie wiem co działo się ze mną przez chwilę.

Augusta zauważyła to widząc, zadzwoniła i gdy służący ukazał się w progu, zbliżyła się do mnie z gorącą herbatą,

— Musiałeś pan się przeziębic podczas tej ulewy — mówiła — wypij to pan prędko, jesteś chory zmieniony.

I biała jej ręka podawała mi napój do ust prawie, a choć twarz jej nie zmieniła surowego wyrazu, uczułem dziwną słodycz w jej głosie. Byłem tak szczęśliwy, że się mną zajmowała, że spojrzałem na nią z nieopisaną wdzięcznością i zamiast pić przycisnąłem usta do jej ręki.

— Pijże pan prędko póki gorące — mówiła, z lekka usuwając rękę i podając mi znowu herbatę.

Wypiłem machinalnie.

— Teraz idź się pan rozbierz z tych zmoczonych sukien i połóż się czempredzej. Józefie — dodała, zwracając się do służącego, — rozpal u pana ogień na kominku.

Byłem jej posłuszny jak dziecko i wyszedłem chwiejącym krokiem, wspierając się na ramieniu Józefa.

Noc całą miałem straszną gorączkę, majaczyłem, i nie wiem czy przez sen, czy rzeczywiście widziałem jej postać migającą koło mnie. Nad ranem dopiero zasnąłem snem ciężkim i nie obudziłem się aż koło południa. Z początku zdało mi się, że wypadki dnia przeszłego były snem tylko, ale powoli przypomniałem sobie wszystko z jakimś strasznym bólem, nie dającym się z niczem porównać. Później dopiero zacząłem namyślać się nad tem, co mi czyścić wypadało, bo czułem, że to, co zaszło, było niepowrotnem. Naprzód trzeba mi było koniecznie zobaczyć Augustę, wyczytać przebaczenie i litość w jej oczach. Dziwno, wówczas nie czułem obrazy żadnej, ani upokorzenia, mimo pogardy, z jaką odrzuciła miłość moją, nie mogłem wzbudzić w sercu żadnej nienawistnej myśli przeciwko niej.

Czekałem długo czy nie usłyszę jej głosu, lekkiego kroku koło drzwi, czy nie zapyta o mnie, ale napróżno, dom cały pogrążony był w milczeniu. Wreszcie nie mogąc powstrzymać niecierpliwości mojej, wstałem chociaż z trudnością i wyszedłem ze swego pokoju.

Wszystko w domu szło zwykłym trybem, nakrywano do obiadu, spytałem o Augustę, była w ogrodzie poszedłem jej szukać. Siedziała na ławce tuż pod domem z książką w ręku, ale oczy jej nle spoczywały na kartach, wlepiały się w przestrzenie, znać w nich było zamyślenie głębokie. Na mój wi-



dok wzdrygnęła się lekko, znać nie spodziewała się mnie zobaczyć i chwilę zdawała się namyslać jak powitać, ale wahanie to trwało krótko,

— Pannu już lepiej jak widzę—wyrzekła zwykłym głosem — niepotrzebnie się zatrzymała i posłałam po panią Melanię.

Te słowa dotknęły mnie do żywego, w tej chwili żona była ostatnią z istot, które widzieć pragnąłem. Jednak zdobyłem się na spokojność.

— A więc dobrze,—pochwyciłem—zanim Melania powróci pozwól mi pani pomówić z sobą, wysłuchaj mnie, a jakabądź będzie odpowiedź twoja, więcej nie usłyszysz z ust moich słowa jednego.

— Czyż nie nie zdoła wstrzymać próżnych słów i czecznych myśli? — zapytała poważnie — czy jesteś pan tak bardzo rozpieszczonem dzieckiem, że konieczne każdej fantazyi myśli dogodzić musisz?

— Augusto,—odparłem smutnie—krzywdzisz mnie i siebie podobnem słowem. Bóg widzi, że cię kocham całą siłą zbolełego serca, że cię czczę duszą całą, słowem, że istność moja cała należy do ciebie jednej. Nie obrażaj się, pozwól mi skończyć.

— Tyle razy słyszę z ust pana słowa nieszczęścia i cierpienia — rzekła z lekkim pogardliwym uśmiechem,—ale ja tego zrozumieć nie mogę, bo świat cały uśmiechać ci się powinien. Bawisz się pan w boleść jak dziecko nieuważne, nie znając widma, które wywołujesz; strzeż się pan, by cię Bóg nie ukarał rzeczywistym nieszczęściem.

— Więc pani wierzysz tylko—zapytałem—w realne, materialne cierpienie? więc nie sądzisz, by duch i serce miały swoje prawa i potrzeby.

— Duch i serce—powtórzyła Augusta—czyż świat cały nie stoi dla nich otworem; co krępować może ich działalność, przeznaczać ich prawa niewzruszone. Szczęście leży w nas samych, bo od nich zależy. Dla czego duch pana cierpi?

Słuchałem jej zdumiony, czy wyrazy miały dla nas wprost przeciwne znaczenie, żeśmy w te same odzywając się słowa porozumieć się nie mogli.

— Cierpię — odparłem — i cierpiałem zawsze, bo wszystko co mnie otacza, razi mnie dysharmonią, bo duch mój skrępowany rwie się w nieskończoność.

— Czyż nieskończoność nie leży otworem przed każdym co ma odwagę w nią spojrzeć? Czyż ona nie otacza nas zawsze i wszędzie? Doprawdy nie umiem pana zrozumieć.

I to mówiąc, patrzała na mnie ciekawym i uważnym wzrokiem. Widocznie staliśmy na dwóch krańcach duchowego świata. W milczeniu załamałem ręce, bo już nie wiedziałem w jakich wyrazach odezwać się do niej.

— Więc pani nie cierpiałaś nigdy? — zapytałem prawie z rozpaczą.

— Cierpienie — odparła zwolna i poważnie — jest konieczną przypadłością życia, spotykałam się z niem nieraz.

— Ale dla pani ono było zapewne wypadkiem i chwilą, nie zrosło się z myślą twoją, nie zespoliło z bytem.



— Nie—odrzekła, patrząc na mnie jasno i śmieje, bo wówczas nie byłoby to już cierpienie, ale jakaś chorobliwość wyobraźni.

— Więc masz pani wszystko, czegoś zapragnęła, życie ziściło ci marzenia młodości, więc jesteś szczęśliwą jednym słowem?

Milczała, tylko znów na jej ustach zarysował się lekko ten cichy, litośny uśmiech; czułem, że dla niej słowa moje były tylko słowami kapryśnego dziecka, choć dla mnie dźwięczały one treścią życia i ogarniał mnie jakiś wstyd niewyraźny, nie wiedziałem w czym błędziłem, ale wyraźnie myśli moje nie znajdowały w niem echa.

— Niech Bóg ustrzeże każdego— wyrzekła zwolna, po chwili namysłu—od życia podobnego memu. Wierz mi pan, że się skarżysz i kwilisz bez przyczyny, a cierpienie, którem zabawiasz znudzonego ducha, jest tylko owocem fantazyi, kaprysu.

— Augusto!—zawołałem—odpowiedz mi na to jedno pytanie, czy ty jesteś szczęśliwą?

— Szczęście—odparła lekko wzruszając ramionami—to wyraz rozległy jak świat cały, jeśli pan nazwiesz szczęściem spełnienie wszystkich marzeń, dogodzenie fantazyom, w takim razie nikt może na ziemi szczęśliwym nie jest, bo zachcenia nasze rosnać mogą w nieskończoność. Ale jeśli Bóg uskapił mi może darów życia, dał mi w zamian wiarę i pojęcie, nie tę bezcielesną wiarę, która gubi się w przyszłości, ale ożywczą wiarę obecnej chwili. Ja wierzę w posłannictwo każdej istoty na ziemi, w dobro, które sobie i drugim uczynić mogę, w możli-

wość wszystkiego co wielkie i piękne, w własność mojego ducha, w mądrość i sprawiedliwość rządzącą światem. Wiara i pojęcie otwiera mi wszechświat piękna i harmonii, który ukochałem i nad którym króluję, a jakiegobądź próby i cierpienia przyniesie mi życie, ufam, że nie upadnę pod jego ciężarem, bo dźwignię znajdę w myśli mojej.

— A serce twoje Augusto, serce czyż i ono zadowolni się pojęciem?

— Ja nie umiem oddzielać uczucia od myśli,—odparła, ożywiając się coraz bardziej—nie umiałabym pojąć tego, czegobym nie ukochała zarazem. Ja kocham wszystko co piękne i wielkie, serce moje raduje się na widok chmury purpurowej co otacza blaski zachodu, jak i na widok drzewa, które zima odarła z liścia. Patrzę z zachwytem na świat otaczający i na świat ducha, w którego wnikać mogę.

— I nie potrzebujesz pani—pytałem—by inne oko i inne serce podzielało uczucia twoje i biciem serca odpowiedziało, i ta czeza ogólna miłość wystarczyć ci może?

Spojrzała na mnie; chciała spojrzeć surowem okiem, ale zwolna wzrok jej się zamglit, i za zadrżała na jej gługich rzęsach i spadła zwolna na usta, które składały się do uśmiechu.

Pochyliłem się ku niej, byłbym dał życie, by móc tę łzę wypić na jej ustach, ale ona otrząsnęła się szybko z tej chwili wzruszenia.

— Jestem samą na świecie, — wyrzekła — sama dźwigam ciężar bytu, sama sobie wystarczyć powinienam, nie puszczam wodzy próżnym marzeniom, nie



zatrąwam tego co mi Bóg daje daremnie pragnieniem tego co nie jest. Być może, iż inni, więcej zadowolonych szczęścia mają odemnie, być może, iż tego cenić nie umięją, mnie wystarcza to co posiadam i jeszcze Bogu dziękuję za dar życia.

Mówiła prawdę, nie mogłem omylić się na wyrazie jej twarzy, na dźwięku głosu, a jednak przed chwilą rozumiała słowa moje, pierś jej weszła westchnieniem, oko zbliżyło łzami. To nie była zimna, bezduszna istota, ona mogła kochać, ona kochała już może.

Słuchałem jej upojony dźwiękiem tego głosu, zafascynowany, z jakim odzywała się do mnie po raz pierwszy i jakaś niewyraźna nadzieja zaświtała mi w sercu zboleła.

— Czy dziękowałabyś pani za dar życia—zapytałem zaledwie dosłyszalnym głosem, gdybyś kochała sama nie będąc kochaną?

Kobieta uśmiechnęła się dumnie.

— Gdybym kochała — wyrzekła z jakimś namiętym odcieniem w głosie — kochałabym godną siebie istotę i musiałabym ją szanować.

— Więc cóż mam uczynić, powiedz, rozkaż, by być godnym ciebie?

— Milczeć i zapomnieć — odparła bez namysłu — stłumić tę fantazję próżnego serca; ja ztąd jutro wyjeżdżam, czas zwieje mój obraz z myśli pana lub zastąpi go innym obrazem.

Te słowa spadły na mnie jak grom niespodzianie, z początku nie mogłem nawet dokładnie pojąć ich znaczenia.

— Wyjeżdżasz!.. ty wyjeżdżasz—powtarzałem machinalnie, topiąc w niej wzrok przerażony. W tej chwili nie mogłem zrozumieć, co to jest ją utracić.

— Czyż inaczej—mówiła dalej Augusta—byłabym tutaj, słuchałabym pana? Za parę godzin żona pana powróci, powiem jej moje postanowienie, za powód posłużą mi listy odebrane dzisiaj, a jutro rano opuszczę ten dom na zawsze.

— To być nie może!—wybuchnąłem gwałtownie—ty tego nie uczynisz! Augusto, karzesz mnie zbyt srogo; nigdy już, przysięgam ci, słowo, spojrenie nawet nie zdradzi uczuć moich — ale zostań, zostań przez litość!

I mówiąc to, obejmowałem jej kolana, przyciskałem do ust jej ręce.

— Tak być musi—odparła powstając—od wczoraj postanowienie moje jest nieodwołalne, inaczej pogardzałabym sama sobą, nie śmiałabym spojrzeć w oczy Melanii.

— Melanii — powtórzyłem boleśnie — więc to dla niej odpychasz serce moje, dla niej, która nie posiadała go nigdy, która nie rozumie nawet co ten wyraz znaczy!

— Ani słowa więcej — przerwała mi Augusta poważnie—zapominasz się pan: Melania jest żoną twoją, winienesz jej szacunek.

— Nie, nie winienem jej nic prócz goryczy, którą zaprawiła mi życie, prócz osamotnienia, które czułem przy niej zawsze; przysięgam ci, nie wiąże nas żadne wspomnienie nawet przelotnej chwili miłości, onaby i tego zrozumieć nie mogła.



— Tem gorzej, wybrałeś ją pan i poślubiłeś, słowami własnymi wydałeś sąd na siebie samego; człowiek odpowiadać musi za czyny swoje, obecność jest owocem przeszłości, życie nasze jest tem, czemyśmy je sami zrobili. Mówię to panu z uczucia sprawiedliwości, choć oparłam je na gorzkim doświadczeniu.

— Ty, Augusto!—wyrzekłem, składając ręce przed nią jak przed świętą—ty doświadczyłaś goryczy życia, a przecież czoło twoje jest jasne i bez zmarszczki, uśmiech i głos ma oddźwięk dziecinny, oko patrzy przed siebie prosto niezmaczone, powiedz mi, zkąd zaczerpnęłaś tę pogodę?

Uśmiechnęła się smutnie.

— Zaczerpnęłam ją może właśnie w bolesti—oparła stłumionym głosem, w rzeczywistych i twardych koniecznościach życia, w opuszczeniu i sieroc-twie.

Słuchałem jej zdumiony, jakby istoty innej natury. Jakim sposobem to właśnie, co mnie łamało i gubiło, dla niej stało się dźwięnią? Jakim cudem jady i trucizny moralne zmieniały się dla niej w pokarm odżywczy?

— Powiedz mi co o sobie—mówiłem błagalnie.

— Powieść życia mojego, jest zwyczajną powieścią—wyrzekła po chwili namysłu, w której zdawała się mocować sama z sobą, zbierając myśli i wspomnienia. — Straciłam rodziców w chwili właśnie, gdy najwięcej ich opieki potrzebowałam; rozpierzczona, bogata jedynaczka, przywykłam od dzieciństwa mieć wszystko, czego zapragnęłam, przywy-

kłam by odgadywano zachcenia moje zanim je wy-mówię, by każda chmurka przelatująca po mojem niebie, znalazła echo w sercu matczynym, usuniętą została przez ojca. Zostałam nagle samą na świecie, niezdolna pokierować sobą, niezdolna zdrowo myśleć, porównywać i wybierać.

— Ja także byłem sierotą—wyrzekłem, uderzony podobieństwem losów naszych.

— Opiekunem moim—mówiła dalej Augusta, nie zważając na przerwę moją, został daleki krewny, zaledwie znany mi z widzenia, dostałam się do jego domu. Serce moje rozdarte poniesioną stratą, skrwawione i miękkie, rwało się do współczucia, do serca, nie spotkałam go tam; pierwszy powiew życia zmroził moje uczucia. Opiekun mój był młody, wy-tworny, żona jego piękna i zazdrosna, nie mogła znieść obok siebie młodszej i jak mówiono, pięk-niejszej. Oboje pozbawieni byli zupełnie tego moralnego zmysłu, który daje nam klucz do serc ludz-kich; wszystko co szlachetne i wysokie, leżało po za granicami ich pojęć, atmosfera tego domu jak rdza padała na myśli, brudziła serca, mąciła poję-cia. W mojej szesnastoletniej głowie, rozkołysanej czułą a nieprzewidującą miłością matki, rozwiniętej pod szlachetnym kierunkiem ojca, wszystko było dopiero przeczuciem nieujętem w przekonanie, cier-piałam więc nie wiedząc dla czego, nie mogąc zhar-monizować się z otaczającym światem.

Dotąd ta powieść odpowiadała zupełnie przeszło-ści mojej, jakim sposobem, gdzie i kiedy rozbiegły się duchowe drogi nasze? Słuchałem jej cichwie.



— Wszystko dla mnie—ciągnęła dalej Augusta—było nowością straszną, niepojętą zagadką, o której znaczenia nie miałam kogo zapytać. W tym stanie rozstroju serca i umysłu, spotkałam człowieka, który został moim mężem i pokochałam go, uwiedzioną zrzecznem słowem, kłamanem westchnieniem, nie pytając komu oddaję przyszłość i życie całe. Posiadał on wszystkie powierchowne i złudne przyjemoty, które dziecko olśnić mogły. Żona opiekuna koniecznie chciała mnie się pozbyć z domu, mąż jej miał inne moze wyrachowania, dość że w kilka miesięcy zaledwie po poznaniu naszym wyszłam za mąż i wyjechałam z mężem do Warszawy.

Tutaj zaczyna się smutna powieść, stara jak świat a zawsze nowa, a niemniej bolesna dla tych, co ją odcierpieć muszą, historia omylonego serca. Większa część kobiet, które się spotyka idące ze łzami czy śmiechem krwawą drogą życia, przeszły podobną próbę, a miarą ich męki była miara siły i wytrwania uczucia. Ja byłam osamotniona, bez wsparcia i opieki, rzucona w wir brudnego świata jak istota spadła z księżycy, obca dla wszystkich i dla samej siebie. Mąż nie zajmował się mną wcale, raz posiadłszy mój majątek na cóż potrzebną mu byłam? Powoli stał się gościem we własnym domu; opiekun, którego widywałam czasami, ostrzegał mnie, że traci majątek i że dnie i noce spędza na grze. Cóż miałam odpowiedzieć mu na to, co poradzić, wychowana w zbytkach i dostatku, nie pojmowałam jasno warunków życia; ruina, nędza, były to dla mnie słowa bez wyraźnego znaczenia, znałam

je tylko z nazwiska. Mąż mój robił co chciał, oprzeć mu się nie umiałam, podpisywałam weksle jego, nie czytając ich nawet. Obok serdecznego zawodu nie starczyło mi myśli ani bólu na pojęcie innych cierpień.

Tak przeminęło lat kilka, których opisywać nie będę, gdy zajaśniała mi przecie w życiu pierwsza pociecha, Bóg zesłał mi dziecko. Ukochałam je całą siłą zboląłego serca, ale ten promień szczęścia trwał krótko bardzo.

Wówczas to spadł na mnie niespodziewany grom prawdziwego cierpienia; dnia jednego mąż mój, ścigany przez wierzących, wyjechał bez pożegnania, dokąd—nie wiem. Nie widziałam go więcej. Dłużnicy zabrali mi wszystko i zostałam się sama, wobec nędzy i sieroctwa, sama z dzieckiem u piersi.

I tu zatrzymała się chwilę pogrążona we wspomnieniach, w obrazach przeminionych już a łzawych jeszcze.

— Przebac mi pani—szepnęłam, biorąc jej rękę zimną i drżącą—czyż mogłem odgadnąć jak bolesną była przeszłość twoja.

— Nie mam panu co przebaczyć—odparła wstrząsając głową zwyczajnym sobie ruchem, pełnym energii i wdzięku,—nie powinniśmy się cofać przed gorczyzą wspomnienia tak samo, jak i przed przewidywaniem boleści; na dnie gorczyczy każdej leży przestroga, wiedza i hart ducha.

Wówczas poznałam najstrasniejsze męki, widziałam chorobę i nędzę istoty bezsilnej, którą kochałam. Brak pracy i fizycznych sił do pracy, płacz



nieustanny dziecka, któremu zbrakło zdrowego pokarmu, wreszcie zimno i głód, kazały mi zapomnieć o ranach serca, o próżni życia. Łamać się musiałam z nieubłaganymi koniecznościami bytu. Nie miałam czasu rozpieszczać się cierpieniem, rany jego były zbyt rzeczywiste, zbyt nagie i brudne. Byłabym pewno upadła pod ciężarem moim, ale miałam dziecko, musiałam żyć, walczyć i cierpieć jego cierpieniem. Walka była daremną, straciłam je po kilku miesiącach.

Tu głos jej zamarł, odwaga odbiegła i dwa strumienie łez popłynęły z jej oczów.

— I pani przeszłaś to wszystko—mówiłem z przeżeniem i zachwytem razem — i nie straciłaś pogody czoła; zawiedziona i zdradzona, przecierpiawszy tyle, patrzysz na świat łagodnie, znalazłaś spokój wewnętrzny, zachowałaś wiarę w życie. Boleść nie wmieszała ci kropli jadu swego do myśli, goryczą nie zaprawiła serca. I tak sama dźwignąć się potrafiłaś?

— Wówczas—odrzekła—nie rozumiałam nie prócz rozpacz, nie miałam nawet siły ani woli podźwignąć samej siebie, znieść ciężar swego losu, ale Ten, co strzeże w burzy małą ptaszynę, zesłał mi wsparcie wtedy właśnie, gdy złamana chorobą i bólem nie mogłam obejmąć się bez niego.

Stuchiałem jej przejęty wciąż nieledwie, a w myśli mojej zbudził się żal nieujęty, czemu wówczas nie było mi danem poznać ją, pokochać i stworzyć jej raj miłości, szczęścia i dostatku, o którym marzyłem. Wszystko razem, słowa jej i wypadki obe-

ene mieszały się w mojej głowie, osłabłej jeszcze nocną gorączką. Czekałem końca jej powieści z niecierpliwością i trwogą, nie śmiejąc już o nic zapytywać.

Nagle turkot powozu dał się słyszeć, żona moja powróciła, a rozmowa nasza przerwała się nagle.

Augusta pobiegła szybko, by ją powitać i uspokoić, a ja siedłem za nią machinalnie ze spuszczoną głową. Ale zanim dojsz zdołała do domu, we drzwiach szklanych salonu ukazała się Melania. Szła ku nam szybkim krokiem i gdybym był w tej chwili mógł zwrócić na nią uwagę, byłbym dojrzał, że twarz jej pokrywał niezwykle rumieniec, a oko zmierzyło nas nieufnie. Byłbym zrozumiał, że coś nadzwyczajnego wytrąciło z kolei tę bierną istotę.

Melania zaledwie skinąwszy głową Augustcie, zbliżyła się do mnie, nie zdolny byłam powitać ją w tej chwili.

— Cóż tu zaszło?—pytała urwanym, ostrym głosem—posłaniec Augusty zatrwodził mnie bardzo, ale widzę że źle minęło, lub też był to tylko jakiś egzaltowany wymysł rozmarzonej głowy.

Jak każda ograniczona a tem samem zarozumiała istota, Melania nazywała rozmarzeniem i egzaltacją wszystko to, co przechodziło jej ciasne pojęcia; słowa te nieustannie były w jej ustach, nie zwróciły więc mojej uwagi. Wzruszyłem tylko ramionami.

— Byłem chory wczoraj i noc całą — odparłem tylko.

— Tak, słyszałam, że chodziliście wczoraj na spacer, a deszcz i burza nie chciały was ominąć dla tego, żeście nie mieli czasu uważać na nich.



W jej głosie było szyderstwo, gdy wymawiała ten niby dowcip.

— W istocie przeziębilem się wczoraj—odparłem zdziwiony tym niezwykłym tonem.

— I spodziewam się, że ci nie brakło starania — dodała spoglądając niechętnie na Augustę.

Ja z kolei spojrzałem na żonę, nie pojmując co miał znaczyć ten rodzaj sceny.

— Szkoda żem powróciła tak prędko, nieprawdaż? — pytała mnie dalej — bądź szczerem, czy nie taka jest myśl twoja?

— Zapewne—odpowiedziałem obojętnie,—jeżeli ci to przykreść sprawiło.

— Przykreść — powtórzyła Melania — przykreść i gotowa się była rozpłakać.

Byłem niespokojny, zdenerwowany i nieszczęśliwy; ta kobieta miała dar niecierpliwienia mnie każdym ruchem i słowem; nie zważając na nią, oddaliłem się w milczeniu.

Wkrótce zgromadziła nas koło stołu godzina obiadowa. W chwilach moralnych wstrząśnień nie bardziej nie razi nad codzienne zwyczaje życia niezmieniające trybu; nie boleśniej nie przypomina minionych chwil spokoju i obecnych burz ukrytych. Melania milczała upornie, lub odzywała się słówkiem uszczypliwem; obiad ożywiało tylko szczebiotanie Zosi. Ja byłem zmęczony fizycznie i moralnie, nie miałem siły znieść już nic więcej, a słowa Augusty i to postanowienie wyjazdu, na którym myśli mojej zatrzymywać nie śmiałem, przejmowało mnie zimnym dreszczem trwogi.

Ale zrazu nic nie zdawało się zapowiadać, by ziściła groźbę swoją, jam nie pojmował by ją ziścić mogła. Nad wieczorem, niemogąc miejsca znaleźć sobie, rzuciłem się na sofę, stojącą w rogu salonu. Okna na ogród były pootwierane, przed domem, że na moja rozmawiała żywo ze swoją panną służącą Pauliną. Nie lubiłem tej dziewczyny; ciekawa i natrętna, nieraz nudziła mnie i niecierpliwiła, ale była to faworyta Melanii. Zrazu nie przyszło mi do myśli uważać na tę rozmowę, gdy wymówione imię Augusty uderzyło mnie nagle. Służąca opowiadała coś, ale wątku opowiadania pochwycić nie mogłem, domyślałem go się zaledwie. Po chwili Melania weszła do salonu i nie widząc mnie, bo zmrok zapadł i zakrywały mnie wysokie fotele, poczęła szybko i nierównym krokiem przechadzać się po pokoju jakby oczekując kogoś. Drzwi skrzypnęły lekko i na progu ukazała się Augusta.

— Wezwałaś mnie pani? — spytała.

— Tak jest—odparła sucho żona moja.

Ale nie dodała nic więcej, jakby namyślając się nad tem co powiedzieć chciała i nie znajdując słów właściwych, lub pomieszana wejrzeniem i obejściem Augusty.

— Właśnie i ja — wyrzekła ta ostatnia po chwili oczekiwania — chciałam panią prosić o chwilkę rozmowy.

— Pani, pani—powtórzyła Melania z niezwykłym sobie szyderstwem—dziwię się czemuś w tym względzie nie udała się do męża mego.



— Mówiłam już o tem z mężem pani — odparła Augusta chłodno, ale tonem tak poważnym, że Melania straciła wyraz sarkazmu. — Odebrałam dzisiaj niespodziewane wieści o chorobie jednej z moich krewnych, które zmuszają mnie natychmiast do opuszczenia domu państwa.

— Co pani mówisz—zawołała żona moja ze zdziwieniem—chcesz nas tak nagle opuścić?

— Tak pani—mówiła dalej Augusta z jednakim chłodnym spokojem.—Choroba jest to rzecz niecierpiąca zwłoki, chciałam jutro rano wyjechać.

— To być nie może—szepnęła Melania, jakby sama do siebie—to być nie może, więc to nieprawda. Głos jej był zwilżony łzami.

— Wybacz pani — pochwyciła Augusta miększym głosem — mnie samej ta konieczność jest bolesną, ale tak być musi.

Nie wiem co mówiły dalej, serce znękanе pękało mi w piersi i zapłakałam jak dziecko. Uczułam, że nic nie przemoże jej woli, a jednak nie mogłam pozwolić by wyjechała, bo życia bez niej nie rozumiiałam wcale.

Czekałam aż Melania oddaliła się z salonu i powstawszy poszedłam do pokoju Augusty. Wmawiałem w siebie, że próbować będę raz jeszcze ją zatrzymać. Drzwi jej pokoju były otwarte na oścież, nie potrzebowałam zapukać; Augusta odwrócona odmnie klęczała przed wielkim kufrem i ze zwykłym sobie spokojem pakowała rzeczy. Zosia, siedząc na małym przy niej stołeczku, zanosila się od płaczu.

— Nie płacz tak, Zosiu—mówiła Augusta, przerywając zatrudnienie swoje i tuląc maleńką do piersi—nie płacz tak, bo i ja gotowam rozplakać się także.

— Ty nie potrzebujesz płakać — mówiło dziecię ze zwyczajną temu wiekowi logiką, zarzucając jej ręce na szyję — ty mnie nie kochasz, gdybyś mnie kochała zostałaabyś z nami.

— Kocham cię Zosiu jak własne dziecko—odparła—a jednak odjechać cię muszę, naucz się zawczasu najdroższa, że nie zawsze wolno nam robić to, cobyśmy chcieli.

— Dla czego? — pytała dziewczynka — gdzież ty pojedziesz? czy ci tam lepiej będzie niż tutaj? czy cię tam tak kochać będą? Ja byłam taka grzeczna, nie zasłużyłam byś mnie porzucała. Czyż nie postuślałam cię kiedyś?

— Prawda — odpowiedziała Augusta z uśmiechem łzawym—prawda, byłaś dobrem i posłusznym dzieckiem, a jeśli mnie kochasz to pamiętać będziesz na zawsze nauki moje i słuchać jak gdybym tu była.

— O nie—przerwała Zosia ze łkaniem—ja niechcę tu zostać bez ciebie, weź mnie z sobą, weź z sobą.

— Jakto Zosiu, a ojciec i matka, czy chciałybyś ich zostawić?

— Ja kocham mamę i tatę, ale ciebie więcej daleko.

I cisnęła się do niej rozżalona, obejmując jej szyję drobnymi rączkami. Augusta milczała przez chwilę wzruszona szukając odpowiedzi.

— Tak ci się teraz zdaje Zosiu—wyrzekła w końcu drżącym głosem,—bo czujesz, że mnie masz utra-



cię, ale to być nie może, byś mnie obcą kochała więcej niż rodziców.

— Tyś nie obca—zawołała Zosia—gdym chorowała przeszłej zimy na odrę, tyś nie spała przez tydzień i godziny jednej, ile razy otworzyłam oczy widziałam cię pochyloną nad mojem łóżeczkiem, a mama i tata przychodzili tu tylko czasami. Pamiętam jakieś wtenczas zmierzniała i pobladła, doktor bał się byś sama nie zachorowała. Nikt tak jak ty na pytania moje odpowiadać nie umie; mama nie lubi rozmawiać ze mną, a tata odpowiada mi zawsze, że tego zrozumieć nie potrafię, ty jedna wytłumaczysz mi zawsze wszystko, a umiesz tak rozkazywać, że cię zawsze posłucham z rozkoszą. Ja nie tęsknię za mamą i tatą, a czuję, że umrę za tobą.

I tu łzy jej się wzmogły, wieszala się na ramionach Augusty z niepomahowaną dziecinną rozpaczą. Patrzyłem na to ze łzami w oczach

— Czyż nawet żal tego biednego dziecka — odezwałem się w końcu — czyż nawet miłość jego zatrzymać cię pani nie zdoła? Zosia ma słuszość, że cię kocha więcej niż ojca i matkę, byłaś dla niej więcej niż oni.

Augusta obróciła się nagle na dźwięk mego głosu i spojrzała na mnie oczyma łez pełnemi, z wyrazem serdecznego wyrzutu. Ale Zosia usłyszała mnie także i zrozumiała od razu, że we mnie znajduje poparcie.

— Tato—zawołała, rzucając się ku mnie—tato, ty nie pozwolisz by ona pojechała.

— Prośmy ją oboje Zosiu—wyrzekłem, podnosząc ją w górę i tuląc namiętnie do serca, prośmy ją by chciała zostać.

— Ty nie nie wiesz—szepnęło dziecko, nachylając się do mego ucha—ty nie wiesz, mama nie lubi Augusty. Mama łaje mnie za to, że ja ją Kocham; Paulina zawsze Augustcie dokucza i mamie różne rzeczy na nią mówi. Powiedz mamie, by odprawiła tę brzydką Paulinę.

— Czyż być może pani—zawołałem rozplómienny—czy kto w domu moim poważył ci się ubliżyć? Augusta wzruszyła ramionami.

— Tak jest, ubliżono mi, pan wiesz o tem jak najlepiej—wyrzekła cicho lecz dobitnie.

Spuściłem głowę z rozpaczą.

— I gdzież pojedziesz pani?—szepnąłem machinalnie prawie.

— Gdzie—powtórzyła — w świat szeroki, przywykłam być wszędzie jak ptak na gałęzi, gotowa każdej chwili do odlotu; ale widać nie mam ptasiej natury—dodała smutnie—bo chwila ta jest mi zawsze bolesną, przywiązuję się nawet do miejsc, gdzie cierpiałam; żal mi myśli moich rozpierzchłych, które już nie powrócą do mnie odbite od martwych przedmiotów, żal mi tej części życia, która staje się już wyłączną własnością przeszłości, a nadewszystko żal mi tej ufności i miłości dziecka, której nie odnajdę już nigdy może, tej inteligencji, która rozwijała się tak jasna a tak serdeczna. Powinieneś pan zastąpić miejsce moje przy Zosi—dodała zwracając się do mnie z błagalnym prawie wyrazem.—Nie idź



pan za ogólnym przesądem, nie chowaj jej pan jako kwiat w cieplarni, ale przygotuj myślącą istotę do trudnej walki życia. Wierzej mi, kobiecie więcej jeszcze niż mężczyźnie niezbędny jest ster rozumu, on jeden strzedz ją może od omyłek serca, od ośmaień nerwów. Niechaj wie zawczasu, iż sama za siebie odpowiadać musi i powinna, niechaj nie czeka aż nauczy ją tej prawdy gorzkie doświadczenie życia. Na sumieniu pana ciążyć będzie ten obowiązek.

— Nie — odparłem gwałtownie — ja tego uczynić nie potrafię, ja nie chcę dalej dźwigać ten nieznośny ciężar życia. Jedź pani, skoroś tak postanowiła, ale pamiętaj, że popełniasz zły uczynek, cofasz się przed obowiązkiem, bo miałaś tutaj ster dwóch dusz które bez ciebie zmarnieją.

— To łatwo — wyrzekła z oburzeniem Augusta, zwalić na drugih ciężar własnego bytu, obarczać drugih własnym obowiązkiem, doprawdy sądziłam, iż odzywam się do człowieka, a znajduję dziecko kapryśne i nierozsądne.

— Ja dzieckiem byłem tylko w twojem ręku — odparłem ponuro — i gotów jestem przysiąc ci posłuszeństwo dziecka, ale nie opuszczaj nas, nie jedź — dodałem namiętnie.

Kobieta wzruszyła tylko ramionami i wskazała mi Zosię, słuchającą uważnie słów, których znaczenia pojąć nie mogła.

— Dobrze — odparłem, niezdolny dalej się pohamować — niech odpowiedzialność za to co się stanie spadnie na ciebie jedną, ale przysięgam, że wyjeź-

dżając z tego domu nie zachowasz na twarzy tego martwego spokoju.

— Jakiem prawem, zapytała dumnie, zrzucić chcesz pan na mnie odpowiedzialność za twoje własne czyny i szaleństwa?

— Prawem serca, któreś doprowadziła do rozpaczy, odrzekłem, nie zważając już na nic, dowiedź się, że z rozpaczą i szaleństwem igrać nie można bezkarnie.

I nie czekając odpowiedzi wyszedłem szybko. Szedłem sam nie wiedząc dokąd, aż trafiłem przed domem na tę samą ławkę, gdzie dziś rano jeszcze rozmawialiśmy z sobą. Siadłem na niej, oparłem głowę na rękę i nie czułem nic prócz piekielne go bólu. Stało się, musiałem ją utracić. Zrazu nie mogłem uchwycić wątku myśli, duch mój szalał i majaczył. Czułem tylko niepodobieństwo dalszego życia, niepodobieństwo obudzenia się jutro i patrzenia na jej odjazd. I myśl samobójstwa, to nieodstępne widmo pokusy mego marnego życia, opanowało mnie samowładnie, a ja poddałem mu się bez walki.

I wówczas padł mi dziwny spokój na myśli i serce, postanowiwszy skończyć raz bez zwłoki to pasmo zawodów i cierpień, które dla mnie zwało się życiem, począłem z zimną krwią rozważać obecną chwilę i przeszłość moją całą.

Przypominałem sobie tę szaloną gonitwę za szczęściem, które zawsze zmieniając kształt i barwy wymykało się zmordowanej dłoni, później tę apatyję ducha, to życie bez celu, jakie wiodłem przed poznaniem Augusty; jak szukałem napróżno lekarstwa

Augusta.



w pracy i nauce, a nie zdołałem nigdy uspić serca ani ukołysać myśli. Dziś już i do tego nawet zdolny nie byłem. Znużony i pokonany składałem broń, nie troszcząc się nawet czyli to nazwą odwagą lub tchórzostwem, nie dbając o sądy ludzkie, pragnąc jedynie zapomnienia bez końca i snu wiecznego bez marzenia. Ja nie wiem nawet, czym kochał w tej chwili kogobądź, nawet Augustę, myśl o niej było to coś jak gorące żelazo dotykające świeżej rany.

Długo tak zostawałem zatopiony w ciszy cierpienia, gdy podniosłem machinalnie oczy słysząc zbliżające się kroki, i ujrzałem przed sobą Józefa z dużą kopertą w ręku.

— Co to za list, spytałem tknięty jakimś przezcuciem.

— To pani Augusta oddała na pocztę.

— Daj mi go, zawołałem, wrywając mu prawie pismo z ręki, ja sam jutro będę na pocztę.

List był pod zwykłym adresem, schowałem go do kieszeni wstydząc się własnych myśli, lękając się zdradzić tej haniebnej pokusy, co mnie w ostatniej zwyciężała chwili. Kłamałem jeszcze przez czas jakiś walką przed samym sobą, bom z góry już wiedział że ulegnę. Po raz ostatni może miałem jej tajemnicę w ręku, mógłbym tak pozostać? Kto wie co tam miałem znaleźć? może uleczenie. Gdyby to słowo że mnie kocha; może sama Opatrzność dawała mi w rękę pociechę w chwili, gdy brzemień boleści stawało się nad siły. Czy powinienem był ją odrzucać?

Porwałem się z miejsca jak szalony, pobiegłem do swego pokoju i zamknąłem drzwi na klucz. Noc

była zupełną, nie można już było nie rozeznac; korzystałem z ciemności by rozerwać pieczętkę, bo czułem że rumieniec wstydu występował mi aż na czoło, a lękałem się, by jakie zwierciadło nie odbiło obrazu hańby mojej w chwili kiedy ją spełniał.

Rozerawszy pieczętkę zatrzymałem się chwilę, w pół przerażony czynem, w pół szczęśliwy, że mi się już cofnąć niepodobna, ręce moje drżały tak mocno, iż zapalką nie mogłem dotknąć świecy, i długa chwila upłynęła zanim potrafiłem do tyła zapanować nad sobą, żem usiadł przed biurkiem i roztworzyłem jej list. We środku był drugi adres do Adryana R. Uderzyło mnie imię i nazwisko, znałem tego człowieka oddawna i straciłem z oczów. Byliśmy kiedyś towarzyszami szkolnymi, w młodych latach on był najbliższym sercu memu, później rozeszły się drogi nasze, on poświęcił się pracy, nauce, wslawił się jako lekarz, ja zakopałem się w egoistycznym cierpieniu. Ale wówczas nie zastanowiłem się nad tym dziwnym trafem, jedyną myślą moją było, jaki węzeł łączył go z Augustą, i spojrzałem chciwie na jej pismo. List był długi, pisany zbitym lecz wyraźnym charakterem, znać było, że go skreślono jednym rzutem od razu, bez namysłu, jak każdy list serdeczny.

„Znowu zmiana w moim losie”, pisała Augusta, „znowu z innej strony, z pośród innych ludzi posyłać ci będę niezmiennie myśli moje. Bo myśli moje przynajmniej są niezmiennie, dzięki tobie, który otworzyłeś mi oczy, ukołłeś zbolełe serce a umysłowi wytknąłeś kierunek. Nie sądź, bym kiedykolwiek o tem zapomnieć miała; w każdym trudnem przeję-



ściu, w każdej chwili kiedy duch mój słabnie, puszcza ku tobie myśl moją, powraca mi do pamięci owa chwila, gdy po raz pierwszy, otwierając oczy po długiej chorobie, znalazła ciebie i matkę twoją pochyłonych oboje nad mojem łóżem, nad pustą kołębą. Pamiętam białe włosy twojej matki gładko zaczesane nad szlachetnem czołem, i ten wzrok pełen łagodnej miłości, który padł pierwszy na zbolełe serce moje, i od razu lepiej niż najwymowniejsze słowa powrócił mi odwagę i wolę do życia. Pamiętam jak z wolna oboje leczyliście ciało i ducha mego, pamiętam gdy zaczęłam już siły nabierać, gdy wypowiadać chciała przed wami palące rany zawięzzonego serca, gdy tyś chciał powstrzymać słowa moje, które mi łzy wyciskały z oczów; a matka twoja, powodowana kobiecym instynktem, wyrzekła stanowczo, opierając głowę moją na swojej piersi. — Pozwól jej mówić Adryanie, te łzy spłakane raz być muszą, te bóle wyznane, zanim z niemi walkę rozpoczniesz. I miała słuszość. Dodał dnia nieraz serce wzbiera mi łzami które spłakać muszę; do dziś dnia pamiętam, że, chcąc boleść zwyciężyć, trzeba się z nią mierzyć oko w oko, bez trwogi, i wypić do dna jej gorycz.

„Zapytasz mnie może, czemu dzisiaj piszę ci to po raz pierwszy, czemu powracam myślą do ciężkich chwil przeszłości, kiedy nauczyłeś mnie czuć słodycz życia i nie szczęścia wysnuwać z własnej duszy. Ja na to dokładnie odpowiedzieć nie umiem, choć wiesz, że bez miłosierdzia badam samą siebie.

„Wielkie, chociaż minione cierpienia są może tem dla ducha, co owe mistyczne stygmata, które, według legendy, otwierały się same w dniach pewnych i ciekły krwią świeżą: cierpienie to nie jest przemijające usposobienie chwili, ale raczej jakaś tajemnicza a niezwalczona potęga, która zatrucha nam zarówno wspomnienia przeszłości jak i nadzieje jutra. Powinniśmy strzedz się istot, które cierpiały za wiele, bo w głębi nich tkwi jad nieuleczony. Oto może tajemnica tych chwil zwątpienia i upadku, które przychodzą na mnie niespodzianie jak burza, i wśród których spłakać muszę łzy przeszłości. Może też leży ona w osamotnieniu mojem, w tem położeniu odrębnem, przeciw któremu buntuje się serce. Od czasu śmierci matki twojej zdaje mi się, że jestem podwójnie sierotą, bo każda nowa strata odnawia dawniej poniesione straty, a twoje bratnie ramie tak daleko odemnie. Jednak opieka twoja trwa nademną niewidzialna, nie ta zdawkowa opieka, którą przywykłam być sama dla siebie, ale ta wyższa opieka ducha, którą czuję nad sobą i przed sobą jak gwiazdę przewodnią, jak wskazodrogi życia. Myśli nasze muszą spotykać się nieraz w krainie nieskończoności, we wszystkim co wysokie, jasne i szlachetne, w dniach pogody i zachwyty, bo one we mnie są odbiciem twojem, i częściej panują mi niż dnie bólu.

„Dla ciebie wszystko to jedno, z jakiego miejsca, z jakiego domu piszę do ciebie, wiesz, że wiesz muszę tułaczę choć jednotonne życie, dla mnie każda zmiana jest przykrą. Układam się szybko do równo-



wagi z mojem położeniem, zmiana każda udręcza zbolełego ducha, odmawia mi źle zabliźnione rany, nie cierpię tych zmian pozornych, gdy węgielny kamień losu mego zmienić się nie może.

„Ale są konieczności nieubłagane, nie będę wchodzić w drobne okoliczności, które zmuszają mię do zmiany, tak być musiało. Nie potrzebowałam zasięgać rady twojej w tej mierze, bo zdaje mi się, że ludzie dobrej woli widzą zawsze jasną i nieomylną drogę przed sobą. Tylko słabe i niedołężne umysły, tylko ci co chcieliby cudzą odpowiedzialnością zasłonić się przed własnem przekonaniem, pytają wiecznie co czynić mają? Nie sądzę się lepszą od drugich, ale zawsze bez namysłu wiem jak powinienam postąpić, gdybym zbłądziła, byłabym winną podwójnie, bo nie mogłabym złożyć się niewiadomością.

„Ostatni list piszę do ciebie z miejsca, które tak ukochałam, pisałam ci nieraz o dziecku powierzonym opiece mojej. Dzisiaj serce mi pęka, żegnając się z niem na zawsze. Zosia jest w wieku, który dziś miałaby moja córka, i kocha mnie więcej niż własnych rodziców. Ileż razy gdy zwieszała główkę na mojej piersi, szczebiocząc mi swe dzieciinne myśli, zamykałam oczy mimowolnie i wywoływałam w duchu obraz mojej utraconej małej. Wierzyłam, że to ona jest przy mnie, że czuję bicie jej serca przy mojem, że nie rozdzielimy się już nigdy i stęskniona dusza moja odżyje.

„Dziś za te złudzenia ukaraną jestem srogą boleścią rozdziału, trzeba mi było kochać ją realniejszym uczuciem a nie wcielać w nią marzenia

i tęsknoty moje, trzeba mi było mieć odwagę rzeczywistości. Biedna Zosia! i ona niewinnie pokutuje za mnie, gorączkowa miłość moja wywoływała w niej żywsze uczucie. Źle kochana przez rodziców, całem sercem przyłgnęła do mnie. Matka bezrozumna i kapryśna, nie mogła mieć jej poszanowania; ojciec, rodzaj chorobliwie rozpieszczanego dziwaka, nie mógł mieć jej miłości. Jak tyle innych dzieci w naszym rozstrojonym społeczeństwie będzie sierotą przy rodzicach, bez domowego ogniska, i pójdzie zwykłym torem istot beczelnych i nieświadomych. Czemuż nie mogę być jej matką, ogrzać ją w cieple mego serca, wlać w jej umysł myśli i wiarę, rozwikłać wolę, zahartować ducha?

„I znowu wpadam w marzenia, za które łajac mnie powinieneś ty, co tak trzeźwem okiem umiesz zapatrywać się na wszystko, zamiast poprzestawać na wydzielonej mi częście; ależ wolno nam jest spoglądać w nieskończoność, wolno nam cierpieć byle to cierpienie nie wiodło nas do upadku. Nie lękaj się o mnie, przed ludźmi i sobą jestem silną, przed tobą jednym otwieram głębie ducha, bo mi to jak spowiedź doroczna potrzebne, a dziś opanowała mnie straszna nieukojująca tęsknota, serce moje rwie się do ciebie.

„Wkrótce opiszę ci co dalej czynić zamierzam, gdzie żyć będę, dziś przebac mi, że ci mówię tylko o nieuśpionym bólu sierocego serca, który znosić umiem, ale na który cierpieć nie przestaję. Ty w zamian przyslij mi bratnie słowo, bo widzisz jak go potrzebuję. Powiedz mi raz, jakie prace, jakie za-



dania trzymają cię tam wśród obcych na drugiej półkuli, bo mimo wszystko nie mogę zrozumieć, co cię skazało na to dobrowolne wygnanie. Myślą stęsknioną gonić cię muszę wśród tego twardego społeczeństwa zdobywców materialnej potęgi, wśród kłócących się z sobą różnorodnych żywiołów. Pomimo wszystko ja czuję, że twoje miejsce tam nie jest. Ty, którego mienie aż nadto wystarcza skromnym potrzebom, którego jedyną żądzą jest żądza wiedzy i światła, co robisz tam w owoce handlarzy i awanturników? Mimowolny dreszcz mnie przechodzi, ile razy doleci mnie wieść od ciebie, bo miesiące dzielają dzień, w którym piszesz do mnie, od dnia, w którym ja list twój odbieram. Co stać się mogło przez ten czas cały? myśl moja niepokoi się tem napróżno. Kiedyż powracasz? Pod tym względem listy twoje są ciemne. Cel podróży i jej koniec są dla mnie nieodgadnione. Dręczyłby mnie ten rodzaj tajemnicy, gdybym ciebie mniej znała. Ale wiem, że wszystko co czynisz musi być dobrem, konsekwentem; milczenie twoje nawet musi mieć przyczynę. Jednak, jeżeli możesz, bądź szczerym ze mną; pamiętaj o tej, która chować ci wiecznie będzie najserdeczniejszą przyjaźń, najwdzięczniejsze wspomnienie”.

List ten obudził we mnie najsprzeczniesze uczucia, najprzód i nadewszystko poczułem cierpienie upokorzenia. Augusta tak mało ważyła mnie, że nawet ta miętna miłość, wzbudzona przez nią, nie znała miejsca w jej piśmie. „*Nie będę wchodzić, pisała, w drobne okoliczności, które zmuszały mnie do opuszczenia tego domu. Ojciec Zosi jest chorobliwie rozpiesz-*

*czonem dziwakiem*”. Uczucie draśniętej miłości własnej, obrażonej dumy, wyrzyło mi te dwa frazesa w mózgu ognistymi zgłoskami. Próżno usiłowałem się ludzi, ja dla niej byłem niczem, niczem zupełnie. Pobieżnie, jednym pociągnięciem pióra załatwiała się z tak nieznaczącą indywidualnością, podnosząc się sama w jakieś chłodne, nadpowietrzne sfery. Wsparłszy głowę na załamanych dłoniach, długo zostawałem pod brzemieniem gorzkiego uczucia, któremu nic się nie równa na świecie.

Zrazu za tę pogardę znienawidzić ją chciałem, nie mogłem. Pogardzić nią nawzajem, potępić ją w imię praw serca, nie mogłem także. Całą wyższością pogodnego ducha panowała nademną. Mogłem ją kochać mniej dlatego tylko, że była czystą i w myśli nawet nieskalaną?

Nie, po tem co zaszło, po tem com przeczytał, po tem com uczynił, widziałem tylko jedną drogę przed sobą, a tą drogą była śmierć. Próżno chwytałem się jak nici zbawczej ostatniej nadziei, śledziłem tajemnicę jej serca. Teraz mogłem umrzeć spokojny, byłem dla niej niczem, niczem zupełnie. Może nawet śmierć moją, śmierć, której była sprawczynią, przyjmie obojętnem wzruszeniem ramion, jako ostatnie szaleństwo dziwaka.

Ale nie, to być nie mogło, obojętność ma swoje granice — zresztą mniejsza. Czuję to tylko, że bez niej i przy niej zarówno żyć mi niepodobna. Może też potem, po śmierci mojej zostałaby się przy Zosi, nie zostawiłbym dziecka mego sierotą przy domowym ognisku wygasłem.



Pamiętałem każde słowo tego listu, bo każde było dla mnie boleścią, raniło mnie prawdą.

Z kolei nasunęło mi się pytanie, kto był ten człowiek, do którego ona pisała w ten sposób, przed którym nie miała tajemnic, odzywając się z tak smutną a wysoką prostotą. Jakże prawa miał do tajemników jej hardego serca? Kto był ten człowiek, którego ona uważała za wyższego od siebie, nazywała bratem myśli, twórcą swej duchowej istoty?

Ja znałem go kiedyś, po za mgłą wydarzeń w dalekiej przeszłości, postać jego rysowała mi się wyraźna w pamięci. Była to jedna z tych cichych a niezmodowanych indywidualności, które idą drogą raz wytkniętą niezachwianie, nie troszcząc się o sądy świata. Nazwisko jego nie miało rozgłosu, widać nie zmienił się w niczem. Wystarczyło mu w życiu świadectwo własnego sumienia, świadectwo szczupłego grona bratnich inteligencji, świadectwo Augusty. Świadectwo Augusty! nie rozumiałem, by człowiek mógł więcej żądać na świecie?

A jednak on, on mając jej ufność, jej przyjaźń, może i więcej jeszcze, potrafił ją opuścić i uganiał się za mamoną: wiedzy, sławy czy złota, gdzieś po za krańcami cywilizowanego świata.

Ja za list taki byłbym dał życie, zbawienie, a on odbierał go obojętnie może. Nie zmieniał dla niego swych planów przyszłości. List ten, kobieta, która go pisała, były dla niego może jedną ze zwykłych powszedności życia. Czy było to sprawiedliwe? Czemuż nie ja byłem panem jej serca, ja, com ją kochał?

Doprawdy położenie moje było nazbyt zwyczajne, by się nad niem rozwodzić. Jest to stara historia, powiada jeden z niemieckich wieszczów; mimo to zawsze jest nową a serce pęka temu do kogo się ona stosuje. N'e miałem nawet tej zdawkowej pociechy jakiegoś wyjątkowego nieszczęścia. Znudzony czczem życiem, pokochałem niekochany, umierałem dobrowolnie, bo pewny byłem wówczas, że nie zobaczę dnia jutrzszego. Powieść życia mojego zamykała się w trzech słowach, wszakże dość jednego by zażyć człowieka!

Czy potępiać, czy żałować mnie będą? nie dbałem. Nie chodziło mi nawet o to, co powie ona, nie miałem siły zapragnąć niczego, nawet jej współczucia. Śmierć była dla mnie spoczynkiem, snem nieprzespanym. Nie pragnąłem zmartwychwstania, ani pamięci, pragnąłem tylko nie istnieć. Czy to było możliwem?

Czy to wszystko co cierpiało i czuło we mnie, a co przecież ciałem nie było, mogło zostać zniszczone jednym wystrzałem, jednym pchnięciem noża? Czy to ja, obejmujące świat cały kołem myśli nie-widzialnem, niedotkniętem, mogło przestać być w jednej chwili dla tego, że narzędzie myśli zgruchotałem zostanie, lub stracić pamięć tego, com zdobył pracą i cierpieniem myśli na nienaruszalną własność mego ducha? Czyż niewidomy tracąc oczy traci zarazem i pojęcia nabyte za pomocą wzroku, który mu służyć przestaje?

Za chwilę miałem wiedzieć rozwiązanie tych Hamletowskich zapytań, a jednak ku temu rozwiązaniu



nie parla mnie nawet ciekawość. Dla czegoż się na tych ostatnich myślach zatrzymałem, niby na progu wieczności? Czy nerwowa istota moja, lękając się chwili zniszczenia, chciała przedłużyć mękę życia o cały rozbiór tej ostatniej godziny? Czy czując, że nikt mnie żałować nie będzie, sam przedwcześnie opłakiwałem siebie? Nie wiem. Dość, iż właśnie dlatego, że postanowienie moje było niezachwiane, nie spieszyłem się do końca, ale z zimną krwią i roz wagą zacząłem przygotowywania moje i załatwiłem ostatnie sprawy na ziemi.

Popaliłem wszystko com po sobie zostawić nie chciał; z dziwnie chłodną uwagą obejrzałem pistolety, nabiłem je starannie i położyłem przy sobie obok zegarka, godzina dobiegała dwunasta. Postanowiłem, że gdy wskazówka stanie na pierwszej, nieodwołalnie żyć przestanę; nie wiem, czemu dałem sobie jeszcze tę godzinę czasu.

Noc była przecudowna; księżycowa, wonna, samotność nieprzerwana niczem. Okno Augusty położone wprost mojego, było ciemne, franki zapuszczone; ona spała nie zważając na groźby moje, na wszystko co zaszło, co zająć mogło. Otworzyłem drzwi szklanne na ogród i siadłem przy nich na fotelu, obok na stoliku położyłem pistolety, lampa paliła się na biurku, i zegar monotonnem wahanem jedynie przerywał ciszę tej godziny.

Ostatnich chwil życia chciałem użyć po swojemu, czułem się jeszcze bliskim Augusty, pod jednym z nią

dachem. Zmęczony myślami, cierpieniem i walką wpadłem w stan dziwnego odrętwienia. Wyrwało mnie z niego uderzenie zegaru, było już trzy kwadransy na pierwszą. Jeszcze kwadrans, pomyślałem, machinalnie kładąc rękę na pistoletach i bawiąc się ich zamkiem. Głowę miałem odwróconą od okna a wzrok s ztywno utkwiony w wskazówkach zegaru, które posuwały się szybko, a mnie zdawało się, że coraz szybciej zbliżają się do oznaczonej godziny. Promień księżyca wpadał do pokoju i stał się srebrnym światłem na kobiercu, lampa gorzała czerwono, kićąc się z tym czystym blaskiem. Obraz ten z najdrobniejszych szczegółami wyrył mi się w pamięci, widzę go dotąd.

W tem cień jakiś narysował się na tle światłem okna; czułem, że postać jakaś stanęła przy mnie i zerwałem się z miejsca, pocierając czoło jakby ze snu ciężkiego zbudzony.

Augusta stała przy mnie. Jednym rzutem oka objęła cały pokój, papiery dymiące jeszcze w głębi kominka, świeże ładunki na stole, pistolety w mojem ręku. Może zresztą myśl samobójstwa wyczytała z mojego czoła, bo blada i przerażona stała na progu. Ja w pierwszej chwili nie wiedziałem co począć, wstyd ogarniał mnie pod jej wzrokiem i razem zachwyt jej obecności, niemarzona nawet słodczy podobnej chwili. Stałem naprzeciw niej pokonany, i broń wypadła mi z drżącej dłoni.

Augusta schyliła się szybko by ją podnieść, i postępując kroków kilka stanęła pomiędzy mną a drugim pistoletem.



— Więc aż do tego przyszło, rzekła stłumionym głosem, patrząc na mnie z nieopisanym wyrzutem i litością razem.

Ja zhardziałem w owej chwili, przyznając się do tego nikczemnego uczucia, zrozumiałem, że stał się panem położenia. Ona litowała się nademną, ona nie mogła przyjąć odpowiedzialności za śmierć moją, uległa się groźby mojej. Czuję, że za życie moje coś uzyskać mogę. Dzisiaj z daleka sędzę sprawiedliwie siebie i ową chwilę, był to prosty targ, dawniej uspokoić mnie mogła jedną nadzieją pozostania, teraz czuję, że mogę żądać wiele. Dlatego odezwałem się z goryczą i szyderstwem:

— I cóż panią obchodzić może koniec tej smutnej powieści. Wiedz przynajmniej, że w słowach moich była prawda tylko. Kochałem cię i kocham całą istotą moją, odepchnęłaś mnie z pogardą jak szaleńca, jak nikczemnika. Przysięgam ci, że nie opuścisz tego domu z niezłamanym spokojem na czole, ty musisz mi uwierzyć na końcu.

I sięgnąłem po broń za nią będącą.

Augusta stała prosta i sztywna choć drżąca, litość nikła z jej twarzy pod ogniem oburzenia. Nadużywałem trafia czy litości, która ją tu sprowadziła.

— Dobrze, wyrzekła z wolna, nie cofając się z mieszcą, coraz lepiej, chcesz pan z bronią w ręku zmusić do pozostania w twoim domu, do odgrywania tu haniebnego roli. Chcesz litość obrócić przeciwko mnie samej. Czy tą drogą w braku miłości chcesz pan zdobyć mój szacunek?

— Strzeż się Augusto, zawołałem chwytając jej rękę i zapominając się zupełnie, nie doprowadzaj mnie do ostateczności, teraz ty jesteś w mocy mojej. Pamiętaj, że nie mam już nic do stracenia. Patrz, jesteśmy sami, chwilę jeszcze, a przestanę być panem siebie, gorzej już pogardzić mną nie możesz. Twoje i moje życie wisi na włosku, na technieniu ust twoich. Bądź przekłętą, jeżeli przyszłaś tutaj na to jedynie, by do zbrodni mojej dorzucić ciężar zabójstwa.

Mówiłem to wszystko ogarnięty szaleńcem, paliła mnie gorączka, ogień krążył mi w żyłach i rozszalał czaszkę, a mówiłem stanowczo. Są chwile, w których na drodze zbrodni zatrzymuje nas wypadek tylko, nie sumienie.

Augusta rozumiała to widzieć, rozumiała, że w stanie, w jakim byłem, traciła władzę nademną i zwyciężona, przerażona padła na krzesło, zalewając się łzami. Słaba kobieca natura ukazała się w niej po raz pierwszy i zapanowała nademną. Szyderstwo, rozważa byłyby posunęły mnie dalej tylko na drodze szaleństwa, jej łzy rozbroiły mnie. Ja com nie mógł znieść jej spokoju, teraz nienawidziłem siebie prawie za te łzy, które wycisnąłem,

— Augusto, zawołałem, rzucając broń daleko, bom lękał się jeszcze samego siebie, Augusto nie płacz tak, przebac mi, przebac.

Kobieta próżno siła się wymówić słowa, łkania długo wstrzymywane rozdierały jej piersi. Ukłąłem przy niej, opasałem jej kibić rękoma, nie była



w stanie mi się obronić, i czułem w moich ramionach jej wątłą kibić wstrząsaną serdecznem łkaniem.

— Przebacz mi, przebacz, mówiłem, bo na to jedno słowo zdobyć się mogłem, cisnąć ją coraz gwałtowniej do siebie, zapominając o świecie całym w słodczy tego uścisku, tuląc ją jak dziecko rozplakane.

Ale Augusta szybko powróciła do siebie i odpychając mnie lekko podniosła się chwiejąca, tak że wesprzeć się musiała o poręcz fotelu; jam pozostała na kolanach nieruchomy przy niej. Chwilę trwało pomiędzy nami milczenie, jakbyśmy oboje szukali słów daremnie, tylko wzrok Augusty ciążył na mnie.

W końcu ona zbliżyła się do mnie, i podając mi rękę wyrzekła łagodnie, patrząc mi w oczy błagalnym wzrokiem.

— Daj mi pan słowo, że szaleństwo to już minęło, już nie wróci więcej.

Wstrząsnąłem głową ze zwątpieniem, a ona złożyła ręce podniosła ku mnie.

Jakieś uczucie zadowolonej dumy odezwało się w mojej piersi; ona upokorzyła się przedemną, i ja też chciałem stanąć na wysokości tej roli.

— Daruj mi pani, rzekłem, tę smutną scenę, wywołaną twoją obecnością; daruj mi, żem się zapomniał, żem nie mógł znieść myśli rozstania. Powiniennem był oszczędzić ci przykrego widoku, przeczekać dni kilka z odwagą. Przyznaję, żem był samolubnym i niecierpliwym. Czego chcesz pani więcej?

Starałem się wymawiać te słowa z chłodną grzecznością.

— Chcę, odparła stanowczo, odzyskując niejako samą siebie — chcę, by pamięć po mnie w tym domu nie została obciążoną przekleństwem, chcę, by czyste chęci moje dobry owoc wydały, byś mi pan był przyjacielem nie wrogiem, dodała serdecznym głosem, wyciągając do mnie rękę.

— Przyjacielem twoim Augusto, zawołałem porwany słodczą tego słowa, czy nie wiesz, że w miłości mojej łączą się wszystkie ludzkie uczucia.

— O nie tak, nie tak mów pan do mnie, zawołała gorąco, jeżeli do smutków mego życia nie chcesz dodawać gryzącego wyrzutu; bo powiedz czem wywołać mogłam to nieszczęsne uczucie, ja zajęta jedynie obowiązkiem moim, pracą. Powiedz mi pan w czem zblądziłam, bo musiałam zblądzić, kiedy tak strasznie ukaraną jestem. Bóg widzi, żem nigdy nie pomyślała o sobie, nieprzypuściłam nawet tego co się stało, czy nie tak?

Z dziwną naiwnością zwracała się do mnie, pytając o świadectwo niewinności swojej.

— Masz pani słuszość, wyrzekłem, nie ośmieliłaś mnie w niczem, nie zwróciłaś nawet na mnie uwagi. Bądź spokojną, jeżeli tu jest winna jaka, ja sam winnym jestem.

— Ja nie mogę być spokojną, odparła, jeżeli kto cierpi przezemnie, byłam dla pana twardą i nielitościwą, nie rozumiałam cię dokładnie, sądziłam, że ten wybuch chwili przejdzie pod chłodem obojętności i sztycherstwa. Ja znieść nie mogę, by kto cierpiał, by cierpiał przezemnie.

Augusta.



— Dokończ Augusto, zawałałem drżący tajemną nadzieją, więc to było udanie tylko, głos obowiązku ale nie głos twego serca. Więc ty mogłabyś?

— Nie rozumiemy się znowu, przerwała mi smutno, jakby zniechęcona szukała słowa, któremby trafić do mnie mogła.

— Ty nie wiesz, mówiłem dalej, nie zważając na przerwę, ty nie wiesz czem ta miłość jest dla mnie; byłem w chaosie, w ciemności, ty stałaś mi się gwiazdą zbawienia, ty pogodziłaś mnie z losem, ty mogłaś ze mnie zrobić człowieka. Żle mnie zrozumiałaś, nie chciałaś wysłuchać. Ja chciałbym tylko patrzeć na ciebie z daleka, słyszeć głos twój i wiedzieć, że los mój obchodzi cię trochę. Powiedz mi tylko, że w innych okolicznościach ty mogłabyś odpowiedzieć na miłość moją. Bóg widzi, nie żądam więcej.

— Panie Zygmuncie, odparła łagodnie i poważnie razem, choćbym chciała, nie potrafię kłamać, szanuję w tobie prawdę obłąkanego uczucia, nawzajem uszanuj szczerość moją. Nie miałam nigdy czasu ani woli zastanawiać się nad tem co być mogło. Teraz rozmowa ta trwała już za długo. Ja wierzę, iż chwila gorączki i szału minęła, ja wierzę, iż nie powróci więcej. Oto podaję ci rękę bratnią, przyjazną, ta nie zawiedzie cię nigdy.

Znękany i zwyciężony niepojętym czarem jej woli, stałem obok niej ściskając w moich namiętnych rękach jej dłoń drobną, nie mogąc oderwać się od niej. Scena ta mogła przeciągnąć się do nieskończoności; słuchałem ją ze czcią i pokorą póki była przy mnie, gdy przeczuwałem że się oddala, szaleństwo znów

brało górę i byłem zdolny do wszystkiego. byle ją zatrzymać, Ona czuła dobrze, iż to nie było igraszką, haniebną komedią. Życie moje było w jej rękach. Położenie to nie miało wyjścia i nie wiem jak długo by trwało, gdyby nie przerwało go gwałtowne pukanie do drzwi moich. Poznałem głos Melanii. Augusta poznała go także; żona moja musiała wiedzieć, że ona jest u mnie, słyszała pewnie głosy nasze, może i moje szalone wyznania.

Na razie nie wiedziałem co mam czynić. Augusta mogła przez ogród powrócić do siebie, ale nie uczyniła tego, chociaż pojmowała całą ważność chwili. Jej bohaterska natura nie cofnęła się nigdy przed światłem, i silna uczuciem niewinności swojej nie chciała zniżyć się do ucieczki, do udania. Znając Melanię wiedziała jednak, że bezpowrotnie potępioną będzie.

— Otwórz pan te drzwi, szepnęła do mnie.

Stałem osłupiały i niemy nie ruszając się z miejsca.

— Otwórz-że pan! powtórzyła głośniejszym nakazującym głosem. I widząc, że nie byłem w stanie ją usłuchać, przejęty fatalnością tego spotkania, zbliżyła się do drzwi pewnym krokiem, odsunęła rygle i otworzyła je na oścież. Ja machinalnie stanąłem przy niej.

Melania wbiegła jak burza; była w stanie trudnym do opisania, pierwszy raz wytrącona nagle z kolei biernego życia siłą namiętności, której wówczas ja sam rozpoznać i nazwać nie umiałem, traciła zupełnie panowanie nad sobą, było w niej coś przypominającego zwierzę ranione. Oczywiście wielkie, bez-



myślne, pały teraz jakimś czerwonym blaskiem, śmiły się łzami wiszącymi na długich rzęsach, które wyciskało cierpienie a gniew osuszał. Żywe zwykle rumieńce znikły pod siłą wzruszenia, bogate włosy w tył odrzucone i związane niedbale kolorową wstążką, odsłaniały jej niskie czoło i spadały w pół rozplecione na ramiona, zaledwo okryte nocną szatą.

W dziwnym stanie rozstroju, w jakim się znajdowałem, żona wydała mi się jakąś obcą istotą, łączącą w sobie Nemesis starożytną i Niobe bolejącą; bo obok gniewu, boleść wyraźną była na tej klasycznej twarzy, ściągająca jej usta w pół otwarte, jej brwi podniesione, nadawała życie i jakiś tragiczny wdzięk jej rysom.

Chwilę stała niewiedząc co miała uczynić; wzrok jej zwracał się na przemian na mnie i na Augustę, która z podniesionem czołem drżąca, blada śmiertelnie, ale niezachwiana patrzyła na nią z dziwnym współczuciem, niezmaczonemi, łagodnemi oczyma. Melania tak pozostała czas jakiś, wążąc się pomiędzy gniewem i żalem. Musiałem być strasznie zmieniony w tej chwili, bo żal przeważył; rzuciła się ku mnie, zawiesiła mi ręce na szyi, ściskając namiętnie konwulsyjnym ruchem i tuląc się do mnie z rozpaczą.

Niepokój, zazdrość, boleść, odrodziły ją niejako, przetworzyły w jednej, krótkiej nocy, i ucułem, że na mojem łonie biło serce kochać zdolne, kochające.

Długo Melania cisnęła się do mnie w milczeniu, jakby odnajdując dobro, które już miała za stracone, a ja, nie wiem, za sprawą nerwów czy krwi

rozszałalałem, spojrzałem na nią dawno zapomnianym wzrokiem i przycisnąłem do piersi nawzajem z namiętnością i pragnieniem, gorejącymi mi w sercu dla innej.

Ale to trwało przelotną chwilę. Spotkałem jej oczy, opamiętałem się nagle i odepchnąłem ją ze wstrętem, a ona z rodzajem wściekłości obejrzała się do koła, jakby szukając tej, której przypisywała nie-szczęście swoje.

— A gdzież ona, gdzież ona? wykrzyknęła w końcu syczącym, urywaniem głosem.

— Nie ma jej, zawołałem powodowany bezmyślnym żalem, idąc oczyma za jej wzrokiem, ty wypędziłaś ją ztąd na zawsze, nie ma jej, nie ma!

I załamałem ręce z rozpaczą. Te słowa były szalone, sypały iskry na proch, wywołały wybuch. Do dziś dnia noc owa cała rysuje się w myśli mojej z dziwną dokładnością, choć działałem wówczas jakby w malignie; w postępowaniu mojem była tylko ślepa logika namiętności, odarta ze wszystkich względów. Choroba, która rzuciła mnie wkrótce na łóżko bez nadziei życia, panowała już w moim mózgu. Inaczej teraz samego siebie zrozumieć nie mogę.

— Nie ma jej! nie ma! powtarzałem ciągle na w pół szalony.

Melania nie była w stanie zrozumieć tych subtelnych odcieni uczuć moich, ona pojmowała to tylko, że była pokrzywdzoną, i oburzenie obudziło się w niej z nową siłą.

— Gdzież jest? zawołała gwałtownie, ta nikczemna obłudnica, gdzie ta, co mi wydarła serce twoje,



nie mogła znieść mego wzroku. Ja nie chcę, by chwilę dłużej zostawała w tym domu. Zygmuncie! ja mam prawo wypędzić ją haniebnie.

Nie wiem, jakim sposobem pozwoliłem jej tyle powiedzieć, gniew wzbierał we mnie tak silny, że mi oddech zamarł w piersiach.

— Milcz! zawołałem tylko głosem, którego brzmienia sam poznać nie mogłem, tak był ochrypliwy i zmieniony, chwytając jej ręce i tłocząc je tak gwałtownie, że kobieta osunęła się na kolana z przerażeniem.

— Zygmuncie, powtórzyła jednak z uporem ciastego umysłu, nie pojmując co działo się ze mną, nie pojmując, że był w stanie ją zabić, w proch zetrzeć. Zygmuncie, ona...

— Patrz! zawołałem, piorunując ją wzrokiem i wskazując na broń leżącą na ziemi. Zazdrość czy niepokój przywiodła cię tu o godzinę za późno. Gdyby nie ona, byłabyś tu zastała trupa tylko.

Melania jęknęła i, jakby uderzona straszem zjawiskiem, zakryła sobie oczy rękoma.

— Podziękuj jej, mówiłem dalej, niezważając na tę boleść, jeżeli córka nasza nie jest sierotą, ona, jak anioł opiekuńczy, czuwała nademną, umiała wytrącić mi broń z ręki, zgubne zamiary z myśli. Upokórz się przed nią jak przed świętą, przebłagaj za cień złej myśli, jeżeli chcesz, bym mógł ci przebaczyć.

— Mamże jej podziękować? zawołała Melania, podnosząc się z błyskawicą w oku, ze zwierzęcem prawie uczuciem nienawiści. Mamże jej podziękować za

ły moje, tłumione tak długo, za męczarnie, jakich doznałam, za to, że zajęła miejsce moje w twojem sercu i w twojem życiu.

— Twoje miejsce? powtórzyłem z ironią pogardy.

— Za to, mówiła dalej, nie zważając na przerwę moją, że ja jestem nikczemną, pogardzoną żoną, a ona aniołem i świętą. Zygmuncie, nie jest ona tutaj aniołem pokoju!

Ja nie wiem sam co byłbym odpowiedział, ta kobieta, z uporem dziecka bezrozumnego, drażniła szaleństwo moje, ale w tej chwili w progu ukazała się Augusta, a cały gniew mój stopił się w zachwycie. Osrebrzona promieniami zachodzącego księżyca, spokojna, w skromnej sukni, której od wczoraj nie zdjęła, stanowiła zupełną sprzeczność z gwałtownym nieładem Melanii.

— Masz pani słuszność, wyrzekła łagodnie z dziwną pokorą, nie byłam tutaj aniołem pokoju. Bóg widzi, nie wiedziałam o tem i poświęciłabym życie, żeby naprawić złe, uczynione mimowolnie, wówczas mogłabyś mi pani przebaczyć; dziś czuję, że to niepodobna.

Ale widok Augusty rozdrażnił tylko Melanię.

— Nie zwiedziesz mnie, zawołała, tym udanym wzrokiem niewinności,

Augusta, nie zważając na jej słowa, zbliżyła się do niej tak smutno, tak posępnie, że odgadł w jej wzroku nieszczęście.

— Nie o mnie chodzi teraz, wyrzekła po cichu z niepokojem, patrząc na nas po kolei, Zosia wydała mi się słabą, na mocną gorączkę i lękam się..



Nie dokończyła, ale ja odgadłem słowo, które jej zamarło na ustach. Tyfus panował we wsi straszliwie.

Oboje z żoną, przerażeni, poszliśmy za nią do dziecka w milczeniu, zjednoczeni choć na chwilę jednakim niepokojem.

Zosia była rozpaloną, oddech miała ciężki, w śnie gorączkowym, rzucała się po łóżeczku, wymawiając szybko i niezrozumiale jakieś wyrazy, pomiędzy którymi imię Augusty porwacało co chwila; wyrażenia dzienne mieszały się do snów jej, łkania, z którymi zasnęła, odzywały się od czasu do czasu w jej piersi. Wejście nasze, zapalone światło, zbudziło ją, ale wzrok jej mętny, słowa bezładne, powiększyły tylko trwogę naszą. Dziecię niezdawało się nas poznać, uczepliło się tylko szyi Augusty tak, że oderwać jej było niepodobna, i zasnęła znowu z główką opartą na jej piersiach.

Melania zupełnie upadła na duchu, i zalewając się łzami padła na krzesło przy łóżku, nie zdolna dać jej jakąkolwiek pomoc.

Augusta starała się rozpleść ręce dziewczynki zarzucone na jej szyję, ale to było niepodobna. Zosia tuliła się do niej konwulsyjnie, miotana trwogą instynktowną, zwykłą w gwałtownych, zapalnych chorobach. Łzy toczyły się zwolna po licach Augusty, zmęczenie, boleść, widne były w jej rysach, w jej oczach, ale cierpienie przytomności jej nie odbierało.

— Poszlij pan po doktora, rzekła do mnie półgłosem, a tymczasem każ mi pan podać lodu i przygotować synopisma, lękam się tej gorączki.

Ale ja także nie byłem w stanie jej posłuchać; zaród choroby od dwóch dni tkwił we mnie, ta noc wyczerpała resztki sił moich, widok Zosi mnie dobił. Chciałem iść, spełnić jej rozkazy, ale na próżno; zanim zdołałem dojść do drzwi, padłem na ziemię bez zmysłów. Usłyszałem tylko, jak we śnie, rozdzierający krzyk Melanii, uczulem jej uścisk namiętny, i wszystko razem zmieszało się dla mnie w chaotyczne obrazy maligny.

Jak długo zostawałem bezświadomy siebie, pomiędzy życiem a śmiercią — nie wiem. Gdy po raz pierwszy otworzyłem oczy, i przytomnym wzrokiem powiodłem w około, ujrzałem Melanię, siedzącą przy moim łóżku. Zrazu nie mogłem pojąć, co działo się ze mną, czułem tylko osłabienie tak wielkie, że na próżno usiłowałem podnieść rękę i spędzić męczę chodzącą mi po czole, ale razem, ogarnęło mnie nieokreślone uczucie spokoju, błogości, jakby po śnie pokrzepiającym. Spoglądałem do koła ze zdziwieniem człowieka powstającego z letargu, dla którego wszystko wydaje się nowem, zanim zwiąże nić obecnej chwili z przeszłością, zanim z pamięcią razem powrócą mu wszystkie dawne bóle i zapulsują gwałtownie.

Było to wśród nocy: firanki były zapuszczone, tylko lampa alabastrowa rzucała blade światło, starrannie przyémione, by mego wzroku nie raziło; przy łóżku mojem siedziała Melania, ale jakże różna od tej, którą znałem dawniej. Rysy jej wydelikatniały,



twarz uderzyła mnie nieujęty wyrazem cierpienia, kibić zeszczupiała i nabrała wdzięku, którego brakło jej dotąd. Musiała nie jedną noc czuwać przy mnie, bo ślady zmęczenia widne były na jej całej postaci; głowa jej wspartą była na moich poduszkach, oczy przymknięte. Zwyciężona ciszą i trudem, zasnęła przy mnie, w jakiejś dziwnej wdzięcznej, zaniedbanej postawie. Światło lampy padało prosto na jej twarz bielszą od poduszek, na których leżała, i po których rozsypywały się jej czarne włosy; długi cień rzęsów padał na policzki wychudłe.

Ta kobieta, pod ręką nieszczęścia, wyszlachetniała, uduchowniła tak, że zaledwie mogłem w niej poznać ową wspaniałą piękną istotę kwitnącą niegdyś, ów ideał bezmyślnego ciała.

Patrzyłem na nią, przejęty dziwnem rozrzwinięciem, czułem, że tę zmianę spowodowały niepokój, czuwanie, a nadewszystko miłość ku mnie, i przyciągany magnetyczną siłą chciałem złożyć pocałunek na jej czole, ale nie miałem siły. Jednakże ten lekki szelest, jaki uczyniłem, przebudził ją; z wolna, ostrożnie podniosła głowę, i spotkała mój wzrok utkwiony w niej.

— Melanio, szepnąłem tylko.

Ona uśmiechnęła się do mnie ławo i położyła palec na ustach, dając mi znak milczenia.

— Melanio, powtórzyłem, i chciałem ująć jej rękę, ale znowu siły odmówiły mi posłuszeństwa.

Melania zrozumiała, pochyliła się ku mnie, rozgarnęła mi włosy na czole lekką dłonią i podała mi napój przygotowany. Byłem bezsilny i posłuszny jak

dziecko, wypilem, spoglądając na nią z jakąś nieznaną dotąd słodyczą. Żadna myśl nie zamąciła mi błogości tego wrażenia, aż znowu sen skleił mi powieki.

Obudziłem się nazajutrz znacznie pokrzepiony i silniejszy, a otwierając oczy znowu Melanię ujrzałem przy sobie; powoli pamięć powracała mi także.

— A Zosia? spytałem.

— Zosia jest zdrowszą trochę — odparła żona moja z westchnieniem, ale chorowała bardzo.

Wahałem się uczynić drugiego pytania, choć nie wiem, czy dla samego siebie, czy dla Melanii.

— Augusta? wyrzekłem w końcu półgłosem.

Widziałem, jak na to imię dreszcz przebiegł jej ciało.

— Jest przy Zosi, szepnęła, dotąd nie mogła jej odstąpić.

Dziwny jest wpływ gwałtownych wstrząśnień fizycznych na moralny ustrój człowieka, dziwna harmonia, nie ujęta pomiędzy ciałem a duchem; z wolna powracałem do siebie, ale po kilkotygodniowej walce ze śmiercią powstawałem innym człowiekiem. Bądź jak bądź, życie ma nieskończone uroki dla tych szczególnie, co od brzegu grobu wracają. Wokoło mnie nie zmieniło się nic, a przecie ja, który tak zbrzydziłem sobie położenie moje i samego siebie, że przypadek jedynie uratował mnie od samobójstwa, ja, który na zimno obrachowałem sobie niemożliwość życia, powracałem do niego z rozkoszą. Codzienne zatrudnienia, codzienne warunki bytu, przeciwko którym buntowałem się dawniej, nazywając



je cierpieniem, dziś były mi szczęściem nieledwie miały dla mnie powab nieznany. Spokój, niepojęty dawniej, padł mi na zmysły i na ducha, może był to tylko skutek fizycznego osłabienia, reakcyą zwykłą po gwałtownych burzach, które przechodziłem, niemniej jednak używałem go i oddychałem pełną pierśią, czując po raz pierwszy rozkosz życia.

Gorączkowa, namiętna miłość do Augusty, zamieniła się w jakieś nieokreślone uczucie, które oddałem instynktownie. Może, z wracającym zdrowiem i siłą, byłbym powrócił do dawnych szalów, ale teraz w myśli mojej obok niej jawiła się postać Melanii, która, jakby za dotknięciem różeczki czarnoksiężkiej, przemieniona, otaczała mnie staraniem, miłością niewypowiedzianą? Czyż lat tyle byłem niewdzięcznym dla niej? Czym jej nie znał? Czy się tak zmieniła? Widziałem w tem cud jakiś niepojęty, ale którego nie siliłem się odgadywać; osłabienie ciała podziałało na umysł, każde utrudzenie moralne, skupienie myśli, wytężenie uczucia, było mi niepodobnem. Czułem tylko, że mi dobrze, i błogo, używałem obecnej chwili.

Te dnie rekonwalescencyi pozostały mi w pamięci, spokojne i łagodne jak zachód dnia letniego; codziennie budziłem się z nową reżwością, zasypiałem uspokojony, jak człowiek, który zbył się udręczającego ciężaru. Melania była mi nieodstępna, i ja też nie mogłem, prawie chwili jednej, obejść się bez niej; nie mogąc stracić od razu natury zepsutego dziecka, tyranizowałem ją nieledwie, nie pozwalając, oddalić się na chwilkę. Przywykłem do jej troskliwości, do lekkich ruchów; nikt nie umiał mi tak ułożyć po-

duszek, bez szelestu je zmienić, nikt nie potrafił tak dogodzić chorobliwym fantazyom moim, z tak niezmęczoną troskliwością uprzedzać zachcenia. Ona jedna zapełniła mi te dnie, w których choroba walczyła jeszcze z wracającym zdrowiem; codzienne odwiedziny doktora przerywały jedne te długie godziny, w których sami z sobą, po długim rozdziale serca i myśli, poznawaliśmy znów w sobie nawzajem nową istotę, stworzoną kilkoletniem życiem i cierpieniem życia.

Najtrudniej jest patrzeć na to, co nas najbliżiej otacza; trzeba było rzeczywiście zbiegu tylu na raz okoliczności, potem tej choroby gwałtownej, przykuwającej ruchliwe ciało do postania, bezsilnością fizyczną, bym spojrzał baczniej na żonę i zrozumiał, że i ona nie była już taką, jaką znałem ją dawniej.

Jednakże miłość moja do Augusty nie wygasła w tej strasznej nocy, w której chciałem umrzeć dla niej, ale pamięć jej pogardy, jej zimnego spokoju w obec szalonej namiętności, jaka mną miotana, zrzucała, że myśl o niej, że wspomnienie tych chwil ostatnich stały mi się bolesne. Obelgę czułem dopiero gdy minęła, może dlatego, że teraz uznawałem, że na nią zasłużył. Ona nazwała mnie nikczemnym, sumienie wiasne jej sąd potwierdziło; ostatni postępek mój rozważny, było otworzenie jej listu, zdradzenie zaufania, nadużycie mego położenia. List ten otwarty pozostać mniał w moim pokoju, jako świadectwo moralnej zbrodni, spełnionej w chwili upadku. Czy ona wiedziała o tem? pytanie to było mi widmem dręczącym.



Pamięć przeszłości stała mi się upokorzeniem. Wszystko razem sprawiało, żem lękał się zarówno jak pragnął chwili spotkania z nią, i z cierpliwością, nie mającą żadnej zasługi, znosiłem przepisy lekarza, który nie pozwalał mi ruszać się z łóżka i kazał strzedz się każdej zmiany, każdego wzruszenia. Zosi nie widywałem, ona także była chora i nie wychodziła ze swego pokoju.

Od owego pierwszego dnia powrotu do przytomności, imię Augusty nie zostało wymówione pomiędzy mną a żoną, oboje czuliśmy instynktownie, że nam to imię jest przykre. Nieraz tylko zastanawiałem się, jakie być mogły stosunki pomiędzy dwiema kobietami, postawionemi zbiegiem okoliczności w tak fałszywych i trudnych warunkach, gdy raz niespodziewane odkrycie wytłumaczyło mi wiele sprzeczności, wiele niepojętych zmian w Melanii.

Usnąłem raz w południe jak zwykle pod okiem żony, której wzrok prawie nieustannie spoczywał na mnie zamglony serdecznym wyrazem, gdy lekkie skrzypnięcie drzwi w przyległym pokoju obudziło mnie, i razem usłyszałem dźwięk dwóch głosów: Melanii i Augusty.

— Cóż Zosia? pytała żona.

— Usnęła trochę, a ja przyszedłam dowiedzieć się o panią, odparł stłumiony lecz dźwięczny, srebrny, wyraźny głos Augusty.

Wszystkie tętna zapulsowały we mnie gwałtownie, ona była tak blisko mnie, oddzielona tylko aksamitną oponą, żem rozróżniał szelest jej sukni; przez minutę nie byłam w stanie słyszeć nic innego,

prócz uderzeń serca, i straciłem wątek rozmowy. Musiałem także poruszyć się gwałtownie, bo głowa Melanii ukazała się pomiędzy firankami, patrząc na mnie niespokojna.

Leżałem a zamkniętymi oczyma i udałem śpiącego.

— Śpi, wyrzekła żona, cofając się do towarzyszki.

I znowu w przyległym pokoju dwa głosy zmieszały się w cichym szepcie, nie każde słowo doleciało moich uszów, ale usłyszałem zamienione słowa przyjazne i pocafunki, i zrozumiałem, że nie sam instynkt sprowadził Melanię na drogę, po której szła teraz, zrozumiałem, że niewidzialnym, łączącym nas opiekuńczym duchem był pomiędzy nami duch Augusty.

Jakim sposobem ona, nienawistna prawie, posiadała serce i zaufanie mojej żony i potrafiła kierować nią, przetworzyć niejako, należało to do czarodziejskich tajemnic tej niepospolitej istoty, która prostotą jasnego i świadomego siebie ducha umiała zdobyć każde przekonanie, i zapanować nad każdym sercem. Odtąd do myśli o niej przyłączył się rodzaj czei wdzięcznej, więc i owe chwile spokoju, ów wdzięk odbity, który tak uderzył mnie w Melanii, jej byłam winien. Ona posiadała urok tak potężny, iż nie tylko miała władzę być kochaną, ale i mogła kazać kochać kogo zechciała.

Powoli więc wracałem do zdrowia, odzyskując razem czerstwość ciała i spokój ducha, jednakże uleczenie moje zupełnem nie było; sam dokładnie nie umiałem rozwikłać coraz szybszych uderzeń serca. Kto wie co byłbym uczynił przy zupełnym powrocie



sia? czy naturalny zbieg okoliczności nie popchnąłby mnie znowu do zgubnych marzeń przeszłości, gdyby nowe nieszczęście, spadając na mnie, nie było dokonało moralnego przetworzenia mojej istoty.

W miarę, jak ja powracałem do zdrowia, Zosia słabła, gwałtowna choroba, jaką przeszła, zniszczyła niepowrotnie jej słaby organizm, wpadła w rodzaj trawiącej gorączki i, pomimo starań Augusty, gasła powoli w jej rękach. Smutne było pierwsze moje z nią widzenie, osłabły jeszcze i wsparty na ramieniu żony wszedłem do jej pokoju. Dziewczynka siedziała na łóżku obłożona poduszkami, w jej wychudłej twarzy, napiętnowanej nieledwie starością, błyszczały tylko gorączkowym blaskiem podkrążone wielkie oczy; zredniałe włosy rozczesane były gładko nad białym czołem. Augusta zmieniona do niepoznania bezsennością, niepokojem, może i jaką wewnętrzną troską, klęczała przy niej, pokazując jakieś obrazki, a jednak, rzecz dziwna, wydała mi się ona piękniejszą jeszcze niż dawniej; ubrana skromnie, zaczesana z pośpiechem, zapominająca o sobie zupełnie a uważała tylko na każde skinienie biednego dziecka. W tej chwili tak włącznie myślą i sercem zajęta była Zosią, iż nie wiem czy przeszłość stanęła jej nawet w pamięci, gdy smutnie lecz swobodnie witała się ze mną.

— Patrz, tata, tata idzie, zawołała Zosia, wyciągając ku mnie ręce.

I zaraz, jakby zmęczona temi słowy, zakaszła gwałtownie, wieszając mi się na szyi.

— Tato, ja bardzo biedna, szeptała mi na w pół z płaczem, myślałam, że już taty nie zobaczę, tak ciągle tylko kaszlę i kaszlę. Mój tato ja chcę być zdrowa, mój tato ratuj mnie!

Zapłakałem patrząc na nią, słuchając jej szczebiotania przerywanego kaszlem i skargą. Nie miałem czasu pomyśleć o Augustcie. Wspólna troska zjednoczyła nas, znowu we troje zgromadzeni obok Zosi śledziliśmy z trwogą wolny postęp choroby, nie spodziewając się już prawie ludzkiej pomocy, bo wszyscy lekarze sprowadzeni nie śmieli nam żadnej czynić nadziei.

Kto widział konające powoli ukochane dziecko, kto patrzeć musiał na jego cierpienia, nie mogąc przynieść im ulgi, ten tylko pojmie co przecierpiałem. Ta ciężka boleść nie pozostawiała czasu na ciche marzenia, na próżne myśli, i doprawdy, w obec poświęcenia Augusty, w obec jej zaparcia się siebie, grzeszna myśl miłości zniknęła, przemieniała się w jakieś uwielbienie, wdzięczność bez granic.

Tak dnia jednego byliśmy wszyscy przy Zosi, gdy trąbka pocztowa zdała słyszeć się dała i powóz podróżny zajechał przed ganek.

Okno pokoju, w którym leżała Zosia, wychodziło na dziedziniec, Augusta siedziała przy niem; na turkot powozu machinalnie zwróciła głowę, spojrzała w okno i podniosła się nagle jakby biedz chciała, ale pozostała na miejscu błąda, drżąca, bez tchu prawie, mocując się z wrażeniem, napróżno siląc się odzyskać panowanie nad sobą, które pierwszy raz utraciła. Melania poskoczyła ku niej, a ja wysze-

Augusta.



dłem niespokojny na spotkanie gościa, którego widok sam tak nadzwyczajne wrażenie uczynił. Zaledwie przeszedłszy przyległy pokój, znalazłem się w objęciach Adryana. Z początku byłem tak odurzony tem niespodzianem spotkaniem, że nie umiałem zdać sobie sprawy, jakim sposobem widzę go u siebie, jaki związek istnieje jeszcze między nami.

Adryan pierwszy powrócił mnie do przytomności tem jednym słowem: Augusta.

Na to imię wyrwałem się z ramion jego, i szatan zazdrości opętał mnie z taką mocą, iż poczułem, że namiętność moja, zaledwie uśpiona, zbudzić się może co chwila z nową siłą, i uląknęłem się samego siebie.

Lat blisko siedm nie widziałem Adryana, jednak ten przeciąg czasu nie zmienił nic w jego pięknej twarzy, dodał jej tylko powagi i męskiego wdzięku. Średniego wzrostu, szczupły, wydawał się większym niżeli był w istocie przez doskonałą proporcję i harmonię ciała; twarz jego nie miała regularnych rysów, ale natomiast wybitnym charakterem wyróżniała się tak od ogółu, że raz ujrawszy ją zapomnieć było niepodobna. Ogorzałe czoło nosiło ślady długich podróży, nieustannych prac i szlachetnych myśli; oczy czarne głęboko osadzone; przyćmione długimi powiekami, miały ten wyraz ześrodkowania, jaki cechuje badaczy, tylko czasami odkrywały, jak błyskawica, jakieś głębokie niezmaczonych uczuć. Linie ust wyrażały siłę, panowanie nad sobą i hart niezachwianej woli, łącząc ją z nieokreślonym wdziękiem dobroci, dobroci nie będącej wynikiem słabości, ale czynnej i świadomej siebie, harmonizującej się z całą

łagodną powagą postawy. Jednak patrząc na ruchliwe oblicze, na grę źrenic, łatwo było zgadnąć, że namiętny duch ujęty tu był w karby woli, że ta powaga nie wypływała z obojętności, ale była ostatnim wyrazem poddanych uczuć. Długa, czarna broda miękka i lśniąca spadała mu na piersi, włosy gęste, jak zwykle u ludzi silnej inteligencji, przystrzyżone krótko, rysowały szlachetne, rozwinięte kształty czaszki.

Takim był człowiek, który stał przedemną, towarzysząc moich lat młodych, z którym rozszedłem się przed ślubem moim, kiedyś zrywał z przeszłością i z wiarą przeszłości, takim był przyjaciel Augusty.

Z dziwnem uczuciem zazdrości i mimowolnego uwielbienia, patrzyłem na tego człowieka gdy mnie witał ze współczuciem bratniem; bo zapewne dość było jednego spojrzenia, by ten przenikliwy badacz odgadł z mojej twarzy smutne losy, których byłem sam twórcą i ofiarą, wszystkie walki i obłędy zmęczonego ducha, bo zdawało mi się, że czuję w jego uścisku współczucie litości. Ale nie miałem czasu długo zastanawiać się nad tem, bo z pośpiechem utęsknienia, z prostotą i pewnością człowieka nie mającego nic do ukrywania, wymówił drugi raz imię Augusty.

Obejrzałem się w około, ona stała we drzwiach i, szybko zbliżając się do niego, wyciągnęła obie ręce z wyrazem oczów, z uśmiechem na ustach, którymi wymowniej od słów witała go z głębi serca. Z kolei spojrzałam na Adryana; twarz jego ogorzała pobladała, ręce, w których ścisnął jej dłonie, drżały, słowa, któremi chciał przemówić, drżały mu na



ustach, a wzrok spoczywał na niej tak pełen zachwyty, czci i blasku, że zrozumiał dopiero teraz, czemu mogła być dla niej ja w porównaniu z Adryanem. Czem moje rozpieszczone, zdenerwowane uczucie przy tej potęgde wzruszenia silnego ducha. Zrozumiałem to i spuściłem głowę, jam jej wart nie był, ona nie mogła nawet przelotnej myśli zatrzymać na mnie.

Przejęty upokarzającym uczuciem niższości, dotknięty zapomnieniem tych ludzi, na świecie całym widzących tylko siebie w tej chwili, wysunąłem się niepostrzeżony z pokoju, oddalając się od tej sceny powitania.

Samotny, w głębi ogrodu, rzuciłem się na ławkę, spoglądając osłupiałym prawie wzrokiem do koła na drzewa, przyobleczone już złotą barwą jesieni. Świat w około mnie przejęty był smutną ciszą konającego lata. Ciepłe ale bezwonne, bezwietrzne powietrze, nasyczone perłowemi mgłami, emiło słońce; to słońce jesienne było blade bez promieni, tak jak i moje serce. Pochyliłem zniechęcony głowę na piersi i uczułem się smutny, złamany. W duchu moim była cisza, spokój i zniszczenie, jak po przetrwanej burzy. Z życia nie pozostało mi nic, nawet rozpacz, nawet pragnienia, ale serce topniało mi w piersi cichym, łzawym, niewieścim smutkiem.

W tej chwili dwoje ramion opasało szyję moją z wolna, ostrożnie, a jednak namiętnie, gorące usta dotknęły mego zimnego czoła. Melania pochyliła nademną, przyciskała głowę moją zmęczoną do

piersi bijącej. Uczułem, że nie byłem sam jeden na świecie, i objąłem ją po raz pierwszy pojednawczym uściskiem.

Są chwile tak strasznej próżni serca, takiego zamętu i sieroctwa ducha, że każda ręka bratnia wyciągnięta ku nam, zdaje nam się zbawczą ręką, w których niepodobna nam się oprzeć najułudniejszej z pokus, pokusie współczucia. W takich chwilach rozgrywają się losy nasze, krepują serca, w takich chwilach duch łaknący jak ów Eżaw biblijny, sprzedaje prawa starszeństwa swego za garść soczewicy, nie czując sam wartości tego co oddaje.

Tak ja w tej chwili garnałem się do Melanii, tuliąc się do niej jak dziecko rozżalone, nie pytając czy ona pojąć mnie, zrozumieć może; czując to jedno, że ukazała mi się w danej chwili, że bez niej byłoby mi gorzej daleko, że się mógł przecie o coś zahaczyć w życiu. Nie mówiliśmy słowa do siebie, bo i cóż mogliśmy powiedzieć nie zharmonizowani do tego w niczem, prócz w boleści; pierwszy wyraz musiałby rozwiązać czar i ołodycz tej chwili, lekaliśmy się go instynktownie, albo może chcieliśmy zapomnieć, potrzebowali wierzyć i smutnie a ostrożnie ci snęliśmy się do siebie jak dwa ptaki, jednakim ramionem postrzałem.

Białem się chwili, w której wrócić mi przyjdzie do rzeczywistego życia, boleść była za mną i przedemną, w domu czekał mnie widok konającego dziec-



ka i widok tych dwojga ludzi, kochających się i godnych wzajem siebie. Bóg widzi, nie było we mnie nikczemnej zazdrości, nie pożądałem ich szczęścia, ale w obec ich doli czułem bardziej jeszcze, że los mój był gorzki, że należałem do wydziedziczonych tego świata.

Zwolna i posępnie wracaliśmy do domu, poszedłem prosto do pokoju Zosi, jakby wstydzając się, że myśl obca oderwała mnie od niej godzin kilka. Zostałem tam Augustę i Adryana. On siedział przy jej łóżeczku trzymając jej rękę, na stoliku rozrzucone były recepty używanych lekarstw, Augusta tuż obok, według jego wskazówek, przyrządzała napój dla chorej. Nie byli tu już owi ludzie zachwyceni rozkoszą chwili powitania, zastałem tylko przy łóżku mego dziecka: lekarza i siostrę miłosierdzia. On siedział obok Zosi rachując uderzenia pulsu, z wzrokiem utkwionym w nią pozornie tylko, bo źrenice jego zdawały się zwrócone w głąb własnego ducha, widać było że wszystkie siły i zmysły jego skupione były w władzy myślenia, którą roztrząsał problemy nauki, ważąc na szali rozumu życie lub śmierć człowieka. Augusta rozumiała to widać, bo spojrzawszy pozostała nieruchoma z podniesioną ręką w rękę, spoglądając na niego z niewymownym niepokojem i nadzieją. Chwila była tak stanowczą, że nie zwrócono na mnie uwagi. Zosia nawet zdawała się jej ważność pojmować, bo smutne jej zapadłe oczy wyrażały razem zdziwienie i ufność.

— I mówisz pani, wyrzekł w końcu Adryan poważnie jakby sam do siebie, nie poruszając się, nie

podnosząc oczów, i mówisz pani, że dotąd dawane lekarstwa nie przynosiły żadnej zmiany.

— Żadnej, odparła Augusta, od trzech tygodni choroba nieprzerwanie idzie swoim biegiem.

Adryan spojrział bystro na datę niektórych recept, zadał jeszcze kilka szczegółowych zapytań, na które Augusta odpowiadała zwięźle i dobitnie. Po długiej chwili podniósł czoło rozjaśnione, jakby wewnętrzną błyskawicą geniuszu.

— Ja sędzę, wyrzekł, iż dotąd mylono się w przyczynach a zatem i w środkach, ja sędzę, że siedlisko choroby nie tam jest gdzie się być zdaje, a jeżeli tak jest, mam nadzieję, że ją uratuję.

I szybko postępując do stolika nakreślił kilka słów, nie siadając nawet.

— Każ to przywieźć natychmiast, rzekł zwracając się do mnie, jeżeli to lekarstwo wywrze pożądany skutek, ostatnia wątpliwość moja się usunie, będę mógł ręczyć za jej życie.

Nazajutrz wiedziałem już, że mogę mieć nadzieję; Adryan, jak zbawca zesłany przez Opatrzność, powrócił ufność sercom naszym, i po raz pierwszy wolny od tej strasznej troski, odetchnąłem swobodniej i zrozumiałem, że tereź jeszcze przyszłość i życie możliwem było dla mnie.

Przybycie Adryana ożywiło dom nasz grobowy od tak dawna; był to jeden z tych jasnych, połączonych a pogodnych duchów, którym wiedza przyrzuca tylko szczęścia i pokój. Może przechodził na kiedyś fazy wątpliwości i upadków, dziś doszedł już do tych wyżyn, gdzie nic nie stoi pomiędzy okiem



a nieskończonością, i szedł dalej pewną stopą bez wahania ale i bez dumy. Wiedział, że mylić się może, ale dlatego nie wątpił o prawdzie, wiedział, że złe istnieje, a pomimo to wierzył, że ono coraz bardziej samo siebie niszczyć musi i ustępować przed płomiennym mieczem archanioła wiedzy. Doszedł do tej pokory ducha, że w obec nieskończoności, w obec wszechwiedzy wszystko jest małym na świecie, i dlatego nie wzgardził żadną małością.

Natura jego nachylała się do światła, jak igła magnesowa zwraca się do północy. Człowiek ten miał łagodną prostotę dziecka, i duch jego zachował świeżość wrażeń, swobodę myśli i wiarę serca istot wchodzących w życie, może dlatego, że bystrość sądu, dojrzałość rozumu, sumiennosc względem drugich i samego siebie zachowały go od omyłek i wątpliwości, które są tylko w ogóle udziałem mierności. Umysł jego posiadał dziwną, rozjaśniającą władzę, wyrażone jego słowa najzawilsze problemata nauki stawały się dostępnymi dla każdego. Nieraz, gdy w potocznej rozmowie nasunęła mu się na usta jakaś paląca kwestya obecna, umiał ją streścić w ten sposób, że nawet Melania rozumiała go i lubiła słuchać.

Spoglądałem na niego z rodzajem zachwyty, w którym coraz bardziej topniała instynktowa zawiść; ja który męki niepłodnego ducha, cierpienia olbrzymiej dumy, osamotnienia obłąkania, brałem za godła wyższości, ja bezużyteczny, bezczynny i nieszczęśliwy, począłem wstydzić się przeszłości mojej, cierpień moich i wszystkiego prócz tej miłości, która, jak promień zbawienia, rozświeciła mi noc własnego ducha i otworzyła zachwyconemu oku widnokreśli bez granic.

Dnia jednego na tej samej ławce w ogrodzie, gdzie upadł przygnębiony życiem w dzień jego przyjazdu, gdzie pierwszy uścisk współczucia złączył mnie z Melanią, zeszedłem się z Adryanem. Od dni kilku Zosia miała się tak dobrze, iż dalsze starania jego były zbyteczne, od dni kilku i myśl jego uwolniona od niepokojów chwili, które podzielał z nami, widocznie zwracała się w przyszłość, widocznie szukał zbliżenia ze mną; rozumiałem to i rozumiałem razem, że stanowcza chwila się zbliża, że przesilenie losów naszych nastąpić musi, a brakło mi odwagi i unikałem go, jak gdybym mógł przemienić to co istniało, jakby przyszłość moja nie była rozstrzygniętą z góry, jakby zostawała mi nadzieja jaka. Jednakże w końcu zeszedłem się sam na nam z Adryanem, on chciał tego, a jego spokojna i wytrwała wola musiała w drobnej rzeczy nawet odnieść zwycięstwo nad moim wahającym duchem; próżno chciałem zmyślić słabość, zajęcie, cośkolwiek coby mnie uwolniło od tej stanowczej rozmowy, tembardziej, że mękał się czy Adryan nie wie wszystkiego, ale on wyciągnął do mnie rękę prosząco prawie.

— Zostań Zygmuncie, rzekł zwolna swym dźwięcznym głosem, muszę dziś z tobą pomówić otwarcie, potrzebuję ciebie.

Cóż odpowiedzieć mu mogłem, usiadłem obok niego z rezygnacją człowieka, który wie, że każde słowo dalej wymówione będzie wypruwać mu żyły z serca, a on jednak musi zachować twarz spokojną pod karą hanby; usiadłem przy nim posępny, zbierając siły.



— Nie zapytałeś mnie nawet Zygmuncie, mówił dalej Adryan, jakim cudem przybyłem tak niespodzianie do domu twego. Czy wiedziałeś, że znalazłem Augustę? Czy sądziłeś, że ona wezwała mnie do córki twojej?

Milczałem, wlepiając w niego wzrok osłupiały prawie, ja nie mogłem mu odpowiedzieć nie zdradzając siebie.

— Potrzebuję to wiedzieć, mówił dalej z pewnem wahaniem Adryan, zdziwiony milczeniem mojem, czy ona wspominała ci kiedy o mnie.

— Nigdy, odparłem ze złe ukrytą goryczą, Augusta nigdy nie mówiła mi nic o sobie, o stosunkach swoich.

— I nie zdziwiłeś się widząc mnie u siebie?

— Nie, odrzekłem jakby pchnięty mimowolną siłą, zdobywając się na w pół zwierzające słowa, na w pół szyderczo a na w pół z przekonaniem. Przybyłeś do nas w złej chwili jak anioł zbawienia, zesłała cię tu Opatrzność.

— Tak, odparł, nie zważając na ten odcień mego głosu, wyraźnie ciągnąc dalej własne myśli, Opatrznościowe było to zrządzenie losu, Opatrzność nieraz bezwiednie kieruje ludźmi. Ja nie wiedziałem, że dziecię twoje potrzebuje pomocy, lękałem się czy nie będę tutaj zwiastunem złej wieści.

— Złej wieści? powtórzyłem przerażony, nie rozumiejąc go, sądząc, że już przejrzał do głębi mego chorego ducha. Mów śmiało, twoje złe wieści nie znajdą mnie nieprzygotowanym, wiem oddawna, że wszystkiego lękać się powinienem a niczego spodziewać.

Adryan z kolei spojrzał na mnie zdziwiony.

— Nie rozumiem cię, wyrzekł, biorąc rękę moją z współczuciem, złe wieści, które niosę, które nie mogę odważyć się wypowiedzieć, nie dotyczą się ciebie. Ale co tobie? zdajesz się cierpieć Zygmuncie. Zosia powróciła do życia, a twoje chmurne czoło nie wypogodziło się dotąd. Jakaż inna troska ci ciąży?

Spojrzałem na niego z szyderstwem rozpaczy.

— Czy pamiętasz, spytałem, ostatnie rozstanie nasze przed laty?

— Pamiętam, odparł, topiąc wzrok przejrzysty w moje zmęczone źrenice, drogi nasze rozchodziły się wówczas w przeciwnych kierunkach. Ty złamany pierwszą boleścią rzekałeś się wiary młodych snów naszych, i poszedłeś w życie drogą łatwych uciech światowego wiru, powszednich pojęć. Ja pozostałem samotny. Nie miałem jeszcze wówczas tej silnej, wyrobionej wiary, jaką przyniosło mi życie; nie mogłem walczyć skutecznie z absolutną negacją, która ośwładnęła ciebie, ale i za twoim przykładem pójść nie mogłem także, jakaś siła wyższa parła mnie naprzód, pokazując po za mgłą wydarzeń ideał myśli niezachwiany. Pozostałem samotny z cierpieniem. Com przebolał potem, mniejsza o to, nie skarzę się na przyszłość, bo teraźniejszość jest jej owocem. Powoli duch mój rozjaśniał ciążącą mi mgłę łez na oczach, rozświecał mi świat otaczający i ciemne zakątki serca. Strząsnąłem z myśli pył dawnych wspomnień niegodnych mnie, i z podniesionem czołem przyjąłem życie, jakie Bóg dał, z nieodzownymi warunkami cierpienia i rozkoszy, walki, pracy i sło-



dyczy, tem pełniejszych, im szerzej otwieramy serce, im wyżej wzrok i myśl dosięga. Oto jest treść mego życia, powiedz mi nawzajem jakim było twoje? Czy przesył nie przyniósł ci uleczenia? Czy ciche, domowe szczęście nie ukoło niepokojów twego ducha? Zygmuncie, ty powinienes być szczęśliwym, a widzę, że nim nie jesteś.

— I cóż ztąd, szepnąłem, nie odmieniłem się od dnia naszego rozstania. Daremnie rzucałem się na wszystkie strony, daremnie walczyłem, życie miało dla mnie jedną tylko strunę, a tą struną była boleść, cierpiałem zawsze i cierpieć jak potępiony.

Sądziłem się silniejszym, niż byłem w istocie, ta skarga wyrwała mi się bezświadomie prawie; pomimo wszystkiego co stało między nami, Adryan był towarzyszem moich lat młodych przemawiał do mnie w sposób od którego odwykłem od tak dawna, słowa jego budziły wspomnienia i myśli przebrzmiałe, i zdobywały ufnosć moją. Spojrzenie jego spoczywało na mnie pełne smutku i litości, ale tej litości serca, która obrażać nie może.

— Zygmuncie, wyrzekł po dłuższej chwili powolnie i miękko, ja lękam się, czy ciebie nie uwiodła ta czarodziejska mglista, Cyrcea naszego wieku która czyha tylko na wysokie duchy i tyle zwichnęła umysłów, ja lękam się, czyś ty nie rozkochał się w cierpieniu.

— Ja nie wiem, odparłem bez chwili namysłu cierpienie wydaje mi się czasem jedynym objawem bytu ducha mego, a jednak czasem dochodziło we mnie do takiej siły, że za chwilę wytehnienia gotów byłem ducha się zaprzeć.

— I tą drogą poszedłeś w życie, mówił smutnie Adryan, przენiewierzyłeś się samemu sobie, to duchowa zbrodnia, której kara jest konieczna następstwem, nie bierz kary za warunek bytu.

— Wszakże i ty cierpiałeś nieraz? pytałem go, wszak mówiś, że cierpieniem dobiłeś się dzisiejszej chwili.

— Cierpiałem nieraz, przerwał mi poważnie i zapewne nieraz jeszcze cierpieć będę, ale nigdy nie pochełpię się z cierpienia, ale się nigdy w niem nie zamknę. Szukam przyczyny jego i szukam uleczenia jak szukam przyczyny choroby i leków co ją zwalczą. Cierpienie dla cierpienia zamknięte samo w sobie, jest nieplodne i skrzywia promienie ducha, ukazując świat i ludzi w fałszywym świetle. Zamiast ludzi czynu jędrnych i silnych, wyrobią drażliwych bohaterów romansu, księżycowych kochanków niepodobieństwa, zdenerwowane i bezużyteczne istoty.

Słuchałem go zdumiony, te słowa burzyły całą moją przeszłość, odejmując mi to jedno co było mi balsamem pociechy, rodzajem dumy w której zamykałem się jak w skorupie. Adryan miał słuszność, i z dziwną trafnością dotknął mej ukrytej rany, w głębi ducha pyszniłem się cierpieniem jak piętnem wyższości.

— Próżno bluźnisz przeciwko cierpieniu, wyrzekłem w końcu, próbując walczyć z jego jasną, nieubłaganą logiką, a jednak ono jest twórcą heroizmu i poświęcenia, twórcą poezji, twórcą wszystkiego co wysokie i jasne.



— To fałsz, zawołał Adryan, zapalając się stopniowo, cierpienie jest wynikiem grzechu lub nieświadomości, i jako takie posiada moc leczącą, ale nie jest ono środkiem i warunkiem wyższości; o jakiej poezji chcesz mówić? O jakim heroizmie? Ja nie nadam tej nazwy chorobliwym fantazyom rozkiełzanych wyobraźni, gorączkowym czynom chwili zapалу. Heroizm dla mnie to wielkie słowo bez znaczenia, i jeśli chcesz zachować je koniecznie, to heroizmem nazwę codzienne podołanie warunkom powszedniego bytu, spełnienie bez wahania cichych obowiązków życia, o których świat by nie wiedział, nie uwielbiali ludzie, bo koniecznym warunkiem jego jest bezświadomość siebie, a owocem spokój i wesele ducha.

— A gdzież byłoby poświęcenie? pytałem, nie mogąc odrazu objąć tych nowych pojęć, burzących powszechnie przyjęte teorie.

— Poświęcenie, powtórzył, to także czczy wyraz dumy, ja nie rozumiem poświęcenia tylko obowiązku, komu on nie wystarcza, najczęściej zostaje po za nim, i podołać mu nie chce lub nie może. Inaczej sądząc, przeczylibyśmy tej wszechwładnej sprawiedliwości, z jaką Bóg utworzył prawa duchowe rządzące społeczeństwem.

— A jeśli obowiązek jest nad siły?

— Nie ma obowiązku nad siły, o ile z dobrą wolą spełnić go chcemy, bo siły wzrastają w walce i pod gorzką powłoką znajdujemy słodczye nieznanne.

— Mówisz jak książka, odparłem z goryczą, jak człowiek, któremu życie jest i było łatwym, przy-

szłość uśmiecha ci się barwą miłości i nadziei, a teraz ze szczytu, na jakim stanąłeś, ciskasz kamieniem na upadających, chcesz mi odbierać tę ostatnią pociechę, że to, com przeboleł, odróżnia mię od tłumu i stawia po za powszedniem prawem.

— A kto wie, zapytał Adryan patrząc mi bystro w oczy, czy w tem pojęciu nie leży właśnie zaród nieszcześcia twego? Miej odwagę nazwać cierpienie bez powodu słabością, a już je na w pół zwyciężyłeś, miej odwagę spojrzeć w samego siebie i przyczyny złego szukać w sobie, a nie w otaczającym świecie. Chwila ta może być gorzką; ale tam tylko leży uleczenie. Inaczej ja ci powtórzę, żeś się rozkochał w cierpieniu, a to ostatni stopień duchowego samolubstwa.

Nie wiedziałem sam co odpowiedzieć, ta rozmowa zbyt gwałtownie wywracała gmach przekonań całego życia, prawda zbyt ostrą, zbyt gryzącą była dla mnie, a jednak głos jego, gdy mówił do mnie, drgał współczuciem, wzrok zwilżony zadawał kłamstwo surowości słów pomimowolnie musiałem czuć ich prawdę, oczy moje otwierały się światłu, tysiące nowych myśli i jak strumienie, którym zajęto zapory, tłoczyło się do mojej głowy i kłóciło z przeszłością; ale nie mogłem tak od razu uznać się pokonanym.

Adryan rozumiał snuć co działo się we mnie, bo ujął rękę moją i rzekł zwolna.

— Nie sądź mój drogi, bym cię potępiał, pojmuję tę straszną walkę dwóch potęg rozrywających życie nasze, przechodziłem je i przechodziłem samotny.



— Nie, zawołałem, ty nie możesz znać miary bo leści swojej, jak nie znasz miary mego ducha, siły serca i siły uczucia. Co wspólnego być może pomiędzy szczęściem twojem a moją niedolą.

— Mojem szczęściem? zapytał poważnie Adryan, z kąd wiesz o szczęściu mojem? Czy mówisz o faktach, czy o myślach?

— Znadto trzymamy się, odparłem z wybuchem, niedostępnych sfer marzenia, wróćmy do rzeczywistości, która co chwila zadaje fałsz lodowatym teoryom twoim. Niech jutro usunie się od ciebie dłoń, na którą liczyłeś, niech cię zawiedzie uczucie na którem oparłeś przyszłość, a harde doktryny twoje ulegą pod strasznem technieniem nieszczęścia.

— Mylisz się, po za granicami przypadków i faktów, leży świat idei niezależnych od nich. Serce moje, ciało moje cierpieć może, ale duch pozostanie niezmacony, dopóki będzie w zgodzie z samym sobą.

— Ale cobyś uczynił? pytałem dalej, popychany jakąś dziwną żądzą, chcąc koniecznie w nim poruszyć, jaką strunę boleści, zwątpienia, harmonizującą ze mną. Cobyś uczynił, gdyby ona cię nie kochała?

Adryan poruszył się na te słowa, jakby żelazem gorącym dotknięty, wargi jego zbladły i zadrgały, ale po chwili wyrzekł znowu spokojnym choć ciłym głosem.

— Czy chcesz mówić o Augustcie?

Skinąłem tylko głową.

— Czyż sądzisz, że kochanym być mogę? Że kochanym jestem?

Zamilkł, wzrok jego się przyćmił i załzawił, w milczeniu skrzyżował ręce na piersiach, jakby hamując gwałtowne serca bicia i pozostał chwilę nieruchomy, zatopiony w myślach,

— Czyż t ,wątpisz o tem, mówiłem z rodzajem okrucieństw. Dla siebie samego i dla niego zarazem.

— Wątpię i zapytać nie śmiem, odrzekł cicho, jakby sam do siebie, i powiedzieć jej nie śmiem, co mnie tu przywiodło.

— Ale gdyby ona cię nie kochała, pytałem dalej, wówczas zrozumiałbyś co to jest cierpienie, gdyby cię odepehnęła, pogardziła tobą, cobyś uczynił?

— Pogardzić mną nie może, póki na to nie zasłuży, odparł podnosząc jasne, szlachetne czoło, obarczone jakąś bolesną pogodą, gdyby mnie nie kochała, żyłbym tak jak żyję dotąd; ona ma prawo rozrządzać sercem swoim.

— I zniósłbyś to, gdyby pokochała innego?

— Zniósłbym tak, jak znosiłem dotąd.

— Jako? zawołałem z kolei tknięty temi słowy, więc... i nie mogłem powiedzieć więcej bez zdradzenia siebie, ale wzrok mój pytający zawisł na Adryanie.

— Co chcesz powiedzieć, zakończ na Boga, zawołał powstając, nie mogąc utrzymać panowania nad sobą? Co ty wiesz o niej?

— Nie, wyrzekłem, ja nie nie wiem, nie wiedzieć nie mogę. Ale powiedz mi, czemu ty żyłeś dotąd, wszak nadzieją?

— Nie, wyrzekł po chwili, i tej nie miałem nawet, żyłem tą myślą tylko, że jej użytecznym być mogę. Augusta.



— A ja nazywałem cię szczęśliwym, zawołałem. Uśmiechnął się smutnie.

— Czy uważasz mój los za godny zazdrości teraz, zapytał łagodnie, Bóg jeden dotąd widział miłość moją i mógł ocenić jej siłę.

— Jakto, więc Augusta jej nie zna?

— Nie, do dziś dnia, powinienem był milczeć... milczałem, nie chciałem do jej smutnego życia do-rzucać tego ciężaru.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj ona jest wolną, warunki jej życia zmieniły się, jest wolną i niepodległą, mąż jej nie żyje. Przed kilku miesiącami zginał marnie w okolicach Melbourne, w zatargach pomiędzy kopaczami złota, w domu gry. Przeciwnik zranił go śmiertelnie wystrzałem z rewolweru, wszystkie starania moje pozostały daremne, nie mogłem uratować go od śmierci, tak jak nie mogłem Augustcie wpływem moim powrócić człowieka jej godnego.

— Więc to była przyczyna tej naukowej wyprawy do Australii.

— To jedno, odparł. Odszukałem go pod obcym nazwiskiem wśród zbiegowiska awanturników całego świata. Zostawił u bankiera w Melbourne kilkadziesiąt tysięcy dolarów, które zapewne byłby przegrał w dni kilka, gdyby nie ta śmierć gwałtowna. Przy najmniej Augusta, w braku szczęścia mieć będzie niezależność i dostatek.

— Czy Augusta znała cel twej podróży.

— Nigdy, odrzekł z mocą, nie mówiłem jej i mówić o tem nie będę, nie chciałem budzić w niej

fałszywych nadziei, ani kłaść na nią obowiązków wdzięczności, dość było dla mnie, żem pracował dla niej.

— Ale dziś, dziś ona jest wolną Adryanie.

I krew uderzyła mi do serca, na myśl, że teraz nic już nie stało między nami.

— Tak dzisiaj ona jest wolną, powtórzył, dotąd nie odważyłem się powiedzieć jej tego.

I ukrył twarz w dłoniach, jak człowiek, który widzi przed sobą nieuchronną przepaść.

— I czegoż się lękasz? pytałem zdziwiony.

— Czego, powtórzył, patrząc mi w oczy, jakby nie pojmując zapytania, lękam się sprawić jej cierpienie, odnowić rany dawne, i zostać w jej pamięci zwiastunem złej wieści, a jednak chęci moje były czyste, jabym był jej szczęście własnem szczęściem okupił. Ileż razy zmieszany z wyrzutkami społeczeństwa, oddalony od wszystkiego co mi drogim było, śledziłem życie człowieka, który był jej mężem, który zwichnął jej życie, złamał przyszłość, a pomimo to może na zawsze pozostał drogim jej sercu; ileż razy zaglądałem do głębi tej upadłej zbrudzonej istoty, chcąc dopytać się iskry jakiej ożywczej i choćby jednego czystego wspomnienia. Dnie i miesiące całe, żyłem jego życiem, dzieliłem jego trudy, patrzeć musiałem na haniebne rozrywki, widziałem powstające brudne namiętności. Nieraz cała istność moja podnosiła się wstrętem i oburzeniem, a ja nakazywałem jej milczenie, próbując dalej niepodobnego dzieła odkupienia, nie dowierzając samemu sobie, badając się, czy ukryta zazdrość



lub nienawiść nie tkwiła w moim duchu i nie zwiększała zawad i niepodobieństw. Bo przynajmniej to, drżałem, by usiłowania moje nie uwieńczył skutek pomyślny, to była jedyne nikczemność miłości mojej; ale na nią nie zważałem.

Słuchałem zdumiony tych dziwnych zwierzeń, człowiek któremu o brak uczucia posądzić nie mógł, uczynił to wszystko, i nie zachwiał się, nie upadł pod ciężarem nad siły, nie sądził się wyższym od reszty świata i przeszedłszy przez wszystkie piekła życia, śmiał potępiać cierpienie i zachować umiał niezłomną pogodę i mówił mi to spokojnie, oskarżając się nieledwie o niepowodzenie, nie zdając się domyślać własnej wielkości. Ze wstydem spuściłem głowę, czułem się tak małym, tak samolubnym, tak nikczemnym przy nim.

— Więc ona go kochała, zawołałem po chwili; tknięty jakąś nową zazdrością, ty wiedziałeś o tem, nie, to niepodobna!

— Nigdy ze mną ani z matką moją, odparł Adrian, Augusta nie mówiła o tem. Widziałem tylko że cierpiała i lękałem się; bo istoty jak ona, oddają się raz na zawsze, omyłka serca jest dla nich niepowrotną.

— I ty mógłbyś żyć bez niej, wyrzekłem oddychając swobodniej, jakby mi spadł z piersi ciężar tłoczący.

— Żyłbym, odparł smutnie, i jeszcze nie nazwałbym się nieszczęśliwym, żyłbym tak jak żyję dotąd pracą, nauką i miłością, dodał ciszej, miłością niedzielną.

Mimo wszystkiego co mówił, nie mogłem uwierzyć, by on kochanym nie był, instynkt serca ostrzegł mnie, iż pomiędzy mną a nim wszystko było różne, że nawet jednaka niedola jednoczyć nas nie mogła.

— I nie zapragnąłeś nigdy zapomnieć? pytałem. Uśmiechnął się wstrząsając głową.

— Nigdy, wyrzekł, zapomnienie, to broń słabych kobiet i rozpieszczonych dzieci, którym jedno cacko, drugie z myśli wybija. W wysokich sferach ducha zapomnienie istnieć przestaje, to moralne kalectwo.

— Moralne kalectwo, pochwyliłem, a jednak są chwile, są położenia w życiu, w których obowiązkiem jest zapomnieć.

— Nigdy zapomnieć! przerwał mi Adrian. Czy rozważyłeś kiedy samo znaczenie tego słowa? Zapomnieć, to wymazać coś ze swego życia, a tem samem stracić moralną korzyść, jaką nam każda chwila przynieść winna. Potrzeba zarówno pamiętać błąd każdy jak i dobrą chwilę; błąd, by go drugi raz nie popełnić; dobrą chwilę, by z niej jak ze szczebla wyżej zasięgnąć.

— A jeżeli pamięć staje się pokusą?

— To trzeba walczyć z pokusą a nie ze wspomnieniem; zresztą są uparte pamięci i pamięci podstępne, w których wspomnienia uśpione budzą się znieścacka i zwyciężają bezbronnych. Zapomnimy, ogłuszymy się dzisiaj, ale kto nam za jutro zaręczy?

— A jednakże, przerwałem, są rzeczy, które powinno nakazywać nam zapomnieć.



— Jakie? zapytał, wlepiając we mnie jasne spojrzenie.

— Są uczucia wzbronione, wyrzekłem mimowolnie, spuszczając oczy przed jego wzrokiem.

— Są, odparł, ale przeciwko nim złą tarczą jest zapomnienie.

— A jednak, dodałem, party dziwną żądzą wyspowiadania wezbranego ducha, gdybym ja dziś pokochał, czy miałbym inną drogę przed sobą?

— Gdybyś pokochał, powtórzył Adryan badawczo i litośnie razem, nie i wówczas nie powinienbyś zapomnieć, i znów zostawiać serce twoje bez straży.

— Więc sądzisz że mnie kochać wolno? Mnie.

— Nie! Zygmuncie, wyrzekł stanowczo, biorąc rękę moją, sumienie twoje odpowiada za mnie. Cudze życie i cudze serce oparte są na tobie, zawodzić ci ich nie wolno, ani łamać dobrowolnie przyjętego obowiązku. Dlaczegoż poślubiłeś Melanię? Jeżeliś szedł za kaprysem powabu lub serca, którego nie potwierdził rozum, jeżeli kaprys ten przeminął a ty poczułeś próżnię, przesyt, krzyż twój jest ciężkim, ale pamiętaj żeś go własnymi wyciosał rękoma, i że odpowiedzialność za czyny nasze ciążyć na nas musi.

— I cóż ztąd, czy dla tego ciężar mój staje się lżejszym.

— Nie, ale strzeż się, by błąd jeden nie wyradzał dalszych błędów, bo wówczas odpowiedzialność będzie większa i cierpienie cięższe.

Nie odpowiedziałem nic, czułem nieubłaganą prawdę słów jego.

— Powiedz mi, dodał miękko Adryan po chwili, czemu poślubiłeś Melanię.

— Poślubiłem ją w złej chwili smutku i zniechęcenia.

— Czy nie wówczas, pytał mnie dalej, gdy rozeszły się duchowe drogi nasze? Czy nie wówczas, gdyś chciał zapomnieć o wszystkim w co wierzyłeś? Już raz Zygmuncie, oceniłeś wartość zapomnienia zakosztowałeś gorzkich jego owoców, powinienbyś pogardzić tą bronią niedołęжных.

— Więc cóż mam czynić? pytałem na wpół jego, na wpół siebie samego, pogrążony w myślach i wspomnieniach.

— Nie mam prawa, rzekł po chwili Adryan z serdecznym dźwiękiem w głosie, zaglądać do tajników twego serca: życia. Oderwane słowa, które ci boleś wyciska, nie dają mi prawa niczego się domyslać, nie odgadywać. Ja nie nie chcę wiedzieć więcej nad to co widzę. Zygmuncie, dla ciebie jest jeszcze droga ratunku, bo ty kochanym jesteś.

— Ja kochanym! zawołałem z gorzką ironią, bo w tej chwili myślałem tylko o Augusteie.

— Tak jest, Melania cię kocha, mówił dalej nie zważając na przerwę moją, a miłość jest niepojętym mistrzem.

— I cóż ztąd, wyrzekłem, miłość ta będzie dla nas wzajemną męczarnią tylko, czyż Melania potrafi iść ze mną równym krokiem, i stać się w myśli jak w życiu towarzyszką moją.

— Ona ma prawo zapytać cię dla czegoś ją zaślubił, bo kocha cię i cierpi przez ciebie.



— Po co mi to mówisz, są to rzeczy nieuleczalne i niepowrotne.

— Ona ma prawo cię zapytać, mówił dalej Adryan, czemu nie przypuściłeś jej do duchowej części, czemuś nie próbował otworzyć jej krainy myśli; wśród których błakałeś się bez celu i straży, szukając nieledwie pokusy.

— Ona nie rozumiała mnie nigdy.

— Czy próbowałeś przynajmniej być zrozumianym, czyś nie potępił jej bez wysłuchania, nie odrzucił z góry, czy masz prawo oskarżać ją za własne winy. Czy byłeś jej mężem, przewodnikiem i towarzyszem? Tu leży druga wina twoja. Samotny, znudzony, przejęty duchową pychą i moralnem lenistwem byłeś zgubiony od dawna, zanim wkradła się grzeszna miłość w twoje serce; dotąd strzegł cię przyadek tylko. Uderz się w piersi czy tak nie jest?

— Tak jest, odparłem smutnie, doskonale skreśliłeś mój stan moralny. Ale cóż ztąd czy los mój, dla tego żem go sam zgotował, jest przez to mniej gorzkim?

— Tyś nie powinien cofać się przed goryczą, ale szukać uleczenia, powtarzam ci, Melania cię kocha i cierpi, cierpieniem budzi się w niej życie nowe, rozszerza widnokrąg myśli i dojrzewa serce. Są chwile, w najbardziej zropaczonych położeniach, w których los daje nam nić zbawczą, jak tonącemu deskę ratunku, ale chwile te są niepowrotne i biada tym, co jej schwycić nie mogą! Zamiast poddawać się rozpacz, zamiast szukać zapomnienia, spojrzysz na tę kobietę, której winienesz szczęście. Jeżeli możesz, choć czas

jakis, odwróć myśl od samego siebie, a skieruj ją na nią tylko, poznasz wówczas najwyższą rozkosz na świecie: być sprawcą cudzego szczęścia.

I oparł czoło na rękę, i zamyślił się głęboko o tem może, czego pragnął a spełnić nie mógł.

Podniosłem się tknięty jakimś dziwnym zapachem i wdzięcznością. Wszystkie nizkie struny ducha mego zamilkły i uczulem się zdolnym dźwigać życie i krzyże życia, bez upadku, i słabości. Słowa Adryana nie były daremne, płynąc z serca i przekonania, obudziły przekonanie, wszczepiły się we mnie. Obowiązki położenia mego przedstawiły mi się jasno, dobitnie i zmierzyłem je z wolą podolania im. Dla tego odsuwając dawne błędy i słabości, rzekłem do Adryana ściskając jego rękę.

— Życie da ci więcej daleko niż żądasz i marzysz! mam przekonanie, że Augusta cię kocha, że nigdy szlachetniejsze serce, gorętszem nie uderzyło uczuciem.

Miałem na myśli ten list tak serdeczny, tak wyłany, który z winy mojej rąk jego nie doszedł, ale nie miałem czasu powiedzieć więcej, bo Augusta ukażała nam się w pobliskiej alei.

Oddaliłem się szybko, i niedając samemu sobie czasu do namysłu, skierowałem się ku dworowi. Po raz pierwszy od ostatniej pamiętnej nocy przed chorobą, wszedłem do mego pokoju. Wszystko tam stało jeszcze jak wówczas nietykalne, w nieładzie, jak w tym dniu nieszczęsnym, broń nawet leżała na stole, papiery na biurku. Pochwyciłem list Augusty otwarty, leżący na samym wierzchu, i powróciłem



do miejsca w którym zostawiłem Adryana. Zrozumiałem, że dalej zatrzymując go powiększałem winę moją, że powinien ją być odpokutować i wyznać wszystko.

Adryan był z Augustą. Stali obok siebie próbując zawiązać jakąś rozmowę, której dźwięki niezgodne z uczuciem gorejącem w sercach, zamierały im na ustach. Jemu po raz pierwszy może w życiu brakowało odwagi, ona odgadnąć go nie mogła, i na jej jasnem czole przechodziły nawalne chmury myśli, jako burze po lipcowem niebie; cała twarz promieniała tą nieujętą pięknoscią, jaką kobiecie każdej daje miłość, zdawała się objętą aureolą uczucia, które ją podnosiło nad powszednie warunki życia, a jednak uśmiech jej był przymuszony, bolesny, spojrzenie wilgotne.

Adryan był bledszym niż kiedykolwiek, spoglądał na nią z tklivością i trwogą niewypowiedzianą, Ona miała w rękę swoim jego szlachetne serce i sama nie wiedziała o tem. Niepokój był w nim i w niej zarówno, oboje kochali się całą potęgą namiętności nieskalanych serc, oboje postawili się wzajemnie tak wysoko, iż z niepojętą pokorą ducha nie sądzili się godnymi wzajemności i zbroili serca odwagą nie na zdobycie szczęścia, ale na zniesienie niedoli.

Spoglądałem na nich z za opony krzewów, zatrzymany na miejscu tym widokiem, czekając pierwszego słowa, nie śmiejąc przerwać ciszy panującej między nimi, wśród której może w końcu rozumiały się te serca uderzające jednogłośnie.

— Pani! wymówił w końcu Adryan, z niezręcznością prawdziwego uczucia głosem, który drżał tak, że trudno było rozpoznać jego brzmienia, przebac mi to pytanie, ale powiedz mi, czy nigdy nie miałaś żadnej wieści o mężu?

Augusta zadrżała i pochyliła się, przyciskając rękę do piersi, jakby nagłym bólem przeszłyta, może spodziewała się innego słowa.

— Nigdy, odparła po długiej chwili, nie wiem nawet gdzie był dotąd i czy żyje jeszcze.

— Był w Australii w ostatnich czasach, rzekł Adryan powoli, jakby chcąc oddalić ostatnie słowo.

— W Australii, powtórzyła Augusta zdziwiona, uderzona tym wyrazem, wpatrując się w niego badawczo, a dzisiaj?

— Dzisiaj on już nie żyje, wyrzekł Adryan nie podnosząc na nią oczów, przed kilku miesiącami zginął koło Melbourne, w przypadkowej walce, zostawiając znaczny majątek.

— Nie żyje, zawołała kobieta, zakrywając twarz rękoma, i przejęta wspomnieniem dawnych dni, żalem, czy też uczuciem wyzwolenia, padła na ławkę i pozostała tak długą chwilę nieruchoma.

Adryan stał przy niej przerażony wrażeniem, jakie sprawiły słowa jego, i nie umiejąc wytłumaczyć je sobie, powiódł do koła rozpaczny wzrokiem, gotów uciec z przed jej oblicza, zanim oczy podniesie, gotów uklęknąć przy niej i błagać przebaczenia za słowa, które jej boleść sprawiły.

Wówczas zbliżyłem się do niego.



Adryanie, rzekłem tak cicho, że Augusta usłyszeć mię nie mogła, odprowadzając go na bok o kroków kilka, o to list pisany do ciebie przed kilku tygodniami. Otworzyłem go w chwili szaleństwa i upadku, przebac mi, zrozumiej go, zrozumiej to co było w sercu Augusty, a czego ona napisać nie mogła. Bądź szczęśliwym jak nim być powinienes, jak nim być godny.

I oddaliłem się nie czekając odpowiedzi, zostawiając zakochanych, bo mimo postanowienia i słowa moje, widok ich dwojga był mi za ciężki.

Nie dokonywa się tak w jednej chwili przeistoczenia moralnego, trzeba mi było nieraz jeszcze podjąć ciężką pracę duchową, nieustannie czuwać nad sobą, by z krain mglistych marzeń, rozpieszczonych bólów, namietności kapryśnych, powrócić do codziennych warunków bytu i podolać im.

Gnany niepokojem wewnętrznym, długo błąkałem się po ulicach parku, aż w końcu powróciłem do domu i wszedłem do pokoju Zosi. Melania była przy niej. Zosia jeszcze trochę mizerna, ale już z żywym okiem ze swobodnymi ruchami, bawiła się u jej kolan, wesoła jak ptaszek. Ten widok wrócił mi odwagę. Melania patrzyła na nią z wyrazem słodczy, rezygnacji, pogodnego cierpienia, który teraz namiętnował jej rysy duchową pięknością.

— Mamo, mówiła Zosia, czy mogę wyjść dzisiaj do ogrodu?

— Nie wiem kochana, trzeba się zapytać Augusty lub doktora, rzekła żona moja.

— Mamo, a gdzie jest Augusta? Powiedz jej by przyszła do mnie? prosiła Zosia.

Melania podniosła się, uściśnęła ją i wyszła w milczeniu. Zatrzymałem ją w progu.

— Czy nie wiesz gdzie jest Augusta? spytała mnie.

— Widziałem ją przed chwilą w ogrodzie z Adryanem, odparłem.

Melania stanęła, zawahała się chwilę i chciała powrócić do Zosi, śledziłem bacznie wyraz jej twarzy.

— Czemuż nie spełniasz polecenia Zosi? pytałem, czy nie chcesz przerywać im rozmowy, czy się domyślasz jej treści? Co sądzisz o Adryanie?

Melania utopiła we mnie swe piękne oczy gazelli.

— Ja sędzę, odparła głosem, który drżał mimo jej woli, jakby lękała się słów swoich, ja sędzę, że on kocha Augustę.

— Zkąd to wiesz, zapytałem, czy on lub ona mówili ci o tem.

Uśmiechnęła się smutnym uśmiechem, który dziwnie wyszlachetnił jej rysy?

— Czy sądzisz Zygmuncie, spytała nawzajem, że jestem tą co dawniej byłam, w tych czasach ostatnich cierpiałam wiele.

Ścisnąłem jej rękę w milczeniu, i rękę tę do ust podniosłem.

— Ja ci nic nie wymawiam, pochwyciła z żywocią, a spojrzenie jej wymowniejsze było od słów.



Cierpienie to zdarło mi jakby bielmo z oczów, zrozumiałem wiele rzeczy, niepojętych dla mnie dawniej, spojrzałem na świat innym wzrokiem. Cierpienie nauczyło mnie przeczuwać cierpienie, miłość odgadnąć miłość.

Umilkła, jakby w obawie, żeby mi nie sprawić bólu, i patrzyła na mnie trwożna z bijącym sercem. Spojrzałem na nią nawzajem, i słowa Adryana stanęły mi w pamięci. „Poznasz najwyższą rozkosz tego świata, gdy będziesz sprawcą cudzego szczęścia”. Melania zrozumiała, że myśl moja zwróciła się ku niej i uchwyciła tę chwilę.

— Zygmuncie, wyrzekła, wstrzymując łzy drgające jej na rzęsach; Zygmuncie, dotąd ja nie byłam ci żoną, długo bardzo nie rozumiałam ciebie, nie próbowałem nawet zrozumieć, ale też i ja samej siebie nie pojmowałam także. Wszystko we mnie było instynktowe, bezświadome i bezrozumne. Ja nie wiedziałam jeszcze sama że kochałam ciebie, bom nie pojmowała że serce twoje stracić mogę.

— Melanio, szepnąłem, nie mówmy o przeszłości

— Owszem, odparła, pomówmy o niej raz i na zawsze. Jeżeli Bóg wróci mi ciebie, jeżeli potrafię odzyskać miłość twoją, błogosławić będę te straszne chwile, które mnie zbudziły do życia, błogosławić będę cierpienie. Zygmuncie, ja ci nie mówię Kochaj, bo wiem że to próżne słowo, ja ci nie mówię zapomnij, bo są istoty, dodała ze drżeniem w głosie, których zapomnieć niepodobna; ale ile razy będzie ci źle na świecie, ile razy uczujesz się samo-

tnym, pomyśl że jest na świecie kobieta, która cię kocha całą siłą słabej istoty swojej, która chciała-by żyć tylko dla ciebie, a lęka się być ci zawadą i jarzmem.

— Melanio, zawołałem zdumiony, kto ci włożył w usta słowa podobne?

— Niestety, odparła z wolna, Niestety nauczyło mnie czuć i myśleć. Z początku buntowałam się przeciw niemu, nie mogłam zgodzić się z rzeczywistością, tracąc to, co zdawało mi się dotąd koniecznym dobrem mojem, bluźniłam przeciwko niej i przeciwko tobie. Boleść, to była gorzka, oschła i bezpłodna jak boleść potępieńców. Ale potem, gdy naraz dotkniętą zostałam we wszystkim cōm kochała, ja co jeszcze przed kilku dniami sądziłam się najszczęśliwszą z żon i matek, a stałam się naj-nędzniejszą, gdy dziecię nasze leżało bez nadziei życia, a ty bezwładny i bezprzytomny pasowałeś się ze śmiercią której sam szukałeś, wówczas serce moje pękające otworzyło się, zmiało. W okół mnie stała się straszna jasność, poznałam winy przeszłości — za późno może. W czasie tych strasznych nieskończonych godzin nachylona nad twem łóżkiem, słuchając słów wymawianych w malignie, dowiedziałam się, żeś był nieszczęśliwy, dowiedziałam się że powodem twego nieszczęścia byłam ja, ja com cię kochała zawsze, cobym była życie oddała za ciebie. Wówczas szalałam prawie z rozpacz, nie mogłam rozwikłać chaosu własnego ducha i wydarzeń, w które byłam wplątana, nie mogłam już do-wierzać sobie, Augusta przysła mi w pomoc.



— Augusta! cóż powiedziała ci Augusta? prze-  
rwałem gwałtownie, zanim opamiętać się zdołałem,  
że słowa moje zranić ją mogły. Położenie moje obec-  
ne z żoną tak było nowem dla mnie, że nie mógł  
przywyknąć do tej zmiany.

Ale Melania zniósła ten wybuch łagodnie.

— Ona rozjaśniła mi serce, wyrzekła z cicha, ona  
rozwinęła mi myśli, nauczyła jak kochać trzeba.

— Jakżeż to kochać trzeba Melanio? zapytałem  
smutnie. Rumieniec wybiegł na blade lica mojej  
żony.

— Trzeba kochać, odparła głosem, który tłumilo  
wzruszenie, pokornem sercem a hardym duchem, wy-  
trwale, z zapomnieniem siebie podzielać myśli i tro-  
ski; marzenia, czyny i zakres życia całego zamknąć  
w jednym uczuciu, w jednym sercu; pracować wiecz-  
nie, by je posiadać pracować by mu dorównać; sa-  
ma słaba, dźwigać ukochanego, gdyby upadał, roz-  
weselać gdy jest smutny, cierpieć z nim kiedy cier-  
pi, wspomagać gdy walczy. Być mu wiarą, szczę-  
ściem, siłą.

Mówiła to z dziwnym zapalem w głosie, a jam  
słuchał jak nowej nieznanej mi istoty.

— Być wszystkiem, dodała smutnie po chwili, kry-  
jąc w dłoniach twarz rozplamioną, czem ja nigdy  
nie byłem dla ciebie.

— Melanio, zawołałem wzruszony do głębi serca, wina  
była tutaj wspólną, jam niepoznał serca twego, a nie-  
godny byłem go posiadać; zamiast rozwijać twój umysł,  
zamknąłem się w samolubnem cierpieniu, marzenia

nych, może byłoby mi trudniej przyszło zdradzić  
jego zaufanie: lecz sprawiedliwość przeważała szale-  
nę na swoją stronę; tem bardziej że sam stawszy się  
mimowolną przyczyną jego namiętności, przez wpro-  
wadzenie go tutaj, czuję się w obowiązku uprzedzić  
zgubne skutki mej nieostrożności."

Podziękowałem panu de T... za tak ważną usłu-  
gę i wyznałem mu z równem zaufaniem, że cha-  
rakter Manon był rzeczywiście takim jakim go so-  
bie młody G... M... wyobrażał: to jest że znieść nie  
mogła samej nazwy ubóstwa. „Jednakże, dodałem,  
kiedy chodzi tylko o większy lub mniejszy dosta-  
tek, nie przypuszczam aby była zdolną porzucić  
mnie dla innego. Jednej się tylko rzeczy obawiam,  
dodałem, to jest żeby G... M... nie skorzystał ze  
świadomości miejsca naszego pobytu dla wyrządzenia  
nam jakiego podstępного figla.“ Pan de T... upe-  
wnił mnie, że z tej strony niczego nie potrzebow-  
ałem się obawiać; że G... M... mógł się dopuścić mi-  
łosnego szaleństwa, ale nie był zdolny do podłości;  
że gdyby się zniżył do takowej, on sam pierwszyby  
go ukarał i tym sposobem wynagrodził błąd jaki-  
by popełnił dając mu do niej sposobność. „Dziękuj-  
ję ci za te uczucia, odpowiedziałem, lecz niemniej  
dla tego nieszczęście by się stało, a lekarstwo by-  
łoby bardzo wątpliwem. Podług mnie najrozumniej  
będzie uprzedzić je, opuszczając Chaillot i przeno-  
sząc się gdzieindziej.“ „Zapewne, potwierdził pan  
de T..., lecz to się nie da skutecznie tak prędko  
jakby należało, gdyż G... M... ma tu być w połu-



dnie: powiedział mi to wczoraj i dla tego właśnie tak rano przyjechałem, żeby cię uprzedzić o jego zamiarach. Tylko co go nie widać.“

Tak nagłące ostrzeżenie kazało mi poważniej tę sprawę traktować. Ponieważ nie widziałem sposobu uniknięcia odwiedzin młodego G... M..., ani przeszkodzenia żeby się z Manon nie rozmówił, umyśliłem sam ją uprzedzić o zamiarach tego nowego wielbiciela. Wyobrażałem sobie że widząc iż jestem uwiadomiony o celu odwiedzin mego współzawodnika i w moich oczach słuchając jego oświadczeń, znajdzie dosyć siły do ich odrzucenia. Powierzyłem myśl moją panu de T..., który mi odpowiedział że to rzecz nader drażliwa. „Nie przeczę temu, odrzekłem; ale ja w tym razie mam wszelkie możliwe powody ufania mojej kochance. Tylko wspaniałość ofiar olśnićby ją mogła; a powiedziałem ci już że interesowność obcą jest jej duszy. Lubi dostatek ale mnie także kocha, a w obecnym moim położeniu nie mogę przypuścić aby nademnie przełożyła syna człowieka, który ją zamknął do wyrobnego domu.“ Słowem, uparłem się przy moim zamiarze, i w poufnej rozmowie powtórzyłem po prostu Manon to wszystko. czego się sam dowiedziałem.

Podziękowała mi za dobre mniemanie jakie miałem o niej i przyrzekła w taki sposób przyjąć ofiary pana G... M... żeby mu się odechciało je ponawiać.

„Nie, rzekłem jej; nie trzeba go rozdrażniać niegrzecznością: mógłby nam zaszkodzić. Ale ty, mała kulkajo, dodałem śmiejąc się, ty wybornie umiesz

pozbyć się niemiłego lub natrętnego kochanka.“ Zastanowiwszy się trochę: „Doskonała myśl przyszła mi do głowy, wykrzyknęła, pysznię się tym pomysłem. G... M... jest synem najszroźszego naszego nieprzyjaciela: trzeba nam zemścić się za ojca, nie na osobie syna, ale na kieszeni jego. Wysłucham go, przyjmę jego podarunki i zażartuję sobie z niego.“ „Zamiar wcale niczego, odpowiedziałem, ale zapominasz biedaczko, że to jest droga która nas prosto do wyrobnego domu zaprowadziła.“ Lecz na próżno jej przedstawiałem niebezpieczeństwo tego przedsięwzięcia; dowodziła mi że należało tylko dobrane wszystko obmyśleć i na wszystkie moje zarzuty gotową znalazła odpowiedź. Pokażcie mi zakochanego któryby nie wypełniał ślepo wszystkich kaprysów uwielbianej kochanki, a przyznam że niepowinienem był uleść tak łatwo. Postanowiliśmy więc wystrychnąć na dudka G... M..., a stało się przeciwnie, że on mnie wystrychnął.

Około jedenastej godziny ujrzeliśmy karetę jego. Na samym wstępie przeprosił nas w sposób pełen wykwintnej grzeczności za to, że sobie pozwolił na obiad do nas przyjechać. Nie zadziwił się zastając pana de T... który mu powiedział dnia poprzedniego że się także wybiera, wymówiwszy się zrzeczenie od jechania w jednym z nim powozie. Chociaż każdy z nas zdradę w sercu chował, zasiedliśmy do stołu ze wszystkimi pozorami wzajemnego zaufania i przyjaźni. G... M... z łatwością znalazł sposobność oświadczenia swych uczuć Manon. Nie musiałem mu się wydać natrętnym, gdyż umyślnie wyszedłem na



chwilę z pokoju. Powróciwszy, zaraz poznałem że go nie zasmucono zbytkiem surowości. Był w najlepszym w świecie humorze. Ja także starałem się być wesołym, on śmiał się w duchu z mojego zaślępienia, a ja z jego prostoty. Przez całe popołudnie graliśmy sobie wzajemnie bardzo przyjemną komedię. Przed odjazdem nastroczyłem mu jeszcze chwilę poufnej rozmowy z Manon; musiał być również zadowolonym z mojej uprzejmości, jak ze smacznego obiadu.

Skoro tylko wsiadł do karety razem z panem de T..., Manon przybiegła do mnie z otwartymi ramionami i ucałowała mnie śmiejąc się do rozpuku. Powtórzyła mi dosłownie jego grzeczności i jego ofiary. Uwielbiał ją; chciał podzielić z nią czterdzieści tysięcy franków renty, które już pobierał, nie licząc tego czego się spodziewał po śmierci ojca. Ona miała zostać wszechwładną panią serca jego i majątku; a jako zadatek hojności swojej, ofiarował jej natychmiast karetę, wykwintnie urządzone pałac, pannę służącą, trzech lokaj i kucharza. „Oto syn wiele hojniejszy od ojca swego, rzekłem do Manon. Ale mówmy otwarcie, dodałem; czy cię nie nęci ta ofiara?” — „Mnie? wykrzyknęła stosując do myśli swojej ten dwuwiersz Racine'a:

Mnie! czyliż o taką mnie posądzasz zdradę?  
Mnie? Mogłabym znieść twarz tę nienawistną,  
Po za którą zawsze dom wyrobny widzę?

Nie, odparłem dalej prowadząc parodię:

Tego przypuścić nie mógłbym o pani!  
Że dom wyrobny pocisk miłości w serce twoje rzucił.

Zawsze to rzecz bardzo ponętna, pałac wykwintnie urządzone, kareta i trzech lokaj; miłość nie wiele również silnych pokus posiada. Manon jednak zaklinała się że serce jej do mnie na zawsze należy, i że odemnie tylko pociski miłości przyjmować będzie. „Obietnice jego, dodała, są dla mnie raczej bodźcem zemsty aniżeli pociskiem miłości.” Zapytałem jej czy miała zamiar przyjąć pałac i karetę? Odpowiedziała mi że tylko na pieniądze jego czyha. Trudność jednak zachodziła jakim sposobem otrzymać jedno bez drugiego. Umyśliliśmy zaczekać na dokładne objaśnienie zamiarów G... M... w liście, który obiecał do niej napisać. W samej rzeczy otrzymała go nazajutrz przez lokaja bez liberyi, który bardzo zręcznie znalazł sposobność pomówienia z nią bez świadków. Kazała mu poczekać na odpowiedź i z listem przyszła do mnie. Otworzyliśmy go razem. Zawierał oprócz pospolitych czułości szczegóły obietnic mego rywala. Nie ograniczał wcale jej wydatków. Zobowiązywał się wypłacić jej dziesięć tysięcy franków w chwili kiedy obejmie w posiadanie pałac i wypełniać wszystkie ubytki w tej sumie, tak żeby ją zawsze miała w gotówce. Dzień owej inauguracji wkrótce miał nastąpić. G... M... żądał dwóch dni na przygotowania i wymieniał nazwę ulicy i hotelu w którym przyrzekał oczekiwać na nią drugiego dnia po południu, byleby tylko zdołała czujność moją omylić. Pod tym jednym tylko względem zaklinał ją aby go uspokoiła: zresztą zdawał się być pewnym wszystkiego, lecz dodawał, że



gdyby przewidywała trudność w wydostaniu się ode mnie, on najdzie sposób ułatwienia jej ucieczki.

Młody G... M... ostrożniejszym był od swego ojca. Chciał pierwiej trzymać w ręku swoją zdybacz, a dopiero wyliczyć talary. Namysłaliśmy się nad tem jak wypadało postąpić mojej kochance. Próbowałem jeszcze odwieść ją od tego zamiaru, przedstawiając jej wszystkie jego niebezpieczeństwa. Nie nie mogło zachwiać jej postanowienia.

Dała krótką odpowiedź panu G... M... upewniam go że nie jej nie przeszkodzi udać się na dzień oznaczony do Paryża; i on może jej na pewno oczekiwać. Ułożyliśmy następnie że ja sam natychmiast pojedę nająć inne mieszkanie w jakiej wiosce po drugiej stronie Paryża i zabiorę z sobą szczupłe nasze pakunki, ona zaś w dzień oznaczony uda się wcześniej do Paryża, a otrzymawszy podarunki od swego nowego wielbiciela, wymoże na nim aby ją zaprowadził do teatru, i zabierze z sobą część pieniędzy, a resztę powierzy mojemu służącemu, którego wiaść z sobą chciała. Był to jeszcze ten sam, który ją wyswobodził z wyrobnego domu i który szczerze był do nas przywiązany. Ja miałem być w pogotowiu z fiakrem, na rogu ulicy Saint-André-des-Arcs i około siódmej godziny podejść pod osłoną ciemności do drzwi gmachu komedyi. Manon przyrzekła mi znaleźć pozór wyjścia na chwilę z loży i korzystając z tego, zbiedz na dół dla połączenia się ze mną. Reszta nie przedstawiała żadnych trudności. W jednej chwili dopaść mieliśmy fiakra

i wyjechać z Paryża przez przedmieście św. Antoniego, prowadzące do nowego naszego mieszkania.

Ten plan, jakkolwiek niedorzeczny, wydał nam się dosyć dobrze ułożony. Szaleństwem jednak było przypuszczać, że chociażby się był powiódł jak najpomyślniej, zdołalibyśmy byli następstw jego uniknąć. Pomimo tego z bezprzykładnem zuchwalstwem narażaliśmy się na niebezpieczeństwo. Manon pojechała z Marcelem: tak się nazywał nasz służący. Z boleścią widziałem ją odjeżdżającą. Rzekłem do niej całując ją: „Manon, czy ty mnie nie zdradzasz? czy ty mi wierną pozostaniesz?” Wymawiała mi czułe moją nieufność i ponowiła mi wszystkie swoje przysięgi.

Chciała około trzeciej godziny przybyć do Paryża. Ja wkrótce po niej wyjechałem. Resztę popołudnia przemęczyłem w kawiarni Feré przy moście św. Michała. Pozostałem tam aż do zmierzchu. Wtedy wyszedłem i najawszy fiakra, postawiłem go podług naszej umowy na rogu ulicy St. André-des-Arcs; następnie doszedłem pieszo do bramy teatru. Zdziwiłem się nie znalazłszy Marcela, który miał tam czekać na mnie. Czekałem przez całą godzinę, pomieszany z tłumem lokai i bacznie śledząc wszystkich przechodzących. Nakoniec wybiła siódma godzina, a ja nie jeszcze dostrzedz nie mogłem co by związek miało z naszymi zamiarami. Zaniepokojony, wziąłem bilet na parter żeby zobaczyć czy nie dojrzę w której z łóż Manon z G... M... Nie było ich nigdzie. Powróciłem na moje stanowisko przy drzwiach, gdzie kwadrans jeszcze przepędziłem mio-



tany niecierpliwością i niepokojem. Nie mogąc się nikogo doczekać, poszedłem do mego fiakra, sam nie wiedząc co począć. Woźnica spostrzegłszy mnie zsiadł z kozła i postąpił kilka kroków naprzeciwko mnie, aby mi powiedzieć z tajemniczą miną że jakaś ładna panienka od godziny czeka na mnie w powozie, że się o mnie pytała i powiedziała mu że czekać na mnie będzie cierpliwie. Wyobraziłem sobie że to zapewne Manon. Pospieszyłem do powozu; lecz ujrzałem tylko ładną obcą twarzyczkę. Nie znajoma zapytała mnie zaraz czy ma zaszczyt mówić z kawalerem des Grieux? Odpowiedziałem jej że takie jest moje nazwisko. „Mam do pana list, rzekła wtenczas, z którego pan się dowiesz jaki mnie tu powód sprowadził i z jakiego względu mam przyjemność znać pańskie nazwisko.” Prosiłem jej aby mi pozwoliła przeczytać list w pobliskiej garkuchni. Chciała mi towarzyszyć i radziła mi wziąć osobny pokój. „Od kogo ten list?” zapytałem wchodząc na wschody. — „Zobaczysz pan,” odpowiedziała.

Poznałem rękę Manon. Oto treść jej listu. G... M... przyjął ją z uprzejmością i wspaniałością przechodzącą wszelkie wyobrażenie. Obsypywał ją podarunkami. Ofiarował jej byt królewski. Zapewniała mnie wszelako że nie zapomina o mnie pośród tego nowego przepychu; lecz gdy nie mogła nakłonić pana G... M... żeby ją tego wieczoru na komedię zaprowadził, zmuszoną była na inny dzień odłożyć przyjemność widzenia mnie: a chcąc mnie choć trochę pocieszyć w smutku, jaki przeczuwała że mi

sprawi ten zawód, znalazła sposób dostania dla mnie jednej z najładniejszych paryżkich dziewcząt, która mi list ten wręczy. *Podpisano:* wierna twoja kochanka, Manon Lescaut.

Było coś tak dla mnie obraźliwego i okrutnego w tym liście, że wahając się przez chwilę pomiędzy gniewem a żalem, postanowiłem zrobić wysilenie żeby na wieki zapamiętać mojej niewiernej i niewdzięcznej kochanki i spojrzałam na stojącą przedemną dziewczynę. Była bardzo ładna; a w tej chwili pragnąłem żeby wdzięki jej zdolne były uczynić mnie nawzajem zdrajcą i niewiernym; lecz nie znalazłem w niej tego spojrzenia namiętnego i omdlewającego, tego torsu boskiego, tej płci pędzłem miłości pomalowanej, słowem tego niewyczerpanego zbioru wdzięków, którym natura uposażyła przewrotną Manon. „Nie, nie, powiedziałem nie spuszczać z niej oka, niewdzięcznica która cię tu przysyła, dobrze wiedziała że przyjdiesz napróżno. Powracaj do niej i powiedz jej odemnie żeby sobie używała owoców swej zbrodni; niech się niemi cieszy bez wyrzutów sumienia, jeżeli może; opuszczam ją bezpowrotnie, a jednocześnie wyrzekam się wszystkich kobiet, które nie będąc tak miłemi jak ona, równie są zapewne słabe i przewrotne.” To powiedziawszy chciałem odejść nie myśląc już więcej o Manon, a ponieważ śmiertelna zazdrość która mi serce szarpała, przybierała pozory ponurej odrętwiałości, tem pewniejszy byłam mego wyleczenia, że mną nie miały owe gwałtowne wzruszenia, którym poprzednio w podobnych okolicznościach podlegałem.



Niestety! byłem igraszką miłości, sądząc że tylko Manon i G... M... zażartowali ze mnie!

Dziewczyna która mi list przyniosła widząc że odchodzę, zapytała mnie co każę powiedzieć panu de G... M... i tej pani która jest u niego? Cofnąłem się na to zapytanie i przez nagłą zmianę—niepojętą dla tych, którzy nigdy nie ulegali gwałtownym namiętnościom — z martwego spokoju w jakim się dotąd znajdowałem, wpadłem w straszne uniesienie wściekłości. „Idź, wykrzyknąłem, opowiedz zdrajcy G... M... i wiarolomnej jego kochance rozpacz w jaką mnie wprawił list twój przekłety; lecz powiedz im zarazem że nie długo się cieszyć sobą będą, albowiem ich oboje własną ręką zasztyletuję.“ Rzuciłem się na krzesło, kapelusz mój upadł z jednej strony, laska z drugiej. Dwa strumienie gorzkich łez puściły się z mych oczu. Paroksyzm wściekłości ustąpił miejsca głębokiemu żalowi; płakałem rzewnie jęcząc i wzdychając żałośnie. „Przybliź się do mnie moje dziecko, przybliź się, zawołałem, przemawiając do młodej dziewczyny; przybliź się, ponieważ tobie polecono żebyś mnie pocieszyła. Powiedz mi czy masz lekarstwo na gniew i rozpacz, na chęć odebrania sobie samemu życia, po zabiciu pierwszej dwójga zdrajców, którzy nie warić są tego żeby żyli na świecie. Tak jest, przybliź się, mówiłem dalej, widząc że postąpiła parę kroków ku mnie, drżąca i nieśmiała. Pójdź łzy moje osuszyć; wróć pokój sercu mojemu; powiedz mi że mnie kochasz, abym się nauczył być kochanym od innej jak moja niewierna. Ładną jesteś, może zdołam pokochać

cię także.“ Biedna dziewczyna, nie starsza nad szesnastoletnie do siedemnastu lat i na pozór wstydlawsza od jej podobnych, zdawała się nadzwyczajnie zdziwiona tą osobliwszą sceną. Przybliżyła się jednak do mnie ze swemi pieśczętami; lecz ją natychmiast odepchnąłem. „Czego chcesz odemnie? wykrzyknąłem. Ha! jesteś kobietą, należysz do płci której nienawidzę, której znieść nie mogę. Wdzięk oblicza twojego nową mi zdradą zagraża. Idź precz, i zostaw mnie samego.“ Oddała mi głęboki ukłon nie śmiejąc nic powiedzieć i już miała odchodzić, gdy na nią zawołałem żeby się zatrzymała. „Powiedz mi przynajmniej, rzekłem, jak, dla czego, w jakim celu tu przysłała zostałaś? Jakim sposobem dowiedziałaś się mego nazwiska i z kąd wiedziałaś gdzie mnie szukać?“

Odpowiedziała mi że oddawna znała pana de G... M...; że przysłał po nią około piątej godziny, że prowadzona przez jego lokaja poszła do okazałego domu gdzie zastała pana de G... M... grającego w pikietę z jakąś ładną panią i że oboje polecili jej aby mi oddała list, który mi też doręczyła, uprzedzwszy ją że mnie znajdzie w karecie stojącej na rogu ulicy St. André. Na zapytanie moje czy nie więcej jej nie powiedzieli, odrzekła rumieniąc się że zrobili jej nadzieję iż ją wezmę za towarzyszkę. „Oszukano cię, powiedziałem jej. Oszukano cię, biedne dziecko. Jesteś kobietą, potrzebujesz mężczyzny; lecz potrzebujesz takiego któryby był bogatym i szczęśliwym, a we mnie takiego nie znajdziesz. Wracaj, wracaj do pana de G... M... On po-



siada wszystko co potrzeba żeby miłość pięknych kobiet pozyskać. Ma do rozdawiania wspaniałe pałace i paradne ekwipaże. Ja nie prócz miłości i wierności ofiarować nie mogę; kobiety pogardzają mojem ubóstwem i żartują sobie z mojej prostoty."

Dodałem jeszcze tysiące innych rzeczy na przemian smutnych lub gwałtownych, stosownie do tego jak miotające mną namiętności górę jedną nad drugimi brały. Jednakże uniesienia moje uspokoiły się stopniowo o tyle przynajmniej, że byłem w stanie z zimniejszą krwią nad moją niedolą się nastanowić. Porównałem tę ostatnią przygodę z poprzedniami tego samego rodzaju i uznałem że nie więcej od tamtych mogła dawać powodu rozpaczania. Znałem Manon: na co się zdało tak gwałtownie ubolewać nad nieszczęściem które było do przewiedzenia? Czy nie lepiej było poszukać na nie ratunku? Miałem jeszcze dosyć czasu. Powinienem być przynajmniej wszelkich dołożyć usiłowań, jeżeli nie chciałem mieć sobie do wyrzucenia, że własną opieszałością przysporzyłem sobie zmartwienia. Zacząłem więc rozpatrywać wszystkie środki jakie mogły mi utorować drogę do nadziei.

Chcieć przemocą wyrwać ją z rąk G... M... było by krokiem rozpaczliwym, który mógł mnie tylko zgubić i nie miał najmniejszych widoków powodzenia. Ale zdawało mi się że gdybym mógł ją zobaczyć, niewątpliwie odzyskałbym nad jej sercem przewagę; tak dobrze znałem wszystkie jego słabe strony! tak byłem pewny że mnie kochała! Sam nawet ten osadliwszy pomysł żeby mi na pociesze-

nie przysłać ładną dziewczynę, założyłbym się był, że od niej pochodził i że uczyniła to litując się nad moimi cierpieniami! Umyśliłem całej mojej przebiegłości użyć żeby ją zobaczyć. Roztrząsnąwszy kolejno rozmaite środki, wybrałem następuny: pan de T... od samego początku naszej znajomości zbyt serdeczną okazał gotowość na moje usługi, żebym nie miał bezwarunkowo ufać szczerości jego i przyjacielskiej gorliwości. Umyśliłem pójść do niego natychmiast i nakłonić go, aby pod jakimkolwiek pozorem wywołał G... M... Potrzeba mi było tylko pół godziny czasu dla rozmówienia się z Manon. Powziąłem zamiar dostać się do własnego jej pokoju i sądziłem, że nie trudności to przyjdzie w nieobecności G... M... Uspokojony tem postanowieniem, opłacałem hojnie młodą dziewczynę która czekała, jeszcze, ażeby nie powróciła do tych którzy ją do mnie przysłali, wziąłem od niej adres jej mieszkania, robiąc jej nadzieję że jeszcze przyjdę do niej. Wsiadłem potem do mego fiakra i kazałem się wieść co koń wyskoczy do paua de T.. Zastałem go na moje szczęście. W kilku słowach opowiedziałem mu co mnie spotkało i o jaką usługę prosić go przybywałem. Równie był zaskiwiony tem że G... M... mógł uwieść Manon, jak nieświadomy własnego swojego udziału w tej smutnej przygodzie. W pierwszej chwili oburzenia chciał bez namysłu zgromadzić wszystkich swoich przyjaciół i wstępnym bojem oswobodzić swoją kochankę. Dałem mu do zrozumienia że taki rozgłos mógł stać się zgubnym dla mnie i dla Manon. „Zachowajmy krew naszą na



ostateczność, rzekłem mu. Mam na myśli łagodniej-  
szy środek, po którym nie mniejszego spodziewam  
się powodzenia." Zobowiązał się bezwarunkowo  
uczynić wszystko czego tylko będę żądał od niego,  
a dowiedziawszy się że chodziło tylko o wezwanie  
G... M... i zatrzymanie go przez godzinę lub dwie,  
wyszedł natychmiast wraz ze mną aby mi zadość  
uczynić.

Namyślaliśmy się nad wybiegiem jakiego mógł  
użyć żeby G... M... wywabić z domu i tak długo  
zatrzymać. Poradziłem panu de T... aby napisał do  
niego krótki bilecik, datowany z kawiarni, prosząc  
go aby przyszedł tam do niego dla interesu nie  
cierpiącego zwłoki. „Ja pilnować będę jego wyjścia.  
dodałem, i bez trudności dostanę się do domu, gdzie  
mnie nikt nie zna oprócz Manon i służącego mojego  
Marcela. Ty zaś będąc przez ten czas z G... M...  
możesz mu powiedzieć że tym ważnym interesem  
dla którego go wezwałeś jest potrzeba pieniędzy;  
że przegrawszy tylko co wszystkie swoje pieniądze  
w karty, z równem nieszczęściem grałeś dalej na  
słowo. Upłynie dosyć czasu póki cię zaprowadzi do  
swojej szkatuły, z czego ja skorzystam dla usku-  
tecznienia mego zamiaru.”

Pan de T... uczynił tak słowo w słowo. Zostawi-  
łem go w kawiarni, gdzie naprędce bilecik swój  
napisał. Zająłem stanowisko obserwacyjne o kilka  
kroków od domu Manon; widziałem jak przyszedł  
posłaniec z listem, i jak niedługo potem wyszedł  
z domu G... M... a za nim lokaj. Skoro się tylko  
oddalił, opuściłem moją kryjówkę i przystąpiłem do

drzwi mieszkania mojej niewiernej; pomimo całego  
gniewu mojego, zapukałem z uszanowaniem należnem  
świątyni. Na moje szczęście Marcel przyszedł mi  
otworzyć. Znakiem nakazałem mu milczenie; chociaż  
nie potrzebowałem się obawiać innych służących,  
zapytałem go po cichu czy może mnie zaprowadzić  
do pokoju Manon, tak żeby mnie nikt nie spostrzegł.  
Odpowiedział mi że nie nad to łatwiejszego, trzeba  
tylko wejść ostrożnie na główne wschody. „Spiesz-  
my więc, powiedziałem mu, i dopilnuj żeby tam  
nikt nie wchodził dopóki ja się znajdować będę.  
Bez żadnej przeszkody dostałem się do celu mych  
życzeń

Manon zajęta była czytaniem. Tu miałem sposo-  
bność podziwiać charakter tej osobliwszej dziewczy-  
ny. Zamiast się przestraszyć i zawstydić ujrza-  
wszy mnie, okazała tylko to lekkie zdziwienie któ-  
rego ukryć nie możemy na widok osoby którą są-  
dziliśmy być daleko: „Ach! to ty, kochanie moje,  
wykrzyknęła spiesząc mnie ucałować ze zwykłą so-  
bie czułością. Dobry Boże! jakże śmiałym jesteś!  
ktoby się był ciebie dziś tu spodziewał?” Wyrwa-  
łem się z jej objęć, a zamiast odwzajemnić jej pieś-  
czoty, odrzuciłem ją z pogardą i cofnąłem się od  
niej. To poruszenie zmieszało ją trochę. Stanęła  
w miejscu i spojrzała na mnie mieniąc się na twa-  
rzy. Ja z mej strony byłem tak uszczęśliwiony jej  
widokiem, że pomimo tylu powodów do gniewu, nie  
miałem siły ust otworzyć żeby jej słuszne czynić  
wymówki. A jednak serce moje zakrwawione było  
srogą obrazą jaką mi wyrządziła; przywodziłem ją



obsie na pamięć żeby gniew w sobie rozjątrzyć i usiłowałem wzrok mój rozpalic ogniem sroższym od miłosnego. Gdy milczeć nie przestawałem, Manon widząc moje wzburzenie, drzeć zaczęła, zapewne ze strachu.

Nie mogłem znieść tego widoku.

„Ach! Manon, rzekłem żałośnie, przewrotna i nie-  
wierna Manon! od czegoż zacząć wymówki moje? Widzę cię bladą i drżącą, a tak jeszcze żywo odczuwam najmniejsze twoje cierpienie, że lękam się przykrość ci sprawić mojami wyrzutami. Ale powiadam ci, Manon, że serce moje zranione pociskiem twojej zdrady. Takich ran się nie zadaje kochankowi jeżeli się nie pragnie śmierci jego. To już trzeci raz, Manon; ja dobrze rachuję: nie zapominam się takich rzeczy. Sama teraz osądz jakie chcesz powziąć postanowienie, gdyż serce moje znieść już nie może tak srogiego obejścia. Czuję że słabnie i blizkiem jest pęknięcia. Sił mi już braknie, dodałem padając na krzesło; zaledwie mogę mówić i na nogach się utrzymać.“

Nie mi nie odpowiedziała; lecz gdy usiadłem, osunęła się na kolana, głowę na moich opierając i twarz w dłoniach moich ukryła. Po chwili uczułem że je łzami oblewała. Nieba! jakież mną uczucia miotaly! „Ach! Manon, Manon, rzekłem z westchnieniem, zapóźno teraz łzy wylewać, kiedy mi pierwej śmierć zadałaś. Udajesz smutek którego nie czujesz. Największą dla ciebie przykrością jest zapewne moja obecność, która zawsze stawała na przeszkodzie twoim przyjemnościom. Spójrzj na mnie, zobacz

kto jestem; nie daje się łez nieszczęśliwemu którego się zdradziło i tak niemiłosiernie opuściło.“ Ona całowała moje ręce nie zmieniając postawy. „Zmien-  
na Manon, rzekłem jeszcze, niewdzięczna i wiarołomna dziewczyno, gdzie się podziały obietnice twoje i przysięgi? Niestala i okrutna kochanko, cożes uczyniła z tą miłością, którą mi dziś jeszcze przysięgałaś? Sprawiedliwe nieba!—dodałem, w takiż to sposób urąga wam przewrotna kobieta, wezwawszy pobożnie świadectwa waszego! Wiarołomstwo więc otrzymać ma nagrodę, podczas gdy rozpacz i opuszczenie będą udziałem stałości i wierności?“

Tym wyrazem tak bolesne towarzyszyło wzruszenie, że mimowolnie łez kilka uroniłem. Poznała to Manon po zmianie głosu mego. Przerwała nakoniec milczenie. „Muszę być bardzo występna, rzekła smutnie, kiedy tak wielką sprawić ci mogłam boleść i niepokój, lecz niech mnie Bóg skarże jeżeli chciałam złe zrobić.“ Ta mowa wydała mi się tak niedorzeczną i obłudną, że mimowolnie gniewem wybuchnąłem. „Co za przewrotność! wykrzyknąłem. Przekonywam się teraz że jesteś nikczemną hultajką. Poznaję nakoniec obłudny twój charakter. Żegnaj cię, podła istoto, mówiłem dalej, powstając, stokroć wolę umrzeć aniżeli jakikolwiek odtąd mieć z tobą stosunek. Niechaj mnie samego nieba ukarzą, jeżeli cię kiedykolwiek jednym zaszczyć spoj-  
rzeniem. Pozostań sobie z twoim nowym kochankiem, kochaj go, nienawidź mnie, zdepcz nogami honor i zdrowy rozsądek; ja sobie z tego żartuję, mnie to wszystko już nie obchodzi.“



Tak ją przeraziła moja gwałtowność, że pozostając na klęczkach przy krześle z którego powstałem, patrzyła na mnie drżąc cała i oddychać nie śmiejąc. Postąpiłem jeszcze kilka kroków ku drzwom odwracając głowę i oczu z niej nie spuszczać. Ale byłbym chyba musiał być pozbawionym wszelkich uczuć ludzkości, gdybym się tylu wdziękom oprzeć potrafił. Tak mało posiadałem tej barbarzyńskiej mocy charakteru, że przechodząc nagle z jednej ostateczności w drugą, powróciłem do mojej niewiernej, a raczej rzuciłem się bez pamięci ku niej. Porwałem ją w moje objęcia; obsypałem ją najczulszemi pocałunkami; przeproszałem ją za moje uniesienie; przyznawałem głośno że jestem brutalnym niegodnym aby mnie kochała taka jak ona dziewczyna. Posadziłem ją na krześle i sam przed nią ukląkłszy, zaklinałem ją aby mnie w takiej postawie wysłuchiwała. Wszystko co tylko uległy i namiętne kochanek może najtkliwszego i najpełniejszego szacunku powiedzieć, ja to zawarłem w kilku gorących słowach. Błagałem jej jak o największą łaskę żeby mi przebaczyła. Ona objęła szyję moją swemi ramionami mówiąc że raczej łaski mojej potrzebowała żebym zapomniać chciał o przykrości, jaką mi wyrządziła; bo zaczynała obawiać się bez przyczyny, że nie koniecznie będę zadowolony z tego co może mi na swoje usprawiedliwienie powiedzieć. „Ach, Manon! przerwałem jej z czułością, ja nie żądam twego usprawiedliwienia, pochwalam wszystko co uczyniłaś. Nie do mnie należy słuchać rachunku z twego postępowania. Do-

syć dla mnie szczęścia jeżeli najdroższa moja Manon nie odbierze mi serca swojego! Lecz, mówiłem dalej, nie zastanawiając się nad losem moim, wszechwładna Manon! ty która jesteś samowolną szafarką cierpień moich i radości! teraz gdy ci zadość uczynił przez upokorzenie moje i oznaki szczerzego żalu mojego, czy będzie mi wolno wyrazić ci smutek mój i obawę? Czy dowiem się od ciebie co począć mam z sobą dzisiaj i czy nieubłagalnie wyrok śmierci mojej podpiszesz, przepędzając noc tę przy boku mego rywala?”

Po chwili namysłu odpowiedziała uspokojona: „Mój kawalerze, gdybyś był odrazu tak jasno myśł swoją wyraził, byłbyś oszczędził sobie zmartwienia, a mnie tak przykrej sceny. Ponieważ zazdrość tylko jest powodem twego cierpienia, byłabym zaraz lekarstwo na nie znalazła, ofiarując się pójść z tobą natychmiast, choćby na koniec świata. Ale ja myślałam że się rozgniewałeś za list który pod okiem pana de G... M... do ciebie napisałam i za dziewczynę, którą ci przystaliśmy. Myślałam że list mój uważać mogłeś za szyderstwo, a tę dziewczynę wyobrażając sobie że przychodzi odemnie — jako oświadczenie że wyrzekam się ciebie dla G... M... Ta myśl nagle mnie zasmuciła, bo jakkolwiek czułam się niewinną, wszystko zważywszy, uznałam że pozory przeciwko mnie świadczyły. Jednakże, dodała, chcę abyś był sędzią moim, skoro wysłuchasz szczerze mego wyznania.”

Opowiedziała mi następnie wszystko co jej się przytrafiło po zejściu się z G... M... Który na nią



czekał podług umowy. Przyjął ją w samej rzeczy jak najpierwszą w świecie książniczkę. Prowadził ją po wszystkich pokojach, urządzonych z najwykwintniejszym smakiem. Wyliczył jej zaraz dziesięć tysięcy franków, dodając do tego niektóre klejnoty, pomiędzy innymi naszyjnik i bransolety perłowe, które już raz była od ojca jego otrzymała. Następnie zaprowadził ją do salonu którego jeszcze nie widziała, gdzie zastała przygotowany wykwinny podwieczorek. Służbę pełnili nowo przyjęci dla niej lokaje, którym rozkazał aby jej odtąd słuchali jak pani swojej, nakoniec pokazał jej kareta, konie i resztę podarunków, poczem zaproponował jej partję pikietę przed wieczera. „Wyznaję ci, mówiła dalej, że mnie olśnił ten przepych. Pomyślałam że szkoda by było rzec się na raz takich dostatków, poprzestając na zabranii dziesięciu tysięcy franków i klejnotów; że to był gotowy los dla ciebie i dla mnie i że mogliśmy oboje żyć bardzo przyjemnie kosztem G... M... Zamiast więc namawiać go na komedję, umyśliłam wybać go co do ciebie, aby się dowiedzieć jaką będziemy mieli łatwość widywania się, w razie gdyby się plan mój powiódł. G... M... okazał się bardzo zgodnego usposobienia. Zapytał mnie jakie dla ciebie żywję uczucia i czy mi nie żał było żem się z tobą rozstała. Powiedziałam mu że tak jesteś przyjemnym i tak byłeś zawsze dobrym dla mnie, że nie mogłabym cię nienawidzić. Przyznał mi słuszność pod tym względem, dodając że jemu samemu bardzo się podobałeś. Chciał wiedzieć jak ja sądzę żeś przyjął moje oddalenie, szczególnie

gdy się dowiesz że jestem u niego. Odpowiedziałam mu na to, że ponieważ miłość nasza oddawna już trwała, miała czas nieco ostygnąć, że zresztą nie będąc bogatym, może nie bardzo będziesz się gniewał, że się pozbędziesz ciężaru. Dodałam że będąc przekonaną iż postąpisz rozsądnie, nie tałam przed tobą że chcę pojechać do Paryża dla załatwienia kilku sprawunków, czemu ty się nie sprzeciwiałeś i że sam także przyjechawszy, nie zdawałeś się zaniepokojony gdy cię opuściła. „Gdybym był pewny że zechce dobrze żyć ze mną, powiedział, pierwszy bym mu ofiarował moje usługi.“ „Upewniałam go, że o ile cię znam, nie wątpię że przyjąłbyś je z wdzięcznością, nadewszystko, dodałam, gdyby mógł ci pomagać w interesach, które w bardzo smutnym się znajdowały stanie, odkąd się poróżniłeś ze swoją rodziną. Dał mi słowo że zrobi dla ciebie wszystko co tylko będzie mógł; że nawet gdybyś chciał inne zawiązać miłostki, nastęczyłby ci ładną kochankę, którą sam dla mnie porzucił. Pochwiliłam tę myśl jego dla tem lepszego uprzedzenia wszelkich jego podejrzeń i utwierdzając się coraz silniej w moim zamiarze, pragnęłam tylko znaleźć sposób uwiadomienia cię o nim, w obawie abyś się zanadto nie troszczył gdy nie przyjdę na umówione miejsce. W tym właśnie celu podałam mu myśl żeby ci dziś jeszcze posłać tę nową kochankę, co mi nastęczało sposobność napisania do ciebie. Musiałam użyć tego wybiegu, bo nie mogłam się spodziewać, żeby mi zostawił swobodną chwilę. Uśmieł się z mojego projektu. Przywołał swego lokaja i zapy-



tawszy go, czy nie wie gdzie się znajduje dawna jego kochanka, kazał mu ją zaraz poszukać. Myślał że trzeba było posłać do ciebie do Chaillot, lecz powiedziałam mu że rozstając się z tobą obiecałam ci, że się zejdziemy na komedyi, a w razie gdyby mi co przeszkodziło, zobowiązałeś się czekać na mnie w najętej karecie na rogu ulicy St. André; że zatem lepiej było tam posłać nową twoją kochankę choćby dla tego, żeby ci nie dać całą noc się prze-męczyć. Powiedziałam mu jeszcze że wypadało napisać parę słów do ciebie, aby cię uprzedzić o tej zamianie, której byś inaczej pojąć nie mógł. Nie sprzeciwił się temu, lecz musiałam napisać w jego obecności i nie mogłam zbyt otwarcie się wyrazić. Oto w jaki sposób wszystko się odbyło, dodała Manon. Nie ukrywam przed tobą najmniejszego szczegółu mego postępowania ani moich zamiarów. Owa młoda dziewczyna przyszła i znalazłam ją ładną: a ponieważ nie wątpiłam że nieobecność moja przykrą ci będzie, szczerze pragnęłam, żeby potrafiła rozerwać cię na chwilę, gdyż tylko wierności serca żądam od ciebie. Byłabym chciała przysłać ci Marcela, lecz nie miałam sposobności powiedzieć mu tego o czem donieść ci potrzebowałam." Na zakończenie opowiedziała mi kłopot w jakim się znalazł G... M... odebrawszy bilet od pana de T... „Wahał się czy ma odejść odemnia, наконец zapewnił mnie że wkrótce powróci; dla tego też z trwogą cię tu oglądałam i dla tego zadziwiło mnie przyjęcie twoje."

Cierpliwie wysłuchiwałem tego opowiadania. Znalazłem w niem bez wątpienia nie jeden szczegół przy-

kry dla mnie i upokarzający; gdyż zamiar jej przewierzenia się był tak jasnym, że go nawet osłonić nie próbowała. Nie mogła się spodziewać żeby G... M... uszanował ją przez noc jak westalkę. Z nim więc przepędzić ją miała! Co za wyznanie dla kochanka! Pomyślałem jednak, że po części sam winien jej błędu, przez to że jej powiedziałem o uczuciach jakie powziął dla niej G... M... i przez to, że się zgodziłem na przyjęcie udziału w jej zachwałym pomysle. Zresztą, idąc za popędem wrodzonego mi usposobienia, wzruszony zostałem naiwnością jej opowiadania i tym pocziwym i otwartym sposobem w jaki mówiła o takich nawet szczegółach, które najmocniej były dla mnie obrażające „Ona grzeszy bezwiednie, mówiłem sam do siebie: jest płochą i lekkomyślną, ale szczerą i otwartą. Dodajmy że miłość zaślepiała mnie na wszystkie jej błędy. Byłem dostatecznie uszczęśliwiony nadzieją odebrania jej tego samego wieczoru mojemu rywalowi. Jednakże powiedziałem do niej: „Z kimże więc miałaś noc tę przepędzić?" To pytanie, ze smutkiem jej zadane, dosyć ją zakłopotало. Odpowiedziała mi jękając się, ni to ni owo. Ulitowałem się jej zawstydzeniu i zmieniając przedmiot rozmowy, oświadczyłem jej najspokojniej w świecie, że chcę ją natychmiast zabrać z sobą. „Jak chcesz, odpowiedziała; nie pochwalasz więc mego projektu?" „Czyliż ci nie dosyć że pochwalam wszystko co dotąd zrobiłaś?" rzekłem zniecierpliwiony. „Jako? nie weźmiemy nawet owych dziesięciu tysięcy franków? zawołała; on mi je dał. Są moje." Radziłem jej aby



wszystko zostawić, i jak najspieszniej się oddalić; bo chociaż zaledwie pół godziny dopiero przy niej się znajdowałem, obawiałem się powrotu G... M... Jednakże Manon tak mnie prosiła żebym jej pozwolił nie wyjść z próżnemi rękoma, że musiałem zrobić jej jakieś ustępstwo, tyle już na niej wymogłszy.

Podczas gdyśmy się zabierali do odejścia, usłyszałem stukanie do drzwi wchodowych. Ani wątpiłem że to G... M... i w pomieszczeniu tą myślą wywołanem, powiedziałem Manon że już po nim jeżeli się tu pokaże. W rzeczy samej nie byłem jeszcze tyle ochłoniął ze wzruszenia, żebym spokojnie znieść mógł widok tego człowieka. Marcel wywiódł mnie z kłopotu, przynosząc mi bilet, który we drzwiach dla mnie odebrał. Był od pana de T... Przyjaciel mój pisał mi że podczas nieobecności G... M... który poszedł dla niego po pieniądze, przyszła mu bardzo zabawna myśl, którą spieszyl mi zakumunikować: wydało mu się że nie mogłem przyjemniej zemścić się na moim rywalu jak zjadając jego wieczere i zasypiając tej samej nocy w łóżku, które spodziewał się zajmować wspólnie z moją kochanką; i sądził że nie było w tem nic trudnego, bylebym tylko znalazł kilku ludzi dosyć śmiałych żeby go pochwyć na ulicy i dosyć wiernych żeby go aż do rana przetrzymać; on ze swej strony przyrzekał zabawić go jeszcze najmniej przez godzinę. Pokazałem ten bilecik Manon i powiedziałem jej jakiego użyłem podstępu ażeby się dostać do niej. Pomysł, mój i pana de T... nadwyczajnie jej się podobały. Uśmialiśmy się z nich serdecznie. Ale gdy ja ostatni

z nich uważałem tylko za prosty żart, ona ku wielkiemu zdziwieniu mojemu, zachciała koniecznie w wykonanie go wprowadzić, tak nim zachwyconą została. Na próżno jej zapytywałem skąd miałem znaleźć na razie ludzi zdolnych porwać z ulicy G... M... i wnieie go przytrzymać. Dowodziła mi że należało przynajmniej spróbować, kiedy pan de T... dawał nam jeszcze godzinę czasu; a odpowiadając na inne moje zarzuty, oświadczyła mi że jestem tyranem i nie chce robić dla niej. Projekt ten zachwylił ją. „Zajmiesz jego miejsce przy wieczerzy, powtarzała mi, wypisz się w jego łóżku, a jutro raniuteńko zabierzesz mu jego kochankę razem z jego pieniędzmi. Zemścisz się wybornie na ojcu i na synu.“

Ustałem jej naleganiom, pomimo tajemnych ostrzeżeń serca, które zdawały się przepowiadać mi nieszczęśliwą katastrofę. Wyszedłem z zamiarem poproszenia kilku gwardyaków z którymi Lescaut mnie zaznał, żeby się podjęli pochwyć G... M... Jednego z nich tylko w domu zastałem; lecz był to śmiałek niustraszony, który dowiedziawszy się o co chodziło, zapewnił mnie o powodzeniu ułożonego planu: żądał odemnie tylko dziesięciu pistolów na wynagrodzenie trzech żołnierzy z gwardyi, których potrzebował wziąć do pomocy. Prosiłem go żeby czasu nie tracił. W kwadrans już był gotów. Ja czekałem na niego w jego mieszkaniu, a gdy powrócił ze swymi spółnikami, sam go zaprowadziłem na róg ulicy którą G... M... musiał przechodzić. Zalecełem mu żeby rywalowi mojemu żadnej nie wy-



rządzono krzywdy, tylko żeby go ściśle strzeżono aż do siódmej godziny rano. Gwardyak powiedział mi że go zaprowadzi do swego mieszkania i zmusi żeby się rozebrał i do jego łóżka położył, podczas gdy on i trzej towarzysze jego przy kartach i butelce resztę nocy przepędzą. Pozostałem z nimi aż do chwili kiedy ujrzałem nadchodzącego G...M... wtedy cofnąłem się, aby z ukrycia być świadkiem tak osobliwszej sceny. Mój gwardyak przystąpił do niego z pistoletem w rękę i oświadczył mu bardzo grzecznie, że nie myśli zagrażać jego życiu ani jego kieszeni, tylko w razie gdyby najmniejszy stawiał opór, lub najłżejszy wydał okrzyk, zmuszony będzie głowę mu roztrzaskać. G... M... widząc się otoczonym przez czterech żołdaków i lękając się zapewne pistoletowego uaboju, nie opierał się wcale. Napaśtnicy uprowadzili go z sobą jak baranka. Ja powróciłem do Manon; a dla odjęcia wszelkiego podejrzenia służącym, powiedziałem wchodząc, że nie trzeba czekać z wieczerną na G... M...; że mu wypadł pilny do załatwienia interes i mnie uprosił abym Manon w jego imieniu przeprosił i zjadł z nią wieczerną: co uważałem sobie za wielką łaskę ze strony tak pięknej damy. Ona z niezmierną zręcznością cel mój poparła. Zasiadliśmy do stołu. Zachowaliśmy się z należytą powagą dopóki nam lokaje usługiwali. Odprawiwszy ich nakoniec, przepędziliśmy jeden z najprzyjemniejszych w życiu naszym wieczorów. Poleciałem w tajemnicy Marcelemu żeby zamówił fiakra na szóstą godzinę rano. Około północy pożegnałem na pozór Manon i wyszedłem;

lecz zaraz powróciłem eichnierzem z pomocą Marcelego, aby zająć łóżko G... M... tak jak zająłem miejsce jego przy stole. Tymczasem los zawistny zgubił nam gotował. Poiliśmy się rozkoszą, a miecz zawieszony był nad głowami naszymi. Włos który go utrzymywał bliskim był zerwania. Ale dla zrozumienia wszystkich okoliczności naszego nieszczęścia, potrzeba objaśnić jego przyczyny.

G... M... miał z sobą lokaja w chwili gdy przez gwardyaków został przytrzymanym. Ten chłopiec przerażony przygodą jaką spotkała jego pana, zemknął jak najprędzej i chcąc go ratować pospieszył prosto do starego G... M... dać mu znać o tem co się stało. Ta wiadomość wielce go zaniepokoiła. Tego jednego tylko miał syna i nad wiek swój był jeszcze energicznym. Najpierwej chciał się dowiedzieć od lokaja co robił syn jego przez całe popołudnie; czy się z kim nie pokłócił, czy się nie wdał w jaką burdę, czy nie był w jakim podejrzanym domu? Chłopak wyobrażając sobie pana swego w największem niebezpieczeństwie i przekonany że dla ratowania go nic już nie powinien był zataić, wyjawiał wszystko co wiedział o miłości jego dla Manon i o wydatkach jakie dla niej poczynił, opowiedział jak przepędził z nią całe popołudnie w jej mieszkaniu aż do dziewiętej może godziny, jak potem wyszedł i powracając popadł w nieszczęście. To było dostatecznem do przekonania starca że sprawa syna jego miała za powód współzawodnictwo w miłości. Chociaż było już blisko jedenastej godziny, bez namysłu udał się natychmiast do pana



dyrektora policyi. Poprosił go aby wydał szczegółowe rozkazy wszystkim posterunkom straży i wiaższy dla siebie także pomoc zbrojną, pośpieszył sam na miejsce, gdzie syn jego został przytrzymany: zwiedził wszystkie zakątki miasta gdzie mógł mieć nadzieję go znaleźć; a nigdzie żadnych jego śladów nie napotkawszy, kazał się nakoniec zaprowadzić do domu jego kochanki, spodziewając się że mógł tam powrócić.

Rozbierałem się właśnie gdy przybył. Ponieważ drzwi od pokoju sypialnego były zamknięte, nie usłyszałem jak zapukano do wchodowych; G... M... wszedł w towarzystwie dwóch strażników, a nie dowiedziawszy się nic nowego o swym synu, chciał wiedzieć jego kochankę, sądząc że ona będzie mogła mu co powiedzieć. Idzie więc na górę zawsze ze swym zbrojnym orszakiem. Mieliśmy już kłaść się do łóżka: w tem drzwi się otwierają. Krew zlodowaciała w żyłach naszych na widok jaki się oczom naszym przedstawił. „O Boże! to stary G... M...” szepnąłem do Manon. Rzuciłem się na moją szpadę. Na nieszczęście zaplątana była na temblaku. Strażnicy zobaczywszy moje poruszenie, pośpieszyli mi ją odebrać. Człowiek w koszuli jest bezbronnym. Pozbawiony zostałem wszelkich środków oporu.

G... M... chociaż pomieszany tym niespodzianym widokiem, poznał mnie zaraz. Prędzej jeszcze poznał Manon. „Czy mnie wzrok nie myli? rzekł surowo: wszakże mam przed sobą kawalera des Grieux i pannę Manon Lescaut?” Byłem tak przejęty bólem i wstydem, że nic mu odpowiedzieć nie mogłem

Przez chwilę zdawał się bić z myślami, nakoniec wybuchając gniewem, wykrzyknął zwracając się do mnie: „Ach! nieszczęśny, ty z pewnością zabiłeś mego syna!” Ta obelga żywo mnie dotknęła. „Stary łotrze, wyniośle odpowiedziałem, gdybym chciał kogo z rodziny twojej zabijać, od ciebie byłbym zaczął.” — „Trzymajcie go dobrze! zawołał rozwścieczony starzec do strażników. Musi mi powiedzieć co zrobił z synem moim, powieść go każę jutro jeżeli mi natychmiast tego nie powie.” „Powieść mnie każesz, niegodziwcze?” odparłem. Takich jak ty raczej na szubienicę wyprawiać trzeba. Wiedz, że w żyłach moich płynie krew czysta i szlachetniejsza od twojej. Tak jest, dodałem, wiem co spotkało syna twego, a jeżeli mnie drażnić nie przestaniesz, przed jutrem jeszcze udusić go każę, a po nim i ciebie ten sam los spotka.”

Popeliłem wielką nieroztropność oświadczając mu że wiem gdzie się syn jego znajduje; lecz nadmiar gniewu wyprowadził mnie z granic rozsądku. Przywołał natychmiast resztę strażników którzy za drzwiami na niego czekali i polecił im żeby przytrzymali wszystkich domowników. „To tak, panie kawalerze, powiedział z urąganiem, wiesz gdzie jest syn mój i każesz go udusić, tak mówisz? Może też potrafimy temu zapobiedz.” Zrozumiałem wtenczas błąd jaki popeliłem. Stary przystąpił do Manon która płakała siedząc na łóżku i powiedział jej kilka szyderskich grzeczności o wpływie jej na ojca i na syna i o dobrym użytku jaki z niego robi-



Ja. Ten potwór lubieżności chciał sobie pozwolić z nią pewnych nieprzyzwoitych poufałości.

„Ani się waż jej dotknąć! wykrzyknąłem: żadne świętości nie wyratowałyby cię z rąk moich.“ Wyśzedł zostawiając w pokoju trzech strażników którym przykazał żeby nas naglili do prędkiego ubrania się. Może byłby nas wtenczas puścił wolno gdybyśmy mu byli powiedzieli gdzie jest syn jego. Ubierając się rozważałem czy to nie byłby najlepszy środek wyrwania się z rąk jego. Ale jeżeli stary G... M... gotów był to uczynić wychodząc z naszego pokoju, powróciwszy w odmiennem już był zupełnie usposobieniu. Poszedł wybadywać służących Manon, których strażnicy przytrzymali. Nie mógł się niczego dowiedzieć od tych, którzy zgodzeni byli przez syna jego; lecz gdy mu powiedziano że Marcel dawniej już służył u nas, postanowił gróźbami zmusić go do mówienia.

Był to chłopak wierny, lecz prostoduszny i ograniczony. Wspomnienie tego co zrobił w wyrobnym domu dla wyswobodzenia Manon, łącznie z obawą jaką w nim budził G... M... tak silnie działało na słaby jego umysł, że sobie wyobraził że go powieszają lub kołem łamać będą. Przysiękł wyjawić wszystko co tylko wiedział, byleby mu tylko życie darowano. G... M... widząc jego przerażenie, pomyślał że w naszej sprawie było coś ważniejszego i bardziej zbrodniczego aniżeli sobie dotąd wyobrażał. Nietylko zapewnił Marcelowi zupełne przebaczenie, ale nadto obiecał mu sowing nagrodę za szczere jego wyznania. Nieszczęśliwy odkrył mu

część naszych zamiarów, o których nie strześliśmy się przy nim rozmawiać, ponieważ miał w spełnieniu ich brać udział. Wprawdzie nie wiedział jakie ułożyliśmy projekta w Paryżu; tylko wyjeżdżając z Chaillołt uwiedziony został o planie przedsięwzięcia i roli jaką sam w tej sprawie miał odegrać. Oświadczył mu więc że ułożyliśmy sobie syna jego wystrychnąć na dudka, że Manon miała dostać, albo już dostała od niego dziesięć tysięcy franków, które według naszego projektu na zawsze stracone mi być miały dla spadkobierców domu G... M...

Po tem odkryciu, starzec do najwyższego stopnia oburzony, pospieszył natychmiast do naszego pokoju. Nic nie mówiąc wszedł do budoaru, gdzie z łatwością znalazł pieniądze i klejnoty. Powrócił do nas z rozplamioną twarzą i pokazując nam to co mu się podobało nazwał naszą kradzieżą, obśypał nas obelżywemi wymówkami. Podsunął pod oczy Manon naszyjnik perłowy i bransolety: „Czy to poznajesz? zapytał jej z szyderskim uśmiechem. Nie pierwszy raz to widziałas. Te same, słowo honoru te same. Podobały ci się, moja piękna, nie wątpię o tem. Biedne dzieci! dodał z udanem politowaniem. Ładni są oboje, nie przeczę temu, ale po trochu oszusty.“ Serce mi pękało z wściekłości na te obelżywe żarciki. Aby na chwilę wolnym zostać byłbym oddał... Sprawiedliwe Nieba! czegożbym nie był oddał? Wreszcie gwałt sobie zadałem żeby mu powiedzieć z umiarkowaniem, które było tylko zamaskowaniem bezsilnej złości: „Mój panie, skończmy raz te zuchwałe szyderstwa. O co chodzi? mów



pan, co pan z nami chcesz zrobić?"—, „O to chodzi, panie kawalerze, że pójdziesz pan prosto ztąd do Châtelet. Jutro rano przy świetle dziennem jaśniejsię rozpatrzymy w naszej sprawie i spodziewam się że będziesz łaskaw powiedzieć mi na koniec gdzie jest syn mój.“

Pojałem bez trudności że to było rzeczą niezmiernie dla nas ważną dostać się raz do Châtelet. Z trwogą przewidywałem straszne tego następstwa. Pomimo całej mojej dumy uznałem że wypadało uleść konieczności i pochlebić najsroższemu nieprzyjacielowi mojemu, aby cośkolwiek na nim wymóżyć. Przemówiłem do niego uprzejmie prosząc go aby wysłuchał tego co mu chcę powiedzieć. „Oddaję sobie sprawiedliwość, panie de G... M... rzekłem. Przyznaję, że młodość moja popchnęła mnie do wielkich błędów i że pan słuszną możesz mieć urazę. Ale gdybyś pan znał potęgę miłości; gdybyś mógł osądzić co cierpi nieszczęśliwy młody człowiek gdy mu odbiorą przedmiot jego najgorętszych uczuć, możebyś pan mi przebaczył że sobie pozwoliłem małej zemsty, a przynajmniej będziesz mnie pan uważał za dostatecznie ukaranego upokorzeniem jakie mnie spotkało. Nie potrzebujesz pan zmuszać mnie więzieniem ani mękami do wyjawienia panu gdzie jest syn pański. Nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo. Nie było moim zamiarem skrzywdzić go ani mu ubliżyć. Gotów jestem wymienić panu miejsce gdzie najspokojniej w świecie noc przepędza, jeżeli pan raczysz nam wolność powrócić.“ Stary tygrys, zamiast się wzruszyć moją

prośbą z szyderskim śmiechem odwrócił się ode mnie. Powiedział tylko parę słów, żeby mi dać do zrozumienia, że na wyłot zna zamiary nasze. Dodał grubiańsko, że o syna swego jest spokojny, bo kiedy go nie zamordowałem, to się znajdzie prędzej czy później. „Zaprowadźcie ich do małego Châtelet“, powiedział do strażników— a pilnujcie, żeby wam się kawaler nie wymknął. To filut, który już raz uciekł od Świętego Łazarza“.

Wyszedł i pozostawił mnie w stanie trudnym do opisanja. „Miłosierny Boże!“ wykrzyknąłem, „z uległością przyjmę wszystkie ciosy z ręki Twej pochodzące; lecz żeby jeden nikczemny łotr miał moc tak samowolnie mną rozporządzać, to mnie do ostatniej doprowadza rozpacz“. Strażnicy prosili nas, żebyśmy się pośpieszyli. Karetą czekała na dole. Podałem rękę Manon aby ją sprowadzić. „Pójdź, ukochana królowo moja“, rzekłem do niej, „musimy uleść całej srogości losu naszego. Może też podoba się Niebu szczęśliwszymi nas kiedyś uczynić“.

Wsadzono nas do jednego powozu. Manon rzuciła się w moje objęcia. Od chwili przybycia G... M... nie wymówiła ani jednego słowa; ale znalazłszy się sama ze mną, powiedziała mi tysiąc czułości, wyrzucając że się stała powodem mego nieszczęścia. Upewniłem ją że nie będę nigdy na los mój narzekał, dopóki ona kochać mnie nie przestanie. „Nie nade mną ubolewać należy“, mówiłem dalej. Kilka miesięcy więzienia wcale mnie nie przeraża, a w każdym razie przekładam Châtelet nad Świętego Łazarza. O ciebie tylko truchleje duszo moja jedyna. Co za



los dla tak czarującej istoty! O Nieba! dla czegoż z taką srogością karcicie najdoskonalszy ze wszystkich tworów waszych? Dla czegoż nie urodziliśmy się oboje z usposobieniem do nędzy naszej zastoso-  
wanym? Natura obdarzyła nas umysłem wyższym, smakiem wykwintnym, uczuciami delikatnymi. Nie-  
stety! jakże mało z przywilejów tych korzystamy! podczas gdy tyle dusz niskich i do położenia na-  
szego odpowiednich, używa wszystkich darów losu!"  
Te uwagi przejmowały mnie boleścią. Ale to wszyst-  
ko niczem jeszcze było w porównaniu z obawą przy-  
szłości, bo umierałem z trwogi o Manon. Była już  
raz w wyrobnym domu; a choćby była nawet pro-  
stą drogą z niego wyszła, wiedziałem że recydywy  
tego rodzaju nadzwyczaj niebezpieczne za sobą skut-  
ki pociągały. Byłbym chciał wyrazić jej moje oba-  
wy, a lękałem się zanadto ją przerazić. Truchlałem  
o nią, nie śmiejąc ostrzedz o grożącym jej nie-  
bezpieczeństwie i całowałem ją wdychając, aby ją  
upewnić choć o mojej miłości, która była jedynem  
prawie uczuciem jakie objawić się ośmielałem. „Ma-  
non", mówiłem do niej, „powiedz szczerze, czy zaw-  
sze kochać mnie będziesz?" Odpowiedziała mi że jej  
bardzo przykro, iż mogę wątpić o tem, „A więc nie  
będę już wątpił!", odrzekłem „i tę pewność posia-  
dając, wszystkim wrogom naszym czoło stawić po-  
trafię. Użyję wpływu rodziny mojej, żeby się wydo-  
stać z Châtelet, i niech wszystka krew moja przepad-  
nie, jeżeli zostawisz wolnym, ciebie natychmiast nie  
oswobodzę".

Przybyliśmy nakoniec do więzienia. Umieszczono  
nas każde oddzielnie. Ten cios mniej boleśnie mnie  
dotknął; gdyż byłem nań przygotowany. Polecilem  
Manon względem odźwiernego, uwiadamiając go że  
byłem człowiekiem pewnego znaczenia i przyrzeka-  
jąc mu sowitą nagrodę. Uściskałem najdroższą moją  
kochankę i zaklinałem ją, aby się nie martwiła zby-  
tecznie i nie obawiała niczego dopóki ja żyję na  
świecie. Miałem przy sobie trochę pieniędzy. Część  
ich oddałem jej, a z reszty zapłaciłem odźwierzemu  
grubą pensję na miesiąc naprzód, za nią i za mnie.

Hojność moja na dobre mi wyszła. Umieszczono  
mnie w czysto urządzonym pokoju, i upewnio-  
no że Manon podobny dostała. Zająłem się bez-  
zwłocznie środkami przyspieszenia mego uwolnienia.  
Wiedziałem że w sprawie mojej nie było żadnej  
zbrodni; bo przypuściwszy nawet żeby zamiar kra-  
dzieży dowiedzionym nam został zeznaniem Marce-  
la, nie tajno mi było, że prawo nie karze prostej  
chęci, bez spełnienia uczynku. Postanowiłem napi-  
sać zaraz do ojca mego z prośbą, aby sam do Pa-  
ryża przyjechał. Powiedziałem już że mniej się wsty-  
dziłem siedzieć w Châtelet aniżeli u Św. Łazarza  
Zresztą, chociaż zachowywałem całe poszanowanie  
należne władzy rodzicielskiej, wiek i doświadczenie  
uczyniły mnie o wiele śmielszym. Napisałem więc,  
i nie robiono w Châtelet żadnych trudności z ode-  
śłaniem mojego listu. Lecz mógłbym był oszczędzić  
sobie tego trudu, gdybym był wiedział, że ojciec mój  
i bez tego nazajutrz miał przybyć do Paryża.



Odebrawszy list mój przed tygodniem pisany, ucieszył się bardzo; lecz pomimo przyrzeczeń moich, nie zupełnie jeszcze dowierzał mojej poprawie, i umyślił udać się samemu do Paryża, aby naocznie się przekonać o mem nawróceniu i postępowanie swoje zastosować do szczerości mego żalu. Przyjechał na-  
zajutrz po mojem uwięzieniu. Poszedł prosto do Tiberge'a, za którego pośrednictwem miałem odpowiedzieć od niego otrzymać. Nie mógł się od niego dowiedzieć ani o miejscu zamieszkania mego ani o ostatniej przygodzie mojej. Tiberge opowiedział mu tylko główne szczegóły tego co mi się przytrafiło od czasu ucieczki mojej od Św. Sulpicyusza. Mówił mu bardzo pochlebnie o usposobieniu, jakie okazywałem podczas ostatniego naszego widzenia. Dodał iż jak mu się zdaje, zupełnie już musiałem zerwać z Manon, dziwiło go tylko że od tygodnia żadnej mu o sobie nie dałem wiadomości. Ojciec mój był przenikliwszym. Domyślał się że milczenie które dziwiło Tiberge'a, miało jakiś niezrozumiały dla niego powód, i tak usilnych dołożył starań dla wykrycia śladów moich, że we dwa dni po swem przybyciu do Paryża, wiedział już że się znajdowa-  
łem w Châtelet.

Nie spodziewałem się jeszcze tak rychło jego odwiedzin, gdy odebrałem wizytę pana dyrektora policyi, czyli mówiące po prostu, poddany zostałem badaniu. Pan dyktór zrobił mi kilka wyrzutów, lecz w sposób grzeczny i umiarkowany. Powiedział mi łagodnie że ubolewa nad złem postępowaniem mojem; że nierozsądkiem było z mej strony narazić so-

bie tak możnego człowieka, jak pan de G... M... że wprawdzie więcej lekkomyślnością i swawolą aniżeli złością zgrzeszyłem, że jednak po raz drugi już pod sąd jego się dostaję, chociaż spodziewał się że będę rozsądniejszym po kilkomiesięcznych rekolekcyach u Św. Łazarza. Szczęśliwy, że miałem do czynienia z tak rozumnym sędzią, rozmówiłem się z nim w sposób tak pełen szacunku i umiarkowania, że zdawał się zupełnie z moich odpowiedzi zadowolonym. Powiedział mi że nie powinienem martwić się zbyt, że gotów był zrobić dla mnie wszystko co tylko będzie mógł, przez wzgląd na moją młodość i moje urodzenie. Ośmieliłem się polecić łasce jego Manon, wychwalając słodycz jej i dobry charakter. Odpowiedział mi ze śmiechem, że jeszcze jej nie widział, ale mu ją odmalowano jako bardzo niebezpieczną osobę. Te słowa tak podnieciły uczucia moje, że wypowiedziałem mu tysiące namiętnych rzeczy na obronę biednej mojej kochanki, nie mogłem się nawet powstrzymać od uronienia łez kilku. Kazał mnie odprowadzić do mego pokoju. „O miłości! miłości!” zawołał poważny ten sędzia gdy już odchodził, „czy ty się nigdy nie pogodzisz ze zdrowym rozumem?”

Zajęty byłem smutnem rozmyśleniem nad położeniem mojem i nad rozmową moją z panem dyrektorem policyi, gdy ujrzałem otwierające się drzwi mego pokoju,—był to mój ojciec. Chociaż powinienem był być przez pół przygotowanym na to spotkanie, ponieważ za kilka dni spodziewałem go się mogłem, niemniej tak silnie przejęty zostałem, że byłbym się



schował pod ziemię, gdyby się była w tej chwili rozstąpiła pod stopami mojemu. Pobiegłem ucałować ojca mego z oznakami nadzwyczajnego zakłopotania. Usiadł, lecz żaden z nas ust nie otworzył.

Gdy tak stałem przed nim ze spuszczonej oczyma i odkrytą głową: „Usiądź pan”, rzekł surowo, „usiądź! Dzięki jawnemu zgorszeniu twój nierządek i twoich szalbierstw, odkryłem miejsce twego pobytu. Jest to korzystać takiej jak twoja zasługa, że nie może pozostać w ukryciu. Nieomylną zaiste drogą dążysz do sławy. Można być pewnym że ostatecznym jej szczytem będzie wkrótce plac Grève, i że osiągniesz ten zaszczyt że cię tłumy podziwiać tam będą”.

Nic na to nie odpowiedziałem. On mówił dalej: „Jakże nieszczęśliwym jest ojciec, kiedy ukochawszy całym sercem syna, i nieszczęśliwszy niczego aby zeń uczciwego zrobić człowieka, znajduje w nim nakoniec rozpustnika, który mu hańbę tylko przynosi? Można się pocieszyć po majątkowej klęsce, czas ją łagodzi i żal umniejsza; lecz jakież znaleźć lekarstwo na zło, które się z każdym dniem potęguje, jak nierząd złym nałogom oddanego syna, który zatracił w sobie wszelkie poczucie honoru! Nic nie mówisz, nieszczęsny”, dodał „ktoby widział tę udaną skromność i obłudną pokorę, wzięłyby go za najzaniejszego w świecie młodzieńca”.

Chociaż zmuszony byłem przyznać że po części zasługiwałem na te obelgi, zdawało mi się jednak że przekraczały granicę. Sądziłem że mogę sobie pozwolić otwarcie myśl moją wyrazić. „Upewniam

pana”, rzekłem, „iż pokora moja bynajmniej udaną nie jest: takim być przystoi dobrze urodzonemu synowi, który szanuje ojca swojego, nadewszystko też kiedy widzi tego ojca rozgniewanym. Nie myślę też wcale utrzymywać że jestem najporządniejszym w świecie młodzieńcem. Uznaję że zasłużyłem na pańskie wyrzuty, ale zaklinam pana abyś je z większą nieco względnością czynił, i nie traktował mnie jak najpodlejszego z ludzi. Nie zasługuję na tak srogie obejście. Miłość stała się powodem wszystkich błędów moich. Zgubna to namiętność! niestety! nie znaszże pan jej potęgi i możeż to być aby krew pańska, źródłem mojej będąca, nigdy podobnym nie zapłonęła ogniem? Miłość uczyniła mnie zbyt tkliwym, zbyt namiętnym, zbyt wiernym, i może zbyt uległym życzeniom zachwycającej kochanki; oto wszystkie zbrodnie moje. Jestże w tem co hańbiącego? Błagam cię, ojcze mój”, czulej dodałem, „miej trochę litości dla syna, który zawsze pełnym był uszanowania i miłości dla ciebie, który się nie wyrzekł, jak to przypuszczasz, honoru i obowiązku, i który tysiąc razy więcej na politowanie zasługuje, aniżeli wyobrazić to sobie możesz”. Domawiając tych słów też kilka uroniłem. Serce ojcowskie jest arcydziełem stworzenia; natura z upodobaniem poniekąd w niem panuje i sama wszystkimi sprzętami jego kieruje. Ojciec mój będąc przytem człowiekiem rozumnym i światowym, tak wzruszonym został obrotem jaki nadałem mojemu tłumaczeniu, że nie potrafił ukryć przedemną tego uczucia. „Chodź do mnie, mój biedny kawalerze”, powiedział, „chodź mnie uści-



„kac; żal mi ciebie”. Ucałowałem ręce jego. Uściśnął mnie w sposób, który mi dał miarę tego co się w sercu jego działo. „Ale cóż pocniemy aby cię ztąd wy-dostać?” dodał. „Wyznaj mi wszystko, niczego nie ukrywając”. Ponieważ zresztą we wszystkich spraw-kach moich nie było nic takiego, coby mnie bezwa-runkowo szańbić mogło, przynajmniej porównując je z postępowaniem młodzieży pewnego świata, a utrzy-mywanie kochanki nikomu w naszych czasach ujmy nie przynosi, tak samo jak trochę zřeczności wprze-chyleniu szali na swoją stronę przy kartach, opowie-działem szczerze ojcu mojemu wszystkie szczegóły mojego sposobu życia. Przy każdym błędzie do ja-kiego się przyznawałem, nie omieszkowałem dołą-czać znane przykłady, dla zmniejszenia jego donio-łości. „Żyję z kochanką”, mówiłem, „nie będąc z nią połączonym węzłami małżeństwa: Ksiąę de ... utrzy-muje ich dwie w oczach całego Paryża. Pan de ... od dziesięciu lat kocha swoją z wiernością jakiej nigdy nie zachowywał żonie. Dwie trzecie najuczciw-szych ludzi we Francyi ma sobie za chlubę utrzy-mywać ładne dziewczęta. Pozwoliłem sobie czasem oszukiwać w karty: pan margrabia de ... i hrabia de ... nie mają innych dochodów; ksiąę de ... i hrabia de ... są naczelnikami bandy rycerzy tego samego zakonu. Co się tycze zamiarów moich na kieszeń obu-dwóch panów G... M..., z równą może łatwością był-bym mógł dowieść, że mi nie zbywało na wzorach; lecz zbyt wiele mi jeszcze pozostawało uczucia ho-noru, żeby samego siebie nie potępiać wraz z tymi wszystkimi, którychbym mógł być stawić za przy-

kład: prosiłem więc tylko ojca mego by przebaczył tę słabość dwom gwałtownym namiętnościom, które mną powodowały: zemście i miłości. Zapytał mnie czy mogłem mu dać jakie wskazówki co do najkrót-szego sposobu odzyskania mojej wolności bez gor-szącego rozgłosu. Powiedziałem mu o życzliwym dla mnie usposobieniu dyrektora policyi. „Jeżeli się znaj-dą jakie trudności”, dodałem, „to pochodzić mogą tylko ze strony panów de G..., M...; dla tego też są-dzę że najlepiej byłoby gdybyś ojcze sam się raczył do nich potrudzić”. Przrzekł mi to uczynić. Nie śmiałem go prosić, aby się wstawił za Manon. Nie był to z mej strony brak odwagi, ale się obawiałem żeby oburzony tą prośbą ojciec mój, nie powziął ja-kiego zgubnego dla mnie i dla niej zamiaru. Dziś jeszcze nie jestem pewny czy ta obawa nie stała się powodem największych moich nieszczęść, wstrzy-mując mnie od sprobowania, czyby mi się nie udało natchnąć go względniejszem usposobieniem dla mo-jej nieszczęśliwej kochanki. Byłbym może zdołał raz jeszcze litość jego obudzić. Byłbym uprzednio osłabił wpływ wrażenia, jakim zbyt łatwo natchnąć go miał stary G... M... Kto wie! los przeciwny był-by może przeważył wszystkie moje usiłowania, lecz byłbym przynajmniej temu losowi tylko i srogości nieprzyjaciół moich przypisywał winę nieszczęścia mojego.

Prosto odemnie ojciec mój udał się do pana de G... M... Zastał go razem z synem, którego gwardyak z ca-łą uprzejmością na wolność wypuścił. Nie dowiedzia-łem się nigdy szczegółów rozmowy tych panów, lecz



nie trudno mi było po skutkach domysleć się jej treści. Obadwaj ojcowie poszli razem do pana dyrektora policyi, którego o dwie łaski poprosili: jedną, żeby mnie natychmiast uwolnić kazał, drugą, żeby Manon na resztę życia jej zamknął w wyrobnym domu, lub ją wyprawił do Ameryki. W owym czasie zaczęto już wysyłać nad Mississipi włóczęgów i nierządne dziewczęta. Pan dyrektor policyi dał słowo że Manon pierwszym okrętem odpłynie. Pan de G... M... razem z ojcem moim przyniósł mi wiadomość o mem uwolnieniu, a powinszowawszy mi szczęścia że takiego mam ojca, radził mi abym nadal korzystał z jego nauk i przykładów. Ojciec kazał mi przeprosić go za mniemaną obelgę jaką wyraziłem rodzinie jego, i podziękować mu za to że się przyczynił do uwolnienia mego. Wyszliśmy wszyscy trzej razem, nie wspomniawszy wcale o mojej kochance. Nie śmiałem nawet w ich obecności zapytać o nią dozorców. Niestety! wszystko cobym był mógł powiedzieć, na nieby się nie było zdało. Okrutny rozkaz przyszedł jednocześnie z poleceniem uwolnienia mnie. Nieszczęsna dziewczyna w godzinę później zaprowadzoną została do wyrobnego domu gdzie ją przyłączono do kilku nędznic na podobny los skazanych. Ponieważ ojciec mój wziął mnie z sobą do swego mieszkania, było już blisko szóstej godziny, kiedy znalazłem sposobność wymknąć mu się na chwilę aby powrócić do Châtelet. Chciałem tylko przesłać mojej Manon nieco łaskoci i polecić ją względem odźwiernego; nie spodziewałem się bowiem aby mi widzieć ją pozwolono. Nie miałem też dotąd cza-

su zastanowić się nad sposobami jej wyzwolenia. Zażądałem widzieć odźwiernego. Ten człowiek zadowolony z mej hojności i z mego łagodnego obejścia, gotów był na moje usługi, i mówił do mnie o losie Manon jako o uieszczeniu nad którym bardzo ubolewał, wiedząc jakim to dla mnie będzie zmartwieciem. Nie rozumiałem co chciał powiedzieć. Rozmawialiśmy przez chwilę, wzajemnie się nie rozumiejąc. Widząc nakoniec że potrzebuję objaśnienia, dał mi takie że powtórzyć zgroza. Nigdy piorunująca apopleksya gwałtowniejszego i szybszego nie wywoła skutku. Padłem dotknięty tak strasznym bólem serca, że tracąc przytomność myślałem że się już na zawsze z życiem rozstaję. Przychodząc nawet do siebie nie zupełnie się tej myśli pozbyłem. Oglądałem się po całym pokoju i dotykałem członków własnych, aby się przekonać czy rzeczywiście jeszcze do żyjących na ziemi istot należę. To pewna że idąc za wrodzonym popędem, który dąży do wyzwolenia się od cierpień, nie nie mogło mi być przyjemniejszem od śmierci, w tej chwili zwątpienia i rozpacz. Sama nawet religia nie mogła mi dać wyobrażenia okropniejszego pośmiertnego stanu od strasznych zgrzyot które mną miotaly. Jednakże, za sprawą cudu przez miłość zdziałanego, wkrótce odzyskałem tyle sił, że mogłem złożyć dzięki Niebu za to że mię powróciło do rozumu i przytomności. Śmierć moja dla mnie samego tylko byłaby korzystną. Manon potrzebowała życia mego żeby zostać oswobodzoną i pomszczoną. Poprzysiągłem bez względu na nikogo poświęcić się temu zadaniu.



Odźwierny dał mi wszelką pomoc jakiej tylko spodziewałem się mógł od najwierniejszego przyjaciela. Z najżywszą wdzięcznością przyjąłem usługi jego. „Niestety!” rzekłem do niego, jesteś więc wzruszony nieszczęściem mojem! Wszyscy mnie opuścili! Własny mój ojciec jest zapewne jednym z najsroższych prześladowców moich. Nikt się nademną nie lituje. Ty jeden tylko, w siedlisku barbarzyństwa i niedoli, okazujesz współczucie dla najniešťęśliwszego z ludzi!” On radził mi żebym nie wychodził na ulicę, dopóki cokolwiek nie ochłone z pomieszania mego. „Nie troszcz się”, odpowiedział mu odchodząc, powrócę tu prędzej niżeli przypuszczać możesz. Przygotuj dla mnie zawczasu najmniejszy z lochów twoich: wkrótce na niego zarobię”. W istocie, pierwsze moje postanowienia obudwóch G... M... i dyrektora policyi i do napadnięcia następnie zbrojną ręką na dom wyrobny ze wszystkimi, którychby mi się zwerbować udało do tej szalonej wyprawy. Sam ojciec mój zaledwie oszczędzonym być miał w spełnieniu dzieła zemsty, która mi się tak usprawiedliwioną wydawała: gdyż odźwierny nie tał przedemną że on i obadwaj G... M... byli sprawcami zguby mojej. Lecz skoro świeże powietrze ochłodziło nieco krew moją i wzburzone humory, bezrozumna wściekłość ustąpiła miejsca rozsądniejszemu uczuciu. Śmierć naszych nieprzyjaciół nie na wieleby się przydała Manon, a mnie byłaby niewątpliwie pozbawiła wszelkich środków jej ratowania. Zresztą, miałemże się ucie-

kać do podłego morderstwa? A jakąż inną drogę utworzyć mogłem zemście mojej? Zebrałem wszystkie siły i wytężyłem całą potęgę umysłu na wynalezienie sposobu oswobodzenia Manon, resztę odkładając na później, gdy już najważniejsze zadanie szczęśliwie dopełnionem zostanie. Mało mi pozostało pieniędzy. Była to jednak rzecz niezbędna, bez której nie rozpoczynać nie było można. Trzy były tylko osoby od których mogłem się spodziewać tego rodzaju pomocy: pan de T..., ojciec mój i Tibergo. Mało widziałem prawdopodobieństwa otrzymania czegokolwiek od dwóch pierwszych, a wstydziłem się naprzykrzać ostatniemu. Ale w położeniu rozpaczliwym nie zważa się na takie uboczne względy. Pobieglem prosto do seminaryum Św. Sulpicyusza, nie bacząc na to, że mogłem zostać poznany. Kazałem wywołać Tiberge'a. Pierwsze słowa jego dały mi poznać że nie jeszcze nie wiedział o moich ostatnich przygodach. To widząc zmieniłem pierwotny zamiar wzruszenia go litością. Powiedziałem mu w ogólnych wyrazach o przyjemności jaką mi sprawiło widzenie ojca, następnie poprosiłem go aby mi pożyczył pieniędzy na zapłacenie przed odjazdem z Paryża pewnych długów, których tajemnicę, zachować pragnąłem. Bez namysłu podał mi swój woreczek. Było w nim sześćset franków, z których wziąłem pięćset. Chciałem mu dać kwit; nie przyjął go.

Ztamtąd poszedłem do pana de T... Z nim nie potrzebowałem żadnych zachowywać względów. Przedstawiłem mu otwarcie nieszczęścia moje i kłopoty



znał już wszystkie ich szczegóły, śledząc bieg przygody młodego G... M... Wystuchał mnie wszakże, i mocno ubolewał nademną. Skoro go zapytałem o radę co do sposobów, jakich użyć wypadało dla oswobodzenia Manon, odpowiedział mi ze smutkiem, że chyba cud jakiś nadzwyczajny mógł jej wolność powrócić; inaczej wyrzec się trzeba było wszelkiej nadziei; że umyślnie wstępował do wyrobnego domu odkąd się tam znajdowała, że niewpuszczono go nawet do niej, tak surowe były rozkazy odebrane od pana dyrektora policyi; nakoniec że na domiar złego, nieszczęsna banda do której składu włączono ukochaną moją, za dwa dni już wyruszyć w drogę miała. Tak mnie zmartwiły te wiadomości, że nie miałem siły słowa jednego przemówić. Pan de T... powiedział mi jeszcze, że dla tego nie poszedł mnie odwiedzić w Châtelet, żeby mieć większą łatwość usłużenia mi, gdy nie będzie za mojego znajomego uchodził; że odkąd ztamtąd wyszedłem nie wiedział gdzie się obracałem, a pragnął widzieć mnie jak najprędzej, aby mi dać jedyną radę która według jego zdania przydać mi się mogła dla ratowania Manon: lecz radę niebezpieczną, i prosił mnie abym nikomu nigdy nie powiedział, że od niego pochodzi: to jest żebym sobie dobrał kilku suchów, którzyby mieli odwagę napaść na stróżów Manon, skoro wyjdą wraz z nią z Paryża. Nie czekał, żebym mu powiedział o moim niedostatku. „Oto masz sto pistoliów”, rzekł podając mi woreczek, „które przydać ci się mogą. Oddasz mi je gdy los interesa twoje poprawi”. Dodał jeszcze, że gdyby nie wzgląd na opinię świata, zarazby mi ofiarował pomoc dłoni swej i szpady.

Ta nadzwyczajna szlachetność do łez mnie wzruszyła. Wyraziłem mu wdzięczność moją z całą żywością na jaką strapione serce moje zdobyć się mogło. Pytałem go czy nie można było niczego się spodziewać drogą wstawiennictwa do dyrektora policyi. Powiedział mi że sam już myślał o tem, ale że środek ten wydawał mu się niemożliwym, ponieważ tego rodzaju łaski nie wypadało prosić bez powodu, a nie widział na jakiby się powód powołać dla zjednania sobie protekcyi możnej i wpływowej osoby; że gdyby można było z tej strony jakąkolwiek robić sobie nadzieję, to chyba tylko wpływając na zmianę usposobienia pana de G... M... i ojca mojego, i skłaniając ich żeby sami prosili pana dyrektora policyi o złagodzenie wyroku. Przrzekł mi że sam wszelkich dołoży starań, żeby pozyskać młodego G... M..., chociaż mu się zdawało, jakoby tenże ochłodził nieco dla niego, powziąwszy pewne podejrzenia co do udziału jego w naszej sprawie; zachęcał mnie przeto, abym z mej strony niczego nie zaniedbał dla prześlągania ojca.

Nie łatwe to było dla mnie zadanie: nie tylko z powodu trudności w zwalczeniu jego uprzedzeń, ale dla innej jeszcze przyczyny, która mi kazała drżeć przed nim; wyszedłem z mieszkania wbrew jego rozkazom i postanowiłem był nie wracać doń wcale, odkąd się dowiedziałem o smutnym losie Manon. Obawiałem się nie bez słuszności, żeby mnie przemocą nie przytrzymał, a nawet żeby mnie wbrew woli mojej nie zabrał wraz z sobą na prowincyę. Starszy brat mój użył był już raz podobnego sposo-



bu. Prawda że byłem teraz starszy, ale cóż mógł  
 wiek przeciwko sile poradzić? Znalazłem jednak śro-  
 dek, który mnie wybawiał od niebezpieczeństwa;  
 umyśliłem kazać wezwać ojca mego do jakiego  
 miejsca publicznego, i oznajmić mu się pod obcym  
 nazwiskiem. Pan de T... udał się do G... M..., a ja  
 do ogrodu Luksemburskiego, z kądem posłałem dać znać  
 mojemu ojcu, że ktoś znajomy czeka na niego. Nie  
 byłem pewny czy przyjdzie, bo wieczór się zbliżał.  
 Wkrótce jednak nadszedł, a za nim lokaj. Odpro-  
 wadziłem go w boczną ulicę, gdzie mogliśmy być  
 sami. Uszliśmy najmniej sto kroków nie mówiąc ani  
 słowa do siebie. Domyślał się zapewne że tyle przy-  
 gotowań nie bez ważnego się robiło celu. Oczekiwał  
 mojej przemowy, a ja nad nią się namyślałem.

Nakoniec drżąc cały usta otworzyłem: „Panie”,  
 rzekłem z najgłębszą pokorą, „jesteś dobrym ojcem.  
 Obsypałeś mnie łaskami swymi i przebaczyłeś mi  
 niezliczoną moc błędów. To też biorę Niebo za  
 świadka że żywię dla ciebie wszystkie uczucia naj-  
 tkliwszego i najuległego syna. Zdaje mi się je-  
 dnak... że snrowość pańska...” — „Więc cóż, ta su-  
 rowość moja?” przerwał mój ojciec, uważając zapewne  
 że nadużywałem cierpliwości jego. — „Ach panie!”  
 odrzekłem, „zdaje mi się że surowość pańska zbyt  
 wielką jest w postępowaniu twojem z nieszczęśliwą  
 Manon. Pan polegasz bezwarunkowo na zdaniu G... M...,  
 którego nienawiść przedstawiła ci ją w najczarniej-  
 szych barwach. Utworzyłeś pan sobie najokropniej-  
 sze o niej wyobrażenie. Tymczasem jest to najmil-  
 sza i najśłodszą w świecie istota. Czemuż cię Niebo

nie natchnęło chęcią zobaczenia jej choćby na jedną  
 chwilę? Nie mniej przekonany jestem o tem, że jest  
 zachwycającą, jak o tem że takaby się panu była  
 wydała. Byłbyś się pan ujął za nią. Byłbyś pogar-  
 dził czarnymi intrygami G... M... Byłbyś się ulitował  
 nad nią i nademną. Niestety! wszak serce pańskie  
 nie jest z kamienia: pewny jestem że wzruszyłyby  
 się dało”. Przerwał mi powtórnie, widząc że prze-  
 mawiałem z zapalem, któryby mi nie pozwolił skoń-  
 czyć tak prędko. Chciał wiedzieć do czego zmierza-  
 ła moja tak namiętna przemowa. „Do ubłagania cie-  
 bie o życie moje, panie i ojeze mój, o życie które-  
 go zachować nie mogę jeżeli Manon odpłynie do  
 Ameryki”. — „Nie, nie”, odparł surowo; „wolę cię wi-  
 dzieć na marach, aniżeli pozbawionym honoru i ro-  
 zumu”. — „Skończmy więc od razu”, wykrzyknąłem  
 chwytając go za rękę; odbierz mi pan to życie któ-  
 rego znieść dłużej nie mogę, gdyż w rozpacz do  
 jakiej mnie srogość twoja doprowadza, śmierć do-  
 brodziejstwem będzie dla mnie. Dar to godny ręki  
 ojcowskiej”. — „Otrzymałbyś tylko to, na co zasłu-  
 gujesz”, odpowiedział. „Nie jednego znam ojca, który  
 nie byłby tak długo cierpliwym; lecz zbyt uczna do-  
 broć moja zgubiła cię”.

Rzuciłem się do nóg jego. „Ach! jeżeli choć tro-  
 chę jej zachowałeś”, rzekłem całując kolana jego,  
 „nie opieraj się łzom, błaganiom moim. Wspomnij  
 że synem twoim jestem... Niestety! wspomnij na mat-  
 kę moją. Tak czule ją kochałeś! Byłabyś ścierpia  
 aby ją z rąk twoich wydarto? Byłbyś ją bronił ko-  
 sztem życia własnego. Czyliż drudzy również serca



nie mają? Czyliż może być okrutnym ten, którego serce zaznało miłość i boleść?" — „Nie mów mi o matce twojej”, rzekł gniewnie; to wspomnienie bardziej mnie jeszcze rozjątrza. Umarłaby patrząc na twój nierząd, gdyby była tej chwili doczekała. Skończmy tę rozmowę”, dodał, „ona mnie tylko męczy, a postanowienia mego nie zmienię. Powracam do siebie i rozkazuję ci abyś mi towarzyszył”. Oschły i surowy ton jakim wyrzekł te słowa, przekonał mnie aż nadto, że serce jego było niewzruszonem. Odstąpiłem kilka kroków, w obawie aby mnie przemocą nie zatrzymał. „Nie zwiększaj rozpaczey mojej, o panie”, rzekłem, „zmuszając mnie abym ci był nieposłusznym. Nie podobna mi pójść za tobą. Nie podobna mi także żyć dłużej, po tem co od ciebie usłyszałem. Żegnaj cię więc na zawsze, ojcze mój. Śmierć moja, o której wkrótce się dowiesz”, smutnie dodałem, „może zdoła obudzić w tobie uczucia ojcowskie”. A gdym się odwrócił aby odejść: „Nie chcesz więc pójść ze mną!” gniewnie wykrzyknął. „Idźże sobie, spiesz do zguby twojej. Żegnaj cię, niewdzięczny i oporuy synu”. — „Żegnaj cię”, z uniesieniem odparłem, „okrutny i wyrodny ojcze!”

Natychmiast opuściłem Luksemburg. Dążyłem jak szalony przez ulice aż do domu pana de T... Wznosiłem oczy i ręce do góry wzywając pomocy niebieskich potęg. „O Boże! mówiłem, „czy też tak niewdzięcznym dla mnie będziesz jak niemi są ludzie? Od Ciebie jednego pomocy oczekiwać mogę”. Pana de T... nie zastałem jeszcze w domu, ale wkrótce powrócił. Nie lepiej odemnie mu się powiodło.

Powiedział mi to z widocznym smutkiem. Młody G... M..., chociaż mniej od swego ojca przeciwko mnie i Manon zagniewany, nie chciał się jednak podjąć w naszej sprawie pośrednictwa, sam bojąc się tego mściwego starca, który już był powstał bardzo gwałtownie na niego, wyrzucając mu jego zamiary na Manon. Pozostawała mi więc tylko droga przeboju, jaką mi był wskazał pan de T...; na niej zakładałem wszystkie nadzieje moje. „Są one bardzo niepewne”, powiedziałem mu; lecz najbardziej pocieszającą dla mnie jest ta, że mogę przynajmniej poledz w wyprawie”. Opuściłem mego przyjaciela, prosząc go aby mi choć życzeniami swemi towarzyszył i zająłem się już tylko zebraniem współników, którychbym natchnąć zdołał własną moją odwagą i postanowieniem.

Pierwszym który mi przyszedł na myśl, był ten sam gwardyjak którego użyłem do pochwycenia młodego G... M... Chciałem także przenocować u niego, czem innem bowiem zajęty, nie miałem czasu mieszkania sobie zamówić. Zastałem go samego w domu. Ucieszył się bardzo widząc mnie wolnym i z chęcią ofiarował mi swoje usługi. Wytlumaczyłem mu o co chodziło. Zbyt wiele miał rozsądku aby nie widzieć wszystkich trudności podobnego przedsięwzięcia, lecz tyle był szlachetnym, że je przezwyciężyć postanowił. Część nocy przepędziliśmy na rozważaniu naszego planu. Wymienił mi trzech gwardystów, którzy mu towarzyszyli w poprzedniej jego wyprawie, jako suchów na wszystko gotowych. Pan de T... zawiadomił mnie dokładnie o liczbie strażni-



ków, którzy mieli prowadzić Manon; było ich tylko sześciu. Pięciu śmiałych i odważnych ludzi dostatecznem było do zastraszenia tych nędzników, którzy nie są zdolni bronić się honorowo, jeżeli mogą podłością uniknąć walki. Ponieważ nie zbywało mi na pieniądzach, gwardyak radził abym niczego nie szczędził dla zapewnienia pomyślnego skutku naszej wyprawy. „Potrzeba nam koni”, powiedział, „oraz pistoletów, przyczem każdy musi mieć swój muszket. Jutro się zajmę przysposobieniem tego wszystkiego. Potrzeba będzie także trzech cywilnych ubrań dla naszych żołnierzy, którzy nie ośmieliliby się wystąpić w tego rodzaju sprawie w mundurach pułku swojego. Oddałem do rąk jego sto pistolów otrzymane od pana de T..., a które nazajutrz wydane zostały co do ostatniego feniga. Trzej żołnierze stawili się przedemną. Zachęciłem ich świetnymi obietnicami; a chcąc pozyskać ich zaufanie, każdemu z nich na początek ofiarowałem po dziesięć pistolów. Gdy nadszedł dzień wyprawy, jednego z nich posłałem z samego rana do wyrobnego domu, żeby naocześnie wyszedł chwilę, kiedy strażnicy wyruszą wraz ze swoją ofiarą. Chociaż tylko przez zbytek ostrożności to uczyniłem, pokazało się że \*krok ten niezbędnie był potrzebnym. Liczyłem na fałszywe wskazówki które mi dano co do drogi dla nieszczęsnej bandy naznaczonej i w przekonaniu, że w Roszelli wsiąść na okręt miała, byłbym napróżno oczekiwał na drodze do Orleanu. Dopiero żołnierz na zwiady wysłany doniósł mi, że miano ją prowadzić do Normandy i z Havru wyprowadzić do Ameryki.

Udaliśmy się zaraz do bramy Św. Honoryusza, ale odmiennymi ulicami, dla niepoznaki. Połączyliśmy się na końcu przedmieścia. Konie nasze były silne i wypoczęte. Niebawem ujrzelśmy sześciu strażników i dwa nędzne wozy, które pan przed dwoma laty widziałeś w Pałcy. Ten widok bez mała zmysłów mnie nie pozabawił. „O losie!” wykrzyknąłem, „okrutny losie! tu przynajmniej daj mi śmierć lub zwycięstwo”. Naradziliśmy się przez chwilę nad sposobem, w jaki napad nasz skuteczniejszy. Strażnicy zaledwie o czterysta kroków przed nami byli i mogliśmy przeciąć im drogę, udając się przez pole, które okrażał gościniec. Mój gwardyak był zdania żeby tym sposobem napaść na nich znienacka. Pochwaliłem jego pomysł, i pierwszy spałem mego wierzchowca. Lecz na moje nieszczęście los nie przestał mnie prześladować. Strażnicy ujrzawszy pięciu jeźdźców ku nim dążących, domyślili się zasadzki. Stanęli w postawie obronnej przygotowując swoje bagnety i strzelby z miną dosyć zuchowatą. Ten widok, który podniecił jeszcze moją i gwardyaka odwagę, odjął ją nagle trzem naszym tchórzowatym towarzyszom. Stanęli jednomyślnie i porozumiewawszy się po cichu pomiędzy sobą, zawrócili konie i w pełnym galopie puścili się napowrót drogą do Paryża wiodącą. „Wielki Boże!” powiedział gwardyak, równie jak ja przerażony tem nikczemnem zbiegostwem, „co teraz pocniemy? we dwóch tylko pozostaliśmy!” Ja słowa wymówić nie mogłem z podziwienia i wściekłości. W pierwszej chwili wahałem się czy nie zwrócić całego zapędu zemsty na ściga-



nie tchórzów, którzy mnie opuszczali. Patrzyłem za uciekającymi, potem spoglądałem w stronę strażników. Gdybym był mógł się rozdzielić, byłbym jednocześnie rzucił się na te dwa przedmioty gniewu mego; pożerałem jednych i drugich wściekłym wzrokiem. Gwardyak poznawszy wahania moje po niepewnym ruchu błędnych żreń, prosił mnie abym rady jego posłuchał. „We dwóch”, powiedział mi, „byłoby szaleństwem napadać na sześciu ludzi równie dobrze jak my uzbrojonych, i którzy zdają się na nasze spotkanie przygotowanymi. Trzeba nam powracać do Paryża i postarać się o lepszych pomocników. Strażnicy nie będą mogli pośpieszać z dwoma ciężkimi wozami: jutro z łatwością ich dogonimy”.

Zastanowiłem się przez chwilę nad tym nowym planem; znajdując się jednak w rozpaczliwym położeniu, powziąłem prawdziwie rozpaczliwe także postanowienie. Podziękowałem towarzyszowi mojemu za jego dobre chęci, i umyśliłem, zamiast napadać na strażników, poprosić ich pokornie aby mnie do swego grona przyjęli i pozwolili mi towarzyszyć Manon aż do Havru, a potem razem z nią odpłynąć. „Wszyscy się na mnie uwzieli, żeby mnie przesładować albo zdradzać”, rzekłem do zdumionego gwardyaka. Nie spodziewam się już niczego od lozu ani od ludzkiej pomocy. Niedola moja najwyższego szczytu dosięgła; pozostaje mi tylko uleść smutnemu przeznaczeniu. Wyrzekam się więc wszelkiej nadziei. Oby Niebo szlachetność twoję wynagrodziło? Bywey zdrów przyjacielu, ja postaram się dopomóc zawist-

nemu losowi do spełnienia zguby mojej, dążąc do niej dobrowolnie”. Napróżne nsiłował skłonić mnie abym powrócił do Paryża. Uprosiłem go aby mi nie przeszkadzał w zamiarach moich i zaraz mnie opuścił, gdyż się obawiałem, żeby strażnicy nie myśleli że trwamy w chęci napadnięcia na nich.

Przystąpiłem ku nim sam jeden, z twarzą tak znękaną, że nie mogli nie groźnego dla siebie widzieć w moim zbliżeniu. Trzymali się jednak w postawie odpornej. „Bądźcie panowie spokojni”, rzekłem do nich, „nie wojnę wam przynoszę, ale do łaski waszej się udaję”. Prosiłem ich ażeby jechali dalej bez obawy i towarzysząc im, powiedziałem czego żądać od nich chciałem. Naradzali się pomiędzy sobą w jaki sposób na to odpowiedzieć mają. Dowódzca oddziału w imieniu wszystkich głos zabrał. Oświadczył mi, że rozkazy przez nich otrzymane, nader były surowe we względzie pilnowania zabrzanych dziewcząt, że jednak przez współczucie dla mnie, on i jego towarzysze odstąpią nieco od swego obowiązku, lecz powinieniem zrozumieć że muszą im to wynagrodzić. Pozostawało mi około piętnastu pistołów: powiedziałem im otwarcie jaki był stan mojej kieszeni „Ha!” odrzekł mi strażnik, „nie będziemy zanađto wymagającymi. Dasz nam pan po talarze za każdą godzinę rozmowy z którąkolwiek z dziewcząt naszych; to stała paryzka cena”. Nie wymieniłem im od razu Manon, nie chcąc aby miłość moją pozнали. Pomyśleli z początku że młodzieńcza krewość kazała mi szukać rozrywki przy tych stworzeniach; skoro jednak pomiarkowali że byłem zako-



chany, tak wielki na mnie haracz nałożyli, że wyjeżdżając z Mantes, gdzieśmy nocowali w przeddzień przybycia do Pacy, znalazłem się już bez grosza przy duszy.

Jakże opłakany był przedmiot rozmów moich z Manon podczas tej podróży, i jakiegoż uczucia doznałem nakoniec, gdy otrzymałem od strażników pozwolenie zbliżenia się do jej wozu! Ach! słowa przez pół tylko wyrazić są w stanie uczucia serca, lecz proszę wystawić sobie nieszczęśliwą kochankę moją skępowaną, siedzącą na garści słomy z głową na bok skreconą, z twarzą oblaną strumieniem łez, które z pod przymkniętych jej powiek spływały. Odzież jej była brudna, w nieładzie; delikatne rączki na wiatr i słońce wystawione; słowem przesłizniana istota, zdolna świat do bałwochwalstwa powrócić, wydawała się pogrążoną w niewypowiedzianem znękanu i rozpaczaniu. Wpatrywałem się w nią przez chwilę, postępując konno obok wozu. Tak dalece od przytomności odchodziłem, że kilkakrotnie o mało co z konia nie spadłem. Głośne westchnienia i jęki, jakie się z piersi moich wyrwały, zwróciły na siebie jej uwagę. Otworzywszy oczy poznała mnie, i spostrzegłem że w pierwszej chwili chciała się rzucić ku mnie; lecz przytrzymana w pół więzami, powróciła do poprzedniej postawy. Prosiłem strażników aby przez łitość zatrzymali się na chwilę: uczynili to przez chciwość. Zsiadłem z konia i obok niej miejsce zająłem. Była tak osłabiona i wycieńczona, że nie przedko zdołała przemówić lub peruszyć rekoma. Oblewałem tymczasem łzami biedne

te rączki; a gdy sam nie mogłem słowa jednego wyrzec, znajdowaliśmy się oboje w najsmutniejszym w świecie położeniu. Niemniej bolesne były wyrażenia nasze, skoro nakoniec przemówić zdołaliśmy. Manon nie wiele się odzywała, zdawało się jakoby wstyd i cierpienie, zmieniły organ jej głosu: dźwięk jego był słaby i drżący. Dziękowała mi za to że o niej nie zapomniał i za radość jaką jej sprawiłem, dodała z westchnieniem, że raz jeszcze zobaczyć mnie mogła i po raz ostatni pożegnać. Ale gdy ją zapewniłem, że nic w świecie rozłączył mnie z nią nie mogło, i że gotów byłem iść za nią na koniec świata, aby służyć jej i mieć o niej staranie, aby ją kochać i nieźmiernie los mój nędzny z jej losem połączyć, biedna dziewczyna tak bolesnym i tak rzewnym poddała się uczuciom, że lękać się musiałem, aby życiu jej nie szkodziło tak gwałtowne wzruszenie. Wszystkie władze jej duszy zdawały się skupiać w jej oczach. Trzymała je na mnie zwrócone. Czasami otwierała usta nie mając siły do skończenia słów zaczętych. Były to tklive objawy uwielbienia dla mojej miłości, czułe ubolewania nad jej nadmiarem, wyrazy podziwienia jak mogła być tak szczęśliwą, żeby tak doskonałą namiętność we mnie obudzić; ulegania żebym odstąpił od zamiaru towarzyszenia jej, i na innej drodze poszukał godniejszego mnie szczęścia, jakiego, mówiła, obok niej spodziewać się nie mogłem.

Pomimo najsroźszego losu, znajdowałem niewystowioną rozkosz w jej spojrzeniach i w przekonaniu o jej wzajemnych dla mnie uczuciach. Wprawdzie



pozbawiony byłem wszystkiego tego, co wszyscy ludzie najwyżej cenią, ale posiadałem za to serce Manon, jedyny skarb wartość dla mnie mający. Obojganie mi było czy miałem żyć w Europie czy w Ameryce, bylebym tylko miał pewność, że będę szczęśliwy żyjąc obok mojej ukochanej. Czyliż świat cały nie jest ojczyzną dla dwojga wiernych kochanków? Czyliż w sobie samych nie znajdują ojca, matki, krewnych, przyjaciół, bogactw i wszelakiej szczęśliwości? Jedna mnie tylko dręczyła obawa, żeby Manon nie była narażoną na cierpienia ubóstwa. Już się widziałem razem z nią w strefie dziewiczej, przez dzikich zamieszkanej. „Pewny jestem”, mówiłem, „że nie znajdę pomiędzy nimi okrutników takich jak G... M... i ojciec mój”. Zostawią nas przynajmniej w spokoju. Jeżeli prawdą jest co piszą o nich, ci ludzie żyją zgodnie z prawem natury. Nie znają ani zapędów chciwości starego G... M..., ani znajomych wyobrażeń o honorze, które odwróciły odemnie serce ojca mojego. Nie będą udręczać dwojga kochanków, którzy z taką samą jak oni żyć będą prostotą. Z tej ztrony byłem więc zupełnie spokojny. Nie ludziłem się wszakże pod względem codziennych potrzeb życia. Wiedziałem już z doświadczenia, że są potrzeby niezbędne, nade wszystko dla dziewczyny delikatnej, przyzwyczajonej do życia wygodnego i dostatniego. Byłem w rozpacz, że tak marnie strwoniłem cały mój zapas pieniężny. Pojmowałem że z małą sumką mógłbym mieć nadzieję, nie tylko uchronić się od niedostatku w Ameryce, gdzie pieniądze jest drogim, ale nawet rozpocząć jakie przed-

sięwzięcie dla zapewnienia sobie bytu na przyszłość. Ten wzgląd skłonił mnie żeby się udać do Tiberge'a, którego zawsze znajdowałem gotowym do oddania mi przyjacielskiej usługi. Napisałem do niego z pierwszego miasta przez które przejeżdżaliśmy. Za jedyny powód dałem mu tylko nagłą potrzebę w jakiej będę się znajdował w Hawrze, dokąd wyznałem mu że odprowadzałem Manon. Prosiłem go o sto pistoli „Przyslij mi je do Hawru”, pisałem, „na ręce pocztmajstra. Widzisz sam że po raz ostatni naprzykrzam się przyjaźni twojej, i że, kiedy nieszczęsną kochanka moja na zawsze mi wydartą, zostaje, nie mogę pozwolić jej odjechać bez dania jakiegokolwiek pomocy, któraby los jej złagodziła i śmiertelnym żalom moim ulżyła”.

Strażnicy, pomiarkowawszy gwałtowność mojej namiętności, stali się tak wymagającymi, że podwajając ustawicznie cenę najmniejszych ustępstw swoich, wkrótce do zupełnego mnie doprowadzili ubóstwa. Miłość, zresztą, nie pozwalała mi oszczędzać kieszeni mojej. Od rana do wieczora zapominałem się przy boku Manon, już nie godzinami, ale długością dni całych czas wymierzony miałem. Gdy nakoniec kieszeń moja zupełnie wypróżnioną została, znalazłem się wystawionym na grubiaństwa i wymysły sześciu nędzników, którzy mnie z niesłychaną traktowali wyniosłością. Byłeś pan tego świadkiem w Pacy. Spotkanie nasze było jedyną chwilą ulgi przez los mi użyczoną. Szlachetne serce pańskie wzruszyło się litością, na widok cierpień moich. Pomoc wspomniał mi przez pana udzieloną, pozwoliła mi



dostać się do Hawru i strażnicy wierniej aniżeli się spodziewać tego mogłem, danego słowa mi dotrzymali.

Przybyliśmy do Hawru. Poszedłem zaraz na pocztę. Tiberge nie zdążył być jeszcze na list mój odpisać. Wywiedziałem się dokładnie którego dnia spodziewać się mogłem listu. Dopiero za dwa dni przyjsć mogła odpowiedź; a nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wypadło, że okręt nasz odpłynąć miał na jutro. Nie jestem w stanie rozpaczy mojej wyrazić. „Jakto?” wykrzyknąłem, „zawszeż w samej niedoli nadmiar klęsk ma być udziałem moim?” Manon odpowiedziała mi na to: „Niestety! czyliż warto dla tak nędznego żywota tyle trosk podejmować? Umrzemy tu, w Hawrze, drogi kawalerze. Niechaj śmierć koniec położy cierpieniom naszym! Mamyż je wlec za sobą do nieznanych krajów, gdzie zapewne spodziewać się możemy najokropniejszych ostateczności, ponieważ za karę mnie tam wysyłają? Umrzemy”, powtórzyła, „a przynajmniej ja, niechaj umrę, a ty poszukaj lepszej doli w objęciach szczęśliwszej odemnie kochanki”. „Nie, nie”, powiedziałem; „być nieszczęśliwym razem z tobą, jest jeszcze losem zadości godnym”. Słowa jej przeraziły mnie do najwyższego stopnia. Widziałem że ją zgnębiły nieszczęścia. Usiłowałem sam się uspokoić, aby jej odjąć te rozpaczliwe myśli o śmierci. Postanowiłem i nadal podobnie postępować i przekonałem się później, że nie tak nie dodaje otuchy kobiecie, jak odwaga ukochanego przez nią mężczyzny.

Straciwszy nadzieję otrzymania pomocy od Tiberge'a, sprzedałem mego konia. Dołożywszy otrzymane zań

pieniądze do tego co mi pozostawało jeszcze dzięki pańskiej wspaniałomyślności, zebrałem siedmnaście pistolów. Z tej sumki siedm pistolów użyłem na kupienie niektórych drobnostek dla Manon, a resztę schowałem starannie, jako podstawę przyszłego bytu naszego w Ameryce. Bez trudności przyjęty zostałem na pokład okrętu. Poszukiwano wtenczas młodych ludzi, którzyby chcieli dobrowolnie przyłączyć się do nowej osady. Otrzymałem bezpłatnie przeprawę i życie. Ponieważ nazajutrz odchodziła pocztą do Paryża, zostawiłem list do Tiberge'a. Był do najwyższego stopnia wzruszający i musiał wielkie na nim zrobić wrażenie, kiedy go natchnął postanowieniem, którego źródłem mógł być tylko niewyczerpany zasób czułości i życzliwości dla nieszczęśliwego przyjaciela.

Podniesiono kotwicę. Mielśmy ciągle wiatr pomyślny. Uzyskałem od kapitana miejsce oddzielne dla Manon i dla mnie. Był tak łaskaw że nas wyróżniał od ogółu nędznych naszych towarzyszy. Pierwszego zaraz dnia wziąłem go na bok, i dla zjednania sobie jego względów, opowiedziałem mu część naszych nieszczęść. Nie sądziłem że kłamstwo popełnię mówiąc mu że jestem zaślubiony z Manon. Uwierzył temu, lub tylko udał że wierzy i przyrzekł nam swoją opiekę. Mielśmy jej dowody podczas całej przeprawy. Pilnował tego aby nas dobrze żywiono, a względy jego zyskały nam poszanowanie ze strony towarzyszy naszej niedoli. Starałem się przedewszystkiem o to, aby Manon najmniejszej nie cierpiała niewygody. Ona widziała te moje usiłowa-



nia, i ten widok, łącznie z żywym poczuciem osobliwszej ostateczności w jaką się dla niej rzuciłem, czynił ją tak tkliwą i namiętną, tak dbałą także o moje wygody, że tym sposobem zawiązało się pomiędzy nami ciągle współzawodnictwo wzajemnych usług i miłości. Nie żałowałem Europy. Przeciwnie, im bardziej zbliżaliśmy się do Ameryki, tem więcej czułem jak serce moje rozszerzało się i uspakajało. Gdybym tylko był mógł upewnić się, że mi tam zbywać nie będzie na najpierwszych potrzebach życia, byłbym dziękował losowi, że tak pomyślny dał obrot niebezpiecznym sprawom naszym.

Po dwu miesięcznej żegludze, przybyliśmy nakoniec do upragnionego brzegu. Kraj nie przedstawił nam na pierwszy rzut oka bardzo przyjemnego widoku. Były to puste i nieuprawne łąny, gdzie sterczało zaledwie trochę trzciny i kilka drzew z liści przez wiatr ogołoconych. Żadnego śladu ludzi ani zwierząt. Gdy wszakże kapitan kazał dać kilka wystrzałów, niebawem ujrzelismy gromadę mieszkańców Nowego Orleanu, którzy przybliżali się ku nam z oznakami żywej radości. Nie spostrzegaliśmy jednakże miasta, które z tej strony ukryte jest po za wzgórzem. Powitani zostaliśmy jak ludzie z nieba zesłani. Ci biedni wygnańcy otoczyli nas zadając nam tyśiączne pytania o Francji i o stanie prowincyj, z których byli rodem. Catowali nas jak braci i jak ukochanych towarzyszy, którzy przybywali dzielić ich nędzę i samotność. Udalismy się ku miastu wraz z nimi; lecz z podziwieniem ujrzelismy za zbliżeniem, że to co nam dotąd zachwalono jako porządne miasto,

było tylko zbiorem kilku nędznych chat, zamieszkałych przez kilkaset osób przeważnie mężczyzn. Dom gubernatora wydał nam się nieco wyższym i okazalszym od innych. Obwarowany jest ziemnemi wałami opasanemi głębokim rowem.

Najpierwej jemu nas przedstawiono. Miał długą na osobności rozmowę z kapitanem; poczem powróciwszy do nas obejrzał kolejno jedną po drugiej wszystkie dziewczęta na okręcie przywiezione. Było ich aż trzydzieści, gdyż w Hawrze zastaliśmy drugą bandę, która się z naszą połączyła. Gubernator, przypatrzwszy im się dowolnie, kazał przywołać różnych młodych ludzi z miasta, którzy wiedli w oczekiwaniu małżonki. Oddał najładniejsze znakomitszym; resztę ciągniono losem. Do Manon nie przemówił wcale; dopiero kiedy wszyscy odeszli, zatrzymał ją i mnie. „Dowiaduję się od kapitana”, rzekł do nas, „że jesteście zaślubieni i że was podczas przeprawy poznał jako osoby wyższego stanu i ukształcenia. Nie wchodzę w przyczyny, które nieszczęście wasze spowodowały; ale jeżeli prawdą jest że macie tyle światowego obejścia jak się zdaje, niczego nie zaniedbam, żeby los wasz złagodzić i nie wątpię, że sami przyczynicie się do uprzyjemnienia życia mojego w tym dzikim i pustym kraju”. Odpowiedziałem mu w sposób który mi się wydał najwłaściwszym dla potwierdzenia dobrego wyobrażenia, jakie miał o nas. Wydał rozporządzenie żeby przygotowano dla nas mieszkanie w mieście, i zatrzymał nas u siebie na wieczernę. Znalazłem go bardzo ugrzecznionym jak na zwierzchnika nędznych wygnańców. Nie zadawał



nam pray ludziach żadnych niedyskretnych pytań dotyczących się przeszłości naszej. Rozmowa była ogólna; Manon i ja, pomimo smutku naszego, staraliśmy się uprzejmie ją i ożywić.

Wieczorem kazał nas zaprowadzić do przygotowanego dla nas mieszkania. Była to nędzna chata, sklecona z desek i błota, złożona z dwóch pokoiów na dole i małego poddasza. Znaleźliśmy tam kilka krzeseł i innych niezbędnych do życia sprzętów. Manon zasmuciła się na widok tak lichego pomieszkania. Bolała nad tem więcej dla mnie aniżeli dla siebie samej. Gdyśmy sami zostali, usiadła i gorzko płakać zaczęła. Zrazu próbowałem ją pocieszać. Lecz skoro mi dała do zrozumienia, że nademną tylko ubolewała i że pośród wspólnych naszych nieszczęść na moje tylko cierpienia zwracała uwagę, zdobyłem się na odwagę i okazałem nawet wesołość, aby ją rozweselić. „Na cóżbym miał narzekać?” powiedziałem do niej. „Wszakże posiadasz wszystko czego żądać mogę. Ty kochasz mnie? najdroższa Manon: czyliż kiedykolwiek innego pragnąłem szczęścia? Poruczymy niebu troskę o losy nasze. Nie wydają mi się tak zropaczonemi. Gubernator grzecznym jest człowiekiem: okazał się względny dla nas; nie pozwoli aby nam na czemkolwiek zbywało. Co do ubóstwa naszej chaty i pospolitości naszych sprzętów, mogłaś zauważyć że mało tu znajduje się osób, któreby lepiej od nas mieszkały: nadto, sama jesteś czarodziejką”, dodałem całując ją „i wszystko w zło to zamieniać umiesz”. — „Będiesz więc najbogatszym w świecie człowiekiem”, odpowiedziała; „gdyż jeżeli

bezprzykładną jest miłość taka jak twoja, nikt też czulej od ciebie kochanym być nie może. Ja sobie oddaję sprawiedliwość”, mówiła dalej. „Czuje aż nadto dobrze, jak mało zasługuję na to wielkie przywiązanie, które masz dla mnie. Narobiłam ci zmartwień, które tylko niewyczerpana dobroć twoja przebaczyć mi mogła. Byłam płochą i lekkomyślną; i nawet kochając cię zawsze do szaleństwa, okazałam się niestałą i niewdzięczną. Ale niewierzysz jak się zmieniłam. Łez moich, które tak często wylewałam od czasu wyjazdu naszego z Francyi, ani razu własne moje nieszczęścia powodem nie były. Przestałam je czuć odkąd je ze mną podzielać zaczęłam. Płakałam tylko z żalu i z litości nad tobą. Nie mogę sobie darować, że mogłam cię kiedykolwiek w życiu zasmucić. Nie przestaję sobie wyrzucać moich niewierności, i rozrzewniać się podziwiając do jakich poświęceń zdolnym cię uczyniła miłość dla nieszczęsnej, która nigdy godną jej nie była i która wszystką krew swoją nie opłaciłaby jeszcze”, dodała łzami się zalewając, „połowy zmartwień, jakich stała się powodem”.

Jej łzy, namiętne wyrazy i sposób w jaki wyrzeczonymi zostały, wywarły na mnie tak zdumiewające wrażenie, że uczułem jakoby rozdwojenie jakieś w duszy. „Strzeż się, najdroższa Manon”, rzekłem do niej, „strzeż się! Sił mi nie starczy do zniesienia tak żywych objawów przywiązania twego, nie jestem przyzwyczajonym do takiego nadmiaru szczęścia. „O Boże!” zawołałem, „o nic Cię więcej nie proszę. Pewny jestem posiadania serca Manon, znajduję to



serce takim, jakim je mieć pragnąłem dla szczęścia mojego i to szczęście utrwalałem już zostało". — „Tak jest”, odrzekła, „jeżeli je odemnie zależnem uczynisz; a ja wiem także, gdzie moje z pewnością znaleźć mogę”. Położyłem się ukołysany temi błogiem i myślami, które chatę moją zmieniły w pałac godny najpotężniejszego króla świata tego: Ameryka wydała mi się siedliskiem rajszych rozkoszy. „Kto chce użyć prawdziwych słodczych miłości, niech do Nowego Orleanu spiesz”, powtarzałem potem nieraz Manon. „Tutaj ludzie kochają się bezinteresownie, stale i bez zazdrości. Rodacy nasi przybywają tu szukać złota, nie wyobrażają sobie żebyśmy o wiele droższe skarby znaleźć mogli”.

Utrzymywaliśmy pilnie przyjaźń gubernatora. Był tyle łaskaw, że w kilka tygodni po naszym przybyciu dał mi mały urząd, który zawakował w forcie. Chociaż nie świetne to było stanowisko, przyjąłem go jako łaskę nieba. Dawało mi możność utrzymywania się nie będąc nikomu ciężarem. Zgodziłem służącego dla siebie i pokojówkę dla Manon. Urządziliśmy jako tako nasz sposób życia. Byłem nmiarkowany w moich wydatkach; Manon naśladowała mnie pod tym względem. Nie opuszczaliśmy jednak żadnej sposobności przysługiwania się naszym sąsiadom i czynienia im dobrze. To życzliwe usposobienie i słodycz naszego objęcia, zjednały nam życzliwość i zaufanie całej kolonii. Po jakimś czasie, nauczono się cenić nas tak wysoko, że uchodziliśmy za najpierwsze w mieście po gubernatorze osoby.

Niewinna prostota zajęć naszych i spokojny sposób życia zwróciły nas nieznacznie do religijnych myśli. Manon nigdy nie była bezbożną dziewczyną. Ja także nie byłem jednym z owych wyuzdanych rozpustników, którzy chluby szukają w tem, żeby niewiarę łączyć do zepsucia obyczajów. Młodość i miłość wszystkich naszych błędów były powodem. Doświadczenie zaczynało zastępować nam wiek dojrzały: wywierało na nas ten sam skutek co lata. Rozmowy jakie z sobą prowadziliśmy o poważniejszych przedmiotach, nieznacznie obudziły w nas upodobanie do cnotliwej miłości. Ja sam pierwszy podałem kochance mojej myśl tej zmiany. Znałem zasady jej serca. Wszystkie jej uczucia prawe były i szlachetne; ten przymiot zawsze do cnoty usposabia. Dałem jej do zrozumienia, że czegoś jeszcze niedostawało szczęściu naszemu: „Żeby jej niebo usławiło błogostwieniem swoim” rzekłem „Oboje mamy duszę zbyt wzniosłą, serce zbyt szlachetne, żebyśmy dobrowolnie żyć mogli w zapomnieniu obowiązku. Uszło to jeszcze we Francyi, gdzie zarówno było nam niepodobieństwem przestać się kochać jak miłość naszą w prawej drodze zadowolnić, lecz w Ameryce, gdzie od samych siebie tylko zależymy, gdzie nas nie krępują despotyczne prawa urodzenia i przyzwyczajności, gdzie nawet za prawych małżonków uważani jesteśmy; cóż nam przeszkadza abyśmy takimi rzeczywście wkrótce nie zostali i nie uszlachetnili miłości naszej przysięgą przez Kościół uprawnioną? Ja z mej strony” dodałem, „nic ci nowego nie ofiaruję oddając ci rękę moją i serce, lecz gotów jestem po-



nowić dar ten u stóp ołtarzy". — Wydało mi się że te słowa moje napełniały ją wielką radością. „Czy uwierzysz" odpowiedziała mi, „że po tysiąc razy już o tem myślałam, odkąd się w Ameryce znajdujemy? Jedyne tylko obawa gniewu twojego kazała mi życie to w głębi serca zamykać. Nie mam prawa ubiegać się o godność małżonki twojej". „Ach, Manon!" odparłem „byłabyś wkrótce królewską małżonką, gdyby Niebo monarchą mi było pozwoliło się urodzić. Nie wahajmy się dłużej. Nie nam nie przeszkadza. Dziś jeszcze pomówię o tem z gubernatorem, i wyznam mu, żeśmy go dotąd zwodzili. Tylko popolicci kochankowie", dodałem, „obawiać się mogą nierozzerwalnych więzów małżeństwa. Nie obawialiby się ich, gdyby tak jak my, pewni byli trwałości łączących ich więzów miłości". Postanowienie to napełniło kochankę moją najżywszą radością.

Przekonany jestem że każdy uczciwy człowiek pochwaliby zamiar jaki w wyjątkowym położeniu mojem powziąłem: gdyż będąc niewolnikiem namiętności, której przewyciężyć nie umiałem, z drugiej strony dręczony byłem wyrzutami sumienia, których stłumić mi się nie godziło. Ale czy znajdzie się ktośkolwiek coby skarg moich za usprawiedliwione nie uznał, gdy narzekam na srogość Niebios w zniweczeniu zamiaru, który jedynie dla przypodobania się Bogu powziąłem? Niestety! co mówię? One go nie tylko zniweczyły, ale jak zbrodnie ukarały. Znosiły mnie z pobażaniem, podeszały gdy mą namiętnością zaślepiony kroczył po drodze występku; a najsroższe kary zachowywały na chwilę powrotu mego do cnoty.

Nie wiem czy mi sił wystarczy do skończenia opisu najokropniejszej w świecie przygody.

Udałem się do gubernatora, tak jak powiedziałem Manon, z prośbą aby nam pozwolił dopełnić obrządku zaślubin. Nie byłbym wspominał o tem ani jemu, ani komukolwiek bądź, gdybym był mógł przypuścić, że jałmużnik jego, jedyny ksiądz w całym mieście, zechce bez jego wiedzy związek nasz pobłogosławić; lecz nie spodziewając się aby chciał nam dochować tajemnicy, wolałem działać otwarcie. Gubernator miał siostrzeńca, nazwiskiem Synnelet, którego nadzwyczajnie kochał. Był to męczyzna trzydziestoletni, odważny i dzielny, lecz porwoczy i gwałtowny. Był nieżonatym. Piękność Manon uderzyła go pierwszego zaraz dnia po naszym przybyciu; a widując ją często przez dziewięć czy dziesięć miesięcy, taką ku niej rozgorzał miłością, że sechł trawiony tym ogniem wewnętrznym. Rędcą jednakże, wraz z wujem i całym miastem, przekonany że byliśmy rzeczywiście zaślubionymi, tak dobrze umiał panować nad swoją namiętnością, że wcale jej nie objawiał; kilkakrotnie nawet znalazł sposobność oddania mi ważnej przysługi. Zastałem go u jego wuja, kiedy przybył do fortu. Nie mając żadnego powodu tać się przed nim z moim zamiarem, wypowiedziałem go otwarcie w jego obecności. Gubernator przyjął mnie ze zwykłą swoją dobrocią. Opowiedziałem mu część mojej historii, której z przyjemnością wysłuchał, a skoro go poprosiłem, żeby raczył być obecnym na ceremonii, którą dopełnić zamierzałem, był tyle szlachetnym, że wziął



na siebie wszystkie koszty uroczystości. Oddaliłem się zupełnie zadowolony.

W godzinę później ujrzałem jałmużnika wchodzącego do mego mieszkania. Pomyślałem że przybywał rozmówić się ze mną o szczegóły obrządku; lecz on, chłodno się ukloniwszy, oświadczył mi w krótkich słowach, że pan gubernator zabraniał mi myśleć o tem, bo inne miał widoki na Manon. „Inne widoki na Manon?” wykrzyknąłem ze śmiertelnem ściśnieniem serca; „jakież to widoki, mości jałmużniku?” Odpowiedział mi, że jak mi wiadomo, wola pana gubernatora jest wszechwładną, że skoro Manon przysłana została z Francji do kolonii, on mocen był nią rozporządzać, że nie uczynił tego dotąd sądząc ją zaślubioną; lecz dowiedziawszy się ode mnie samego iż była niezamężną, osądził za stosowne dać ją panu Synneletowi, który się w niej kochał. Uniesiony wrodzoną żywością, zapomniałem na chwilę o potrzebnej ostrożności. Z dumą rozkazałem jałmużnikowi, aby precz poszedł z mojego domu poprzysięgając, że ani gubernator, ani Synnelet, ani nikt w całym mieście nie poważy się ręki podnieść na moją żonę, czy kochankę, jak im się ją nazywać podoba.

Uwzględniłem natychmiast Manon o nowej biedzie naszej. Osądziliśmy, że Synnelet po mojem odejściu obalamucił umysł swego wuja i że to było następstwem dawno ułożonego planu. Mieli za sobą siłę. Znajdowaliśmy się w Nowym Orleanie jak na pełnem morzu, to jest oddzieleni od reszty świata niezmierzoną przestrzenią. Dokąd uciekać w kraju nie-

znany, pustym, lub zamieszkanym przez drapieżne zwierzęta i ludzi niemniej od nich dzikich? Znano mnie i szanowano w mieście; lecz nie mogłem mieć nadziei, tak dalece wzruszyć na moją korzyść lud, żeby mi dał pomoc odpowiednią potrzebie. Nic zrobić nie można było bez pieniędzy; a ja byłem ubogi. Zresztą, wątpliwem było powodzenie ludowego poruszenia i gdyby nas zawiodło, zginęlibyśmy bez ratunku. Rozwahałem wszystkie te ewentualności w mojej skolataniej głowie. Niektóre z nich powierzyłem Manon. Tworzyłem nowe plany nie czekając jej odpowiedzi. Jedne z nich przyjmowałem, inne odrzucałem. Mówiłem sam, głośno odpowiadałem na własne myśli; słowem, znajdowałem się w stanie wzburzenia, którego z niczem porównać nie mogę, ponieważ było bezprzykładnem. Manon trwożnie spoglądała na mnie. Z pomieszczenia mojego sądziła o wielkości niebezpieczeństwa, a lękając się o mnie bardziej niżeli o samą siebie, tkliwa ta dziewczyna nie śmiała nawet ust utworzyć, żeby mi obawy swoje wyrazić. Po długich namysłach, postanowiłem pójść do gubernatora i poprobować wzruszyć go względami honoru i przypomnieniem mojego uszanowania i jego dla mnie życzliwości. Manon nie chciała mnie puścić. Mówiła mi ze łzami w oczach: „Idziesz na śmierć pewną. Oni ciebie zabiją. Nie zobaczę cię więcej. Ja nie chcę abyś pierwszej odemnie umierał”. Wiele mnie tudu kosztowało, zaczętem zdołałem przekonać ją o tem, że ja koniecznie wyjść muszę z domu, a ona w nim pozostać. Przrzekłem jej że wkrótce powrócę. Nie wiedziała biedaczka, i ja także



nie wiedziałem, że na nią właśnie spaść miał cały gniew Niebios i zemsta nieprzyjaciół naszych.

Udałem się do fortu: zastałem gubernatora razem z jałmużnikiem. Zniżyłem się, dla wzruszenia go, do niesłychanych upokorzeń; używałem wszystkich sposobów jakie wyrzucić powinny były nieomylne wrażenie na serce nie będące tygrysiem ani kamieniem. Okrutnik dwie tylko dawał odpowiedzi na moje ubolewania, po sto razy je powtarzając; „Manon”, mówił, „od niego wyłącznie zależy. Dał słowo siostrzeńcowi”. Miałem silne postanowienie do ostatnich granic umiarkowanie posunąć; więc też powiedziałem mu tylko, że uważając go za mego przyjaciela, nie przypuszczałem, aby mógł pragnąć śmierci mojej, która stokroć pożądańszą dla mnie była od straty najdroższej kochanki.

Wychodząc od niego wszakże, byłem aż nadto przekonany, że nie miałem się czego spodziewać od upartego starca, który gotów był duszę zaprzęść dla miłości swego siostrzeńca. Jednakże nie wyszedłem ani na chwilę z granic umiarkowania, postanawiając, w razie gdyby się posunęło do krzyżującej niesprawiedliwości, dać młodej Ameryce jeden z najokropniejszych i najkrwawszych dramatów jakie świat kiedykolwiek oglądał. Powróciłem do siebie układając nowe plany, gdy los, chcąc zgubić moją przyspieszyć, postawił na drodze mej Synneleta. Ten człowiek w oczach moich wyczytał część myśli moich: powiedziałem już że był odważnym, przystąpił też prosto do mnie. „Czy mnie pan szukasz?” rzekł bez ogródki. „Wiem, że cię zamiary

moje obrażają, i przewiduję że wypadnie nam bić się z sobą. Zobaczymy który z nas szczęśliwszym będzie.” Odpowiedziałem mu że miał słuszość najzupełniejszą i że tylko śmierć jednego z nas pogodzić nas mogła. Oddaliliśmy się o jakie sto kroków od miasta. Szpady nasze skrzyżowały się, zraniłem go i rozbroiłem jednocześnie. Tak był rozjątrzony swem niepowodzeniem, że nie chciał mnie prosić o życie i wyrzec się Manon. Miałem może prawo pozbawić go zarazem iednego i drugiej, lecz krew szlachetna nie kłamie nigdy. Rzuciłem mu jego szpadę. „Zaczynamy po raz wtóry”, rzekłem, „a pamiętaj że teraz już bez pardonu”. Napadł na mnie z nie wypowiedzianą wściekłością. Muszę przyznać, że nie byłem bardzo wprawny w robienie bronią po trzechmiesięcznych tylko lekcjach w paryzkiej sali fechtunku. Miłość szpadą moją kierowała. Synnelet jednak przebił mi na wylot ramię, ale ja go w samą porę trafiłem, i tak dzielny mu cios zadałem, że martwy padł u stóp moich.

Pomimo radości jaką daje zwycięztwo w walce śmiertelnej, zastanowiłem się natychmiast nad skutkami śmierci Synneleta. Nie mogłem się spodziewać ani przebaczenia, ani nawet złagodzenia kary. Znając wielkie przywiązanie gubernatora do siostrzeńca, pewny byłem że śmierć moja będzie niezwłocznie następstwem śmierci tego ostatniego. Jakkolwiek nagłą była ta obawa, nie ona głównym była powodem niepokoju mojego. Los Manon, niebezpieczeństwa jej położenia i pewnośc utracenia jej, oto przedmioty, które mnie do takiego stopnia udręczały, że



od przytomności prawie odchodziłem. Zazdrościłem losu Synneleta: nagle śmierć wydawała mi się jedynym lekarstwem na cierpienia moje. Jednakże, ta myśl właśnie opamiętała mnie i uczyniła zdolnym do powzięcia jakiegokolwiek postanowienia. „Jak to?” zawołałem, „ja pragnę umrzeć, aby się od trosk moich uwolnić? Możesz być dla mnie co boleśniejszego nad utratę najdroższej kochanki mojej? Ach! raczej ostatnie przenieść katusze dla ratowania tego przedmiotu miłości mojej, i umierać wtenczas dopiero kiedy je bezużytecznie wycierpię”. Powróciłem do miasta. Zastałem Manon na pół umartą ze strachu i niepokoju. Obecność moja orzeźwiła biedaczkę. Nie mogłem jednak zataić przed nią okropnej przygody mojej. Padła bez zmysłów w moje objęcia, dowiedziawszy się o śmierci Synneleta, o mojej ranie. Kwadrans czasu upłynął, zaczęłem zdołałem przywrócić jej przytomność.

Sam byłem na pół umarty; nie widziałem sposobu ratowania siebie i jej. „Manon, co my teraz pocznemy?” rzekłem do niej skoro przyszła nieco do siebie. Niestety! co pocznemy? Ja muszę koniecznie uciekać. Czy chcesz pozostać w mieście? Tak jest, pozostań. Możesz być szczęśliwą jeszcze; ja pójdę umierać zdala od ciebie pod strzałami dzikich lub od pazurów zwierząt drapieżnych”. Powstała pomimo osłabienia swego. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła mnie ku drzwiom. „Uciekajmy razem”, rzekła do mnie; „nie traćmy ani chwili czasu. Ciało Synneleta przypadkiem może zostać spostrzeżonem, i ucieczka nasza stanie się niemożliwą”. — „Ależ

droga Manon”, odparłem wzruszony, „dokądże się udamy? Czy widzisz jaki środek ratunku? Nie lepiejże abyś spróbowała żyć tu bezemnie i abym ja dobrowolnie oddał głowę moją gubernatorowi?” Usłyszawszy te słowa, bardziej jeszcze nagiła do spiesznej ucieczki. Musiałem uleść jej woli; tyle tylko miałem przytomności umysłu, że zabrałem z domu parę butelek mocnej wódki, kieszenie napakowałem zapasami żywności. Powiedzieliśmy służącym naszym że się udajemy na codzienną przechadzkę wieczorną, i oddaliliśmy się z miasta prędzej, aniżeli na to delikatność Manon zdawała się pozwalać.

Chociaż nie byłem jeszcze zdecydowany, w której stronie szukać schronienia, dwie żywiłem nadzieje, bez których byłbym przełożył śmierć nad niepełność losu, jaki mógł spotkać Manon. Mieszkając już od dziesięcin miesięcy w Ameryce, obeznałem się o tyle ze stosunkami miejscowemi, że nie tajno mi było w jaki sposób zażywać trzeba dzikich. Można było powierzyć się ich rękom, bez narażenia się na śmierć pewną; miałem nawet sposobność nauczania się kilku wyrazów ich języka i niektórych ich zwyczajów. Obok tego liczyłem jeszcze na anglików, którzy podobnie jak my, mają w tej części świata swoje osady; lecz przerażała mnie odległość tychże. Aby się dostać do nich, trzeba było przebywać jałowe postynie na kilka dni drogi szerokie i góry tak strome i wysokie, że wstępowanie na nie uciążliwym się wydawało najsilniejszym nawet i najwytrwalszym mężczyznom. Pomimo tego pochlebiałem sobie z obudwu tych środków korzystać: użyć



pomocy dzikich jako przewodników i szukać schronienia w angielskich koloniach.

Szliśmy tak długo jak wystarczyły słabe siły Manon, to jest około dwóch mil; gdyż nieporównana ta kochanka nie chciała prędzej się zatrzymać. Upadając nakoniec ze znużenia, wyznała mi że dalej już iść nie może. Noc tymczasem zapadła. Usiedliśmy pośród obszernej równiny; nie spotkawszy ani jednego drzewa, któreby nas osłonić mogło. Pierwszem jej staraniem było zmienić bieliznę na mojej ranie, którą własną ręką opatrzyła przed wyjściem naszym z domu. Napróżno próbowałem oprzeć się jej chęciom, byłbym ją zmartwił ostatecznie, gdybym jej był odmówił przyjemności zajęcia się pierwej moją wygodą i zdrowiem, aniżeli własnem bezpieczeństwem. Uległem więc gorącym jej życzeniom i przyjąłem starania jej milczący i zawstydzony. Ale skoro zadość uczyniła troskliwości swojej, z jakąż gorliwością odwzajemnić jej się starałem! zdjąłem z siebie zwierzczenie ubranie i zasłałem niem dla niej ziemię, aby jej się mniej twardą wydała; zmusiłem ją aby mi pozwoliła na jej użytek obrócić wszystko co tylko przyczynić się do jej wygody mogło. Rozgrzewałem skostniałe jej ręce gorącymi pocałunkami mojemi i ciepłem westchnień moich. Całą noc przepędziłem czuwając przy niej i prosząc Boga, aby spuścił na nią sen spokojny i wzmacniający. O Nieba! jakże gorącą i szczerą była modlitwa moja! a jak surowym sądem wysłuchania jej odmówiłyście!

Wybaczenie panowie, jeżeli w kilku słowach zakończę opowiadanie, które mnie zabija; opisuję wam

nieszczęście bezprzykładne. Całe życie moje opłakiwać go nie przestanę. Ale chociaż wspomnienie jego s ale w sercu mojem noszę, dusza moja zdaje się wzdrygać, ilekroć słowami wyrazić je próbuję.

Część nocy przepędziliśmy spokojnie; myślałem że ukochana moja śpi, nie śmiałem oddychać w obawie żeby snu jej nie przerwać. O świetle spostrzegłem, dotknąwszy ręk jej, że były zimne i drżące. Przytuliłem je do mych piersi, aby je ogrzać ciepłem ciała mego. Uczuła to poruszenie i siłą się aby dłoń moje pochwycić, powiedziała mi słabym głosem, że zapewne ostatnia jej godzina się zbliża. Zrazu uważałem te słowa jako zwyczajny wybuch duszy zgnęanej nieszczęściem i odpowiedziałem na nie tkliwemi pieszczotami miłości. Lecz ciągle jej westchnienia, milczenie jakim odpowiadała na troskliwe pytania moje, słaby uścisk rąk jej, w których dłonie moje trzymała, dały mi wreszcie poznać, że wistocie koniec jej cierpień nadechodził. Nie wymagajcie panowie odemnie, żebym wam uczucia moje opisywał, ani żebym wam ostatnie jej słowa powtórzył. Utraciłem ją: otrzymałem od niej dowody najtkliwszej miłości w chwili kiedy Bogu ducha oddawała: oto wszystko co opowiedzieć mogę o tym nieszczęsnym i opłakany wypadku.

Dusza moja nie podążyła w ślad za duszą kochanki mojej. Zapewne Niebiosa nie uważały kary mojej za dostateczną. Chciały abym włókł żywot nędzny i bezbarwny. Zrzekał się dobrowolnie wszelkiej w nim na przyszłość szczęśliwości.



Przepędziłem całe dwadzieścia cztery godziny z ustami przyklejonymi do twarzy i rąk ukochanej Manon. Postanawiałem tak umierać, lecz na początku drugiego dnia przyszło mi na myśl, że po śmierci mojej ciało jej stanie się pastwą dzikich zwierząt. Umyśliłem więc pogrzebać ją i na grobie jej śmierci oczekiwać. Siły moje tak były wyczerpane głodem i cierpieniem, że z trudnością utrzymać się na nogach mogłem. Musiałem dla wzmocnienia się wypić kilka łyków przyniesionego z sobą mocnego napoju. Odzyskałem tyle przynajmniej sił, ile mi ich było potrzeba do spełnienia smutnego swego obowiązku. Nie trudno mi przyszło rozkopać ziemię w miejscu, gdzie się znajdowałem. Grunt był piaszczysty: złamałem szpadę aby nią ziemię na wierzch dobywać, lecz głównie rękoma czynność tę dokonałem. Wykopałem dół głęboki; złożyłem weń bożyszcze serca mego, owinąwszy je pierwej wszystkimi ubiorami mojemu, aby mokry piasek nie zwałął, i ucałowałem stokrotnie drogie zwłoki z całym zapalem najdoskonalszej miłości. Usiadłem jeszcze przy niej; wpatrywałem się długo w ukochane rysy; nie mogłem się zdecydować grób zasypać. Nakoniec, czując słabnące znowu siły i lękając się aby mi ich nie zabrakło na dokończenie smutnego zadania, zagrzebałem na wieki w łonie ziemi to, co najmilsze i najpiękniejsze na sobie nosiła; następnie położyłem się na mogile z twarzą do ziemi zwróconą i zamykając oczy z postanowieniem nie otworzenia ich więcej, wezwałem pomocy Niebios i oczekiwałem śmierci z niecierpliwością, a co trudnem do uwie-

nia zdawać się będzie, to że podczas trwania całej tej żalobnej czynności, ani jednej łzy oczy moje nie uрониły, ani jednego westchnienia usta moje nie wydały. To też nie długo w takiej postawie na mogile pozostawszy, straciłem do reszty czucie i przytomność.

Po tem co tu opowiedziałem, reszta historii mojej tak małej jest wagi, że nie warto abyście jej panowie słuchali. Gdy przywieziono do miasta ciało Synneleta i należycie zbadano stan jego i rany, pokazało się że nie tylko żył, ale żadna z ran jego śmiertelną nie była. Przyszedłszy do przytomności, opowiedział wujowi swemu w jaki sposób rzeczy się pomiędzy nami odbyły, a wrodzona szlachetność skłoniła go do przyznania mi również tego przymiotu. Kazano mnie szukać, a jednoczesna nieobecność Manon, poddała mnie w podejrzenie ucieczki. Było już za późno, żeby w pogoń za nami posyłać; lecz nazajutrz i dnia następnego zarządzono poszukiwania. Znalezione mnie bez czucia na mogile Manon, a ci którzy mnie w takim stanie ujrzeni, prawie nagim i z krwawiącą raną, nie wątpili, że zostałem obdartym i zamordowanym. Zniesiono mnie do miasta. Ruch przywrócił mnie do przytomności. Westchnienie, jakie wydałem otwierając oczy i z jękiem rozpoznając że się jeszcze pomiędzy żyjącymi znajduję, wskazały że mi się przydać może ratunek. Udzielone mi starania zbyt pomyślnym uwiecznione zostały skutkiem. Niemniej wszakże zamknięto mnie w ścisłym więzieniu. Wniesiono przeciwko mnie oskarżenie, ponieważ Manon się nie zjawiła, obwiniono



mnie, że jej się pozbyłem w przystępie szalonej zazdrości. Opowiedziałem z całą szczerością smutną przygodę moją. Synnelet, pomimo wielkiej żalości jaką mu ta wiadomość sprawiła, był tyle szlachetnym że się wstawił za mną, aby mnie uwolniono. Uczyniono zadość prośbie jego. Byłem tak osłabiony, że musiano mnie w łóżku wynieść z więzienia. Przez trzy miesiące ciężko chorowałem. Wstręt mój do życia nie zmniejszał się wcale; wzywałem ciągle śmierci i przez długi czas żadnych leków przyjmować nie chciałem. Jednakże Niebo, tak srodze mnie ukarawszy, chciało na korzyść moją obrócić nie-szczęścia moje i boleści. Oświeciło mnie światłem swoim, które mi wskazało myśli godne urodzenia mego i wychowania. Gdy spokojność zaczęła powoli w duszę moję wstępować, zmiana ta przyspieszyła wyzdrowienie moje. Poszedłem w zupełności za natchnieniem honoru i pełniłem dalej obowiązki skromnego urzędu mojego, oczekując na okręty z Francji, które raz na rok przybywają do tej części Ameryki. Postanowiłem wrócić do ojczyzny mojej, aby cnotliwym i porządnym życiem wynagrodzić zgorzenie poprzedniego mego postępowania. Synnelet zajął się przeprowadzeniem zwłok Manon w miejsce przyzwoite.

W sześć tygodni po wyzdrowieniu mojem, przechadzając się jednego dnia nad brzegiem morza, ujrzałem okręt dla spraw handlowych przybywający do Nowego Orleanu. Poszedłem się przyglądać wyładowaniu załogi. Zdziwiłem się niesłychanie poznając Tiberge'a pomiędzy podróżnymi, którzy zdą-

zali do miasta. Wierny ten przyjaciel poznał mnie zdaleka, pomimo zmian jakie choroba i zmartwienie na twarzy mojej wyrzyły. Powiedział mi, że jedynym celem podróży jego, było zobaczyć mnie i nakłonić do powrotu do Francji; że otrzymawszy list który z Hawru do niego pisałem, zaraz tam pospieszył z pomocą, jakiej od niego żądałem; że się zmartwił ogromnie, dowiedziawszy się o wyjeździe moim, i że byłby natychmiast za mną pospieszył, gdyby był znalazł okręt gotów do odpłynięcia; że przez kilka miesięcy napróżno szukał takowego w rozmaitych portach, i że znalazłszy nakoniec w Saint-Malo statek odpływający do Martyniki, wsiadł na pokład jego, w nadziei, że ztamtąd łatwo się dostanie do Nowego Orleanu; że gdy okręt maluiński zdobyty został podczas przeprawy przez hiszpańskich korsarzy, podstępem się uwolnił, i po wielu przygodach znalazł wreszcie sposobność połączenia się ze mną, za pośrednictwem małego kupieckiego statku, który właśnie przybył do Nowego Orleanu.

Nie umiałem dostatecznie okazać wdzięczności mojej tak wiernemu i szlachetnemu przyjacielowi. Zaprowadziłem go do mego mieszkania: oddałem do jego rozporządzenia wszystko, co tylko posiadałem, opowiedziałem mu wszystko, co mi się przytrafiło od chwili wyjazdu mego z Francji: a chcąc mu radosną sprawić niespodziankę, oświadczyłem mu, że nasiona cnoty niegdyś przez niego w sercu mojem złożone, zaczynały wydawać owoce, z których będzie załowolonym. Upewnił mnie, że tak upragniona wia-



domość, wynagradzała go sowicie za wszystkie poniesione trudy podróży.

Przepędziliśmy dwa miesiące razem w Nowym Orleanie, czekając na przybycie okrętów z Francji; a odpłynawszy nakoniec, przed dwoma tygodniami wylądowaliśmy w Hawrze. Napisałem zaraz do rodziny mojej. Z odpowiedzi starszego brata mego, dowiedziałem się smutnej wiadomości o śmierci ojca naszego, którą, jak się tego obawiam, przyspieszyło może występne postępowanie moje. Korzystając z pomyślnego wiatru, popłynąłem do Calais, w zamiarze udania się do krewnego mojego posiadającego majątek ziemski o kilka mil od tego miasta, gdzie brat mój oczekiwać będzie przybycia mojego.

K O N I E C



92490